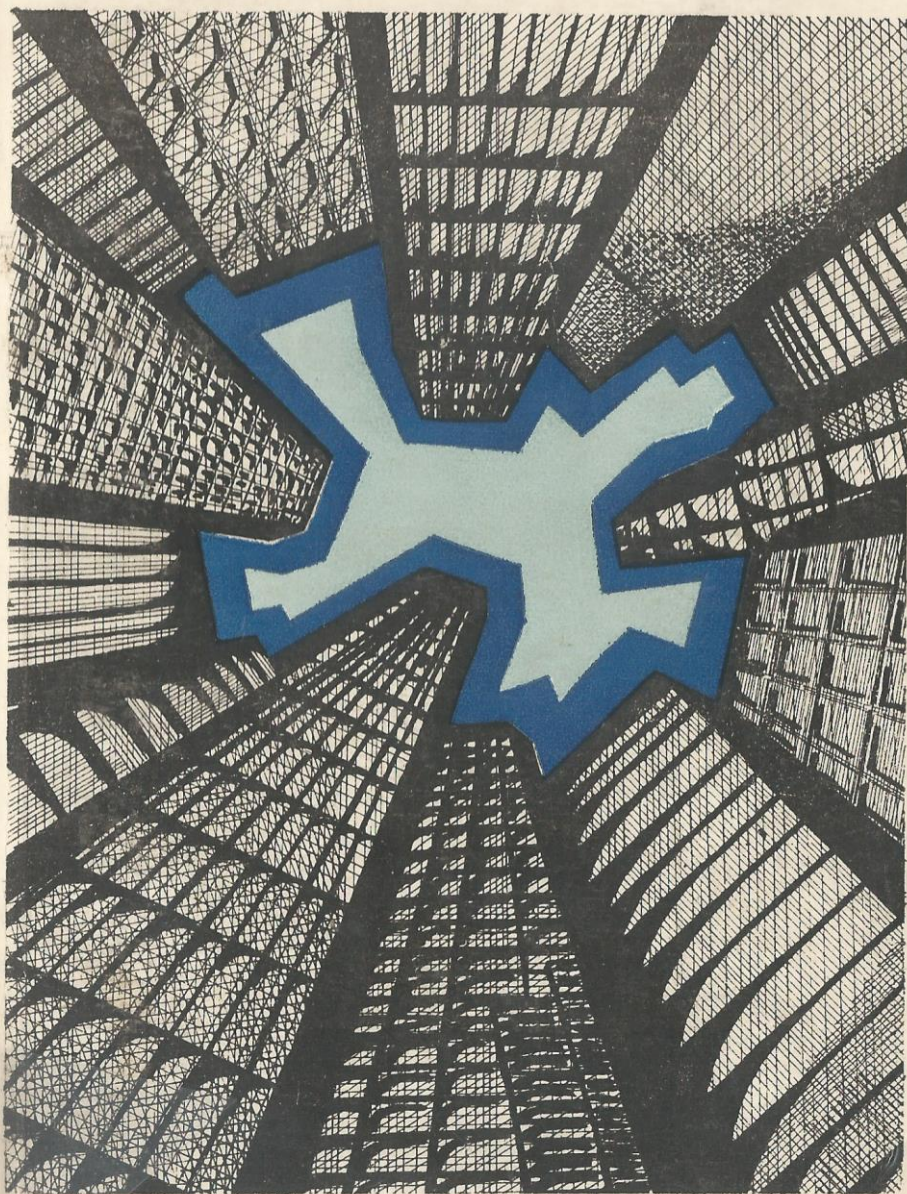


Jerzy
Grundkowski

Annopolis,
miasto
moich snów



Jerzy Grundkowski

ANNOPOLIS, MIĄSTO MOICH SNÓW





Wydawnictwo Literackie Kraków—Wrocław

Okładkę projektował
Piotr Łopalewski
Redaktor
Lidia Timofiejczyk
Redaktor techniczny
Małgorzata Kwiecień-Szczudłowa
Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie Kraków—Wrocław 1983
Wyd. I. Nakład 5000+ 350 egz.
Ark. wyd. 8,4, ark. druk. 9,5
Papier druk. sat. ki. III, 82X104, 65 g.
Oddano do składania 17 I 1983.
Podpisano do druku 9 VI 1983. Druk ukończono w lipcu 1983.
Zam. nr. 45/83. T-11-66. Cena zł 50.—
Drukarnia Narodowa, Zakład nr 1.
Kraków, ul. Manifestu Lipcowego 19.
ISBN 83-08-01105-5

W STRONĘ ANNOPOLIS

Matce

Równina była bezkresna, nieskończona. Rozpościerała się we wszystkich kierunkach — o ile w przypadku nieskończoności można w ogóle mówić o jakichkolwiek kierunkach — z jednej tylko strony zamknięta była półkolem niewysokich pagórków, tu i ówdzie zadrzewionych. Stary człowiek obserwował ją spod półprzymkniętych powiek, jakby jej nie widząc. Wspomnienia, jakie w nim budziła, były wspomnieniami niedawnymi, świeżymi. Szczęk broni przeplatał się w nich z okrzykami walczących, a te ostatnie krzyżowały się z jękami mordowanych jeńców. Nie były to miłe wspomnienia. Starzec najchętniej usunąłby je z pamięci, gdyby tylko mógł to uczynić. Jeszcze przez moment spoglądał na równinę, na której stracił swoje królestwo, a później wrócił do namiotu i zasnął.

Zbudziły go kroki mężczyzny, którego odwiedzin się spodziewał, oczekując tej chwili z fałszywym spokojem pokonanego. W krokach tych, pewnych i radosnych, rozbrzmiewała duma ze zwycięstwa, pogarda dla zwyciężonych i delikatny, tłumiony przez tamte uczucia żal z powodu poniesionych ofiar. Król otworzył oczy i zobaczył gościa stojącego u wejścia do namiotu.

— Oczekiwałem ciebie — powiedział. — Czekam tutaj od dnia bitwy i trochę się już niecierpliwie. Wejdz.

Zwycięzca milcząc wszedł do środka i zatrzymał się przy królewskim łożu.

— Dlaczego nie siadasz? Usiądź.

— Przeraza mnie twoja łaskawość, panie. Nie potrafię usiąść obok kogoś, kogo pozbawiłem władzy.

— Niesłusznie, Tyborcjuszu. Nie mam o to żalu. Przeciwnie. Cieszę się, że wyzwoliłeś mnie z udręki pano-

wania.

Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na ogorzałej twarzy barbarzyńcy, uśmiech ów jednak natychmiast zgasł, jakby przyćmiony niepewnością i niepokojem.

— Nie wierzę ci. Skoro władza tak tobie ciążyła, to, czemu nakazałeś zgładzenie moich posłów, wymuszając wojnę? Nie chciałem jej. Gdybyś spełnił moje warunki... nawet nie wszystkie... nie doszłoby do rozlewu krwi i rzezi, jakiej jeszcze świat nie znał.

Chreon poprawił poduszkę spoczywającą pod głową układając się bardziej wygodnie, a gdy skończył tę czynność, obserwowaną przez gościa z niesłabnącą odrazą, odkasłał i rzekł:

— To nie moja wina... Dopuściłem się tego ohydneho czynu, bo inaczej nie wypełniłyby się słowa Księgi.

— Co by się nie stało, królu?

— Nie spełniłyby się słowa wyroczni.

— Jakiej wyroczni?

— Słowa Księgi Witymonidesa.

— Nigdy nie słyszałem o żadnej księdze, królu...

— Nic w tym dziwnego. Mimo swych zwycięstw, jesteś jedynie barbarzyńcą, Tyborcjuszu... Tylko barbarzyńcą.

Gość zerwał się z miejsca. Stał chwilę nieruchomo, wbijając roziskrzony wzrok w leżącego Chreona, a potem zaczął mówić. Mówił gwałtownie, z pasją.

— To prawda, nie umiem czytać ani pisać, nigdy nie prowadziłem uczonych dysput ani nie przypatrywałem się gwiazdom, jestem od urodzenia koczownikiem, jeźdźcem stepowym, któremu dopiero nie tak dawno poszczyściło się w bitwie, lecz nie różnię się od was niczym, co ma istotne znaczenie. Tak samo jestem człowiekiem, tak samo jem, piję, kocham się, dotrzymuję przysięg... O! Widzisz! Ja dotrzymuję obietnic, nie jestem zdrajcą jak ty!

— Kogóż ja zdradziłem, Tyborcjuszu?...

— Lud, który ci zaufał. Poprowadziłeś go na rzeź, pod miecze mojej niezwyciężonej jazdy!

— Zapominasz o moich ograniczeniach. Witymonides powiada: „Przybędą i nie spotkają się z przyjaznym przyjęciem. Wtrąca ich do studni i nakażą jeść własne odchody. A gdy posłowie nie posłuchają rozkazu rządcy imperium, ten wyda na nich wyrok śmierci”.

— Słowa wyroczni są niejasne. Nie wspominają nic o Annopolis.

— Na nieskończenie rozległych obszarach Terytorium jesteśmy — czy raczej byliśmy — najpotężniejszym państwem. Te słowa na pewno nas dotyczą.

— Jesteś śmieszny! — Tyborcjusz zrobił ruch, jak gdyby pragnął wrócić na miejsce, ale nagle zmienił zamiar. — Poświęciłeś moich posłów, dobrobyt twego królestwa, bezpieczeństwo poddanych, swą sławę wreszcie, wyłącznie po to, żeby spełniło się to, co ktoś kiedyś napisał? Jesteś głupcem.

— Nie ktoś. Witymonides. I nie obrażaj mnie. Nie pozwalam ci na to, barbarzyńco.

Tyborcjusz roześmiał się: krótko, chrapliwie, nieszczerze.

— Wiem, do czego dążysz. Ale nie łudź się. Tak łatwo nie okupisz swych ogromnych zbrodni. Nie zabiję cię tutaj, w tym namiocie kapiącym od złota, jakby nawołującym maruderów z mej armii albo jakichś marnych niedobitków twych wojsk. Nie myślę jednak zbędnie tolerować twej pustej, śmiesznej gadaniny. Dlatego nie chcę więcej słyszeć o przeznaczeniu ani o żadnym Witymonidesie, który nawet nie był wojownikiem.

— Witymonides... — zaczął Chreon nieulekłe, lecz tamten nie dał mu dokończyć. Szeroka dłoń króla spoczęła na wargach leżącego i stłumiła jego słaby krzyk.

— Witymonides... — ciągnął starzec uporczywie, gdy Tyborcjusz, przerażony, iż Chreon może umrzeć nie wówczas, gdy tę śmierć mu przeznaczył, cofnął rękę, przybierając nieco osłupiały wyraz twarzy. — Witymonides nie był wprawdzie wielkim wodzem, ale wszystkie jego przepowiednie dotąd się sprawdziły. Moim obowiązkiem

więc było dopilnowanie, aby nadal...

— Sprawdzają się? Jesteś szalony, Chreonie!

— Nie, nie.

— Tak, jesteś! Człowiek przecież sam decyduje o swoim życiu, a to, w jakich warunkach przebiega jego egzystencja, wpływa na całą resztę: bieg ludzkich myśli, tęsknoty, pragnienia człowiecze, każdy ma niby inne, wojownik marzy o czym innym, rolnik chciałby tego, czego żołnierz sobie bez wątpienia nie życzyłby, lecz nie jest tak, żeby pragnienie i wola kształtowały rzeczywistość nas otaczającą! Co możesz uczynić przeciw mojemu mieczowi? Nic!

— Rozumiesz nieskończenie prymitywnie i nieskończenie fałszywie, władco północnych barbarzyńców. Nie będę trudził się nad...

— Przestań! Rozkazuję ci przestać.

— Wrzaskiem nie przemożesz idei. Nie poddam się. Głoszenie prawdy jest mi milsze nad twą łaskę, której nie chcę. Nie chcę!

— Prawdy? Któż tu jest jej głosicielem? Ty może? Okrutny i rozpustny władca z dynastii Eumenidów, w którego państwie nie było ludzi wolnych — byli sami niewolnicy? Gdzie wszyscy byli równi pod okiem tyrana? I ty mówisz o prawdzie i idei? Uzbroiliście, ty i możnowładcy, oraz ich poplecznicy, lud, aby walczył za was, ale on uciekł po pierwszym ataku mojej wspaniałej jazdy. Jazdy złożonej z ludzi wolnych. Wśród Alanów nie ma niewolników. Wszyscy są równi — naprawdę. Każdy członek plemienia, gdy zasłuży się męstwem lub roztropnością, może zostać uniesiony na tarczy i obwołany królem. Mnie też tak wybrano po zgonie Spimodesa, który poległ w nadgranicznym boju z Massalami. Był to dzielny wojownik, dumny jestem, że pojąłem jego kobiety za żony i zjadłem jego serce. Duch Spimodesa towarzyszył mi przy podejmowaniu decyzji o wyprawie oraz podpowiedział, gdzie stoczyć bitwę. Zawdzięczam mu wiele; gdybym był Eumenidą, zapomniałbym o tym i sobie wystawiłbym

pomnik na annopolitańskiej agorze, lecz nim nie jestem i dlatego w środku miasta stać będzie konny posąg Spimodesa, a nie mój!

— Mówisz tak, jakbyście nie wy napadli na Annopolis, a ktoś... nie wiem kto... może my sami?

— Zmusiliście nas do tego. Zamordowaliście naszych posłów.

— Którzy żądali ogromnej daniny i złożenia wiernopoddańczego hołdu. W twoich słowach nie ma prawdy, są tylko jej pozory. Jesteś zwyczajnym kłamcą.

— Król Alanów nie kłamie nigdy.

— Będzie kłamał jak najęty, żeby tylko utrzymać się przy władzy. Zasmakowałeś w niej i nigdy się jej nie wyrzekniesz.

— Tak jak ty!

— Nie, ze mną było co innego. Witymonides...

— Zakazałem...

— Nie posłucham ciebie po raz ostatni, Tyborcjuszu. Sądzisz, że jestem — i byłem — ogarnięty żądzą panowania. Mylisz się. Siłą zmuszono mnie do przyjęcia korony. Również podniesiono na tarczy i okrzyknięto następcą Sulmusa Eumenidy, który zginął w tajemniczych okolicznościach, najpewniej otruty. W ten sposób spełniły się słowa wyroczni. Ponieważ ciebie to nuży, powtarzać ich nie będę, choć warto. Co było później? Nic nadzwyczajnego. Kazałem zgładzić tych, którzy dopomogli mi objąć władzę. Namówił mnie do tego pewien mag o nieistotnym imieniu. Jego też zabiłem. Czemu, zapytasz. Dlatego, że Terytorium, acz nieskończenie rozległe, jest za małe dla dwóch ludzi, którzy znają Prawdę. Gdy i ty ją poznasz, także przebijesz mnie mieczem.

— Nie, Chreonie — powiedział Tyborcjusz po chwili dławiącego milczenia. — Sroższa kara została ci wyznaczona. Pójdiesz w łańcuchach za moim rydwanem, będziesz niemym, godnym litości uczestnikiem mego triumfalnego wjazdu do Annopolis. Przymaszeruję przez twoje miasto: niezliczone tłumy witać mnie będą girlandami

pięknych kwiatów, młode dziewczęta i starzy ludzie z zainteresowaniem będą przypatrywać się moim wojownikom i ich niepozornym konikom, które ściągnęły zgubę na twe pyszne i wspaniałe królestwo. Pamiętasz jeszcze przebieg bitwy? Chyba tak. To one, te niewielkie rumaki zdecydowały o wyniku wojny. One i twoja głupota, oczywiście. Bardzo przyczyniłeś się do naszego zwycięstwa, przyjmując walkę na równinie, w miejscu przez nas wybranym, gdzie armia złożona w większości z konnych łuczników posiada naturalną przewagę nad ciężkozbrojną piechotą, najlepszą częścią twojego wojska. Błędem było również przyjmowanie bitwy w ogóle. Należało zamknąć się za murami miast i tam oczekiwać na najeźdźców. Pozbawieni machin oblężniczych i bez doświadczenia w szturmowaniu umocnionych warowni, ponosilibyśmy wielkie straty, a wasze siły by nieustannie rosły, w miarę postępów wieści o pochodzie Alanów. Ty jednak wolałeś wydać nam bitwę walną. W pysze swej spodziewałeś się zapewne zetrzeć nas jednym uderzeniem, aby potem pieśni o tobie śpiewano, jaki to dzielny król, jak umiejętnie z barbarzyńcami sobie poradził, nie dopuszczając do zniszczeń i pożogi, lecz zawiodłeś się srodze! Nie cofnęliśmy się pod naporem ciężkiej jazdy! Przyjeliśmy ją godnie: gradem strzał i oszczepów. Twój atak załamał się, ponieważ nie podparłeś go na czas świeżymi siłami. Konnica odstąpiła, a wtedy w powstałą lukę włali się Alanowie. I znowu nie zareagowałeś we właściwym momencie, pozwalając na okrażenie twego prawego skrzydła. Był to początek końca. Lekka jazda dowodzona przez mego kuzyna Taboryka wdarła się klinem między piechotę a procarzy, a ty przestraszyłeś się, że zostaniesz okrażony i pojmany w niewolę. Dałeś rozkaz swej konnej gwardii, kwiatu miejskiej arystokracji, żeby starła się z wrogiem. Nie powiem, twoja jazda walczyła całkiem nieźle. Rozbiła Taboryka i zmusiła go do odwrotu. Przewidziałem to. Wiedziałem, że konni łucznicy nie sprostają w bezpośrednim boju zakutej w stal gwardii ani

żadnej innej ciężkiej jeździe. Nie byłem jednak tym przerażony; wcześniej poleciłem kuzynowi, aby, gdy przekona się już na własnej skórze, niczym nie okrytej, że rzucono przeciw niemu najlepsze wojska, uciekał na północny zachód, w miejsce z góry przeze mnie upatrzone. Tam były piaski, pamiętasz? Twoja konnica ugrzęzła w nich i łucznicy wystrzelali ją jak dzikie psy... Przykry to był widok — ci nieszczęśnicy byli zupełnie bezsilni. Nic nie mogli...

— Przystań! Dostyc już przywoływania obrazów z przeszłości.

— Dostyc? A o czym chciałbyś mówić? Może o tym, jak dopuściłeś do porażki następnego ugrupowania? Może o ucieczce uzbrojonego gminu, który nie czekał, aż Alanowie przejadą mu się po gołych grzbietach? Może o twej drugiej linii, która nawet mieczy z pochew nie zdążyła wyciągnąć, gdy zwały się nań masy uciekinierów i niedobitków, porywając ze sobą niby gotowe do walki oddziały? Może o śmierci sześciu tysięcy najemnych żołnierzy z Lorr i Burmaz, którzy nie chcieli się poddać? Może porozmawiamy o twej wodzowskiej nieudolności? Albo o tym, czemu nie posłuchałeś rad doświadczonych dowódców, którzy...

— Tak! — zawołał Chreon zrywając się z łoża. — Właśnie o tym ostatnim możemy mówić.

Tyborcjusz, nieco zmieszany wybuchem królewskiego gniewu, odchrząknął i zapytał:

— Dlaczego? Dlaczego nie wycofałeś się, jak ci doradzano? Lub czemu nie przyjąłeś taktyki zastosowanej z powodzeniem przez twego poprzednika w bitwie z Mirrenyjeżykami? Przewaga liczebna armii...

— Dlaczego? Bo wtedy wygrałbym bitwę!

— A nie pragnąłeś wygrać?

— Nie. Wzbraniała mi tego Księga Witymonidesa.

— Znów ta przeklęta księga! Gdy zajmę miasto, rozkażę ją odszukać i zniszczyć.

— Nie uczynisz tego.

— Któż mi w tym przeszkodzi?

— Ty sam, panie.

— Ja? Oszalałeś! Ja miałbym okazać się...

— Tak, ty. Co więcej — będziesz ją chronił jak oka w głowie i codziennie czytał.

— Jestem żołnierzem, nie posiadam zbędnych umiejętności.

— Nauczysz się. Ciekawość, ta przyrodzona kobietom i władcom cecha, sprawi, że moje przewidywania się spełnią. Niebawem, zupełnie jak ja do niedawna, będziesz zaczytywał się nią na śmierć i podobnie jak ja drżał przed gniewem Stwórcy Księgi. Przedtem jednak przebijesz mnie mieczem.

— Nigdy cię nie zabiję, obiecałem ci.

— Mylisz się. Chcąc czy nie, będziesz musiał wypełnić słowa wyroczni. Oto one: „I nastanie po nim król potężny, z barbarzyńskiego rodu Alanów się wywodzący, i ten król zgładzi tamtego króla, a potem zaprowadzi w imperium rządu mądre, silne i sprawiedliwe, odnowi je i natchnie świeżym duchem. A po nim przyjdą kolejni władcy z tej dynastii, a po nich Miastem zawładną tyrani. Siódmy tyran zginie. Zabijają go spiskowcy pochodzący z najprzedniejszych rodzin...” Mam cytować dalej?

— Nie... Wierzę ci... Nie.

— Tak, Tyborcjuszu. „Z barbarzyńskiego rodu Alanów się wywodzący”. Nie możesz już mieć wątpliwości. Twoje rzekome zwycięstwo zamknęło cię w więzieniu najdoskonalszym z możliwych, w więzieniu przeznaczenia. Los twój jest zapisany w gwiazdach i w Księdze. Całymi nocami będziesz głowił się nad znaczeniem zdań sprzed setek lat i wyrażen i zwrotów już nie używanych. Nigdy nie zaznasz ukojenia, nigdy. Nigdy też nie staniesz się człowiekiem wolnym. Opuszczając stepy, podbijając moje państwo, gubiąc moją armię, w istocie wykonywałeś czyjeś niewiadome polecenia, byłeś jak gałąź pchana i kołyszana wiatrem, nie orientująca się w ogóle, co się około dzieje. To nie ty wygrałeś, to nie ty jesteś zwy-

ciężcą, wielkim zdobywcą, wspaniałym strategiem. Wszystko to zrobił za ciebie ktoś inny, kogo nigdy nie poznasz. Ten ktoś wspaniałomyślnie pozostawił ci całą sławę, abyś się nią cieszył i zbytnio nie dochodził Prawdy. A zwłaszcza jej nie rozgłaszał. Co to za król byłby, który sam nie potrafiłby wygrać najmarniejszej bitwy! A teraz, gdy wiesz już wystarczająco dużo, by sprostać swemu zadaniu, zabij mnie, ponieważ słowo musi stać się ciałem.

— Bogowie! Obiecałem przecież, że uwolnię cię, Chreonie. Król Alanów dotrzymuje danych obietnic.

— Musisz!

— Nie... Nie mogę uwierzyć, że już na nic nie będę miał wpływu, że o niczym nie będę decydował.

— Twoje więzienie jest jak klatka; nieskończenie rozległa, ale jednak klatka. W jej obrębie możesz uczynić wszystko, poza nią — absolutnie nic. Coś zatem od ciebie zależeć będzie, niech to cię pociesza. Poza tym i tak będziesz posiadał większą wiedzę aniżeli twoi niezliczeni poddani, którzy będą od ciebie o tyle szczęśliwsi, że o Prawdę nawet się nie otrą i wyobrażać sobie będą, że jest to naturalny stan rzeczy. Ty również byłbyś spokojniejszy, gdybyś nie wszedł do tego namiotu. Lecz wszedłeś. I to cię zgubiło. A teraz mnie zabij.

Król Alanów, barbarzyńca, przyszedł władca Annopolis, przyszedł imperator, długo wpatrywał się nieodgadnionym wzrokiem w spoczywającego na łożu starca. Cisza przeciągała się, przerywał ją tylko nierówny, przyspieszony oddech Chreona. W końcu Tyborcjusz dotknął miecza i natychmiast cofnął dłoń z powrotem. Potem dotknął go znowu. Potem wyciągnął broń z pochwy i wbił jej ostrze w brzuch pokonanego władcy. Ten opadł na łożo z głośnym jękiem. Tyborcjusz popatrzył na niego z nienawiścią i schował miecz; ten sam, którym w niedawnej bitwie zabił tylu nieprzyjaciół. Następnie wyszedł z namiotu, dosiadł konia i oddalił się z tego przerażającego miejsca, gdzie w jego duszy zasiano porażający niepokój. Jechał w tym kierunku, z którego wcześniej przybył, je-

chał do swoich niezwyciężonych oddziałów, by wydać im rozkaz marszu na stolicę swego przyszłego imperium, Annopolis.

1980

SPRZYŚIĘZENIE

Rodzicom poświęcam

Wbrew temu, co sądzą niektórzy, Daniel Avecado był ofiarą konieczną. Jego śmierci nie można było uniknąć ani nawet przesunąć jej w czasie. Wspominam o tym nie dlatego, że chciałbym chociaż w części usprawiedliwić nasz postępek, którego dopuściliśmy się nie bez bólu; lecz z tej przyczyny, że pragnę w ten niedoskonały sposób odpowiedzieć tym, którzy obecnie, po tylu latach zohydzają nasze imię i rozpuszczają fałszywe pogłoski o dręczącej nas jakoby przemożnej potrzebie zabijania. To wszystko nieprawda; nie wiercie im. Ich wyłącznym celem jest ubliżenie naszym ideałom i okrycie wieczną niesławą uczestników sprzyśięzenia. Jako ostatni z pozostałych jeszcze przy życiu spiskowców nie mogę milczeć; nie wolno mi tego czynić. Przez pamięć o cnotach moich towarzyszy muszę dać świadectwo prawdzie.

Więc, jak wcześniej zaznaczyłem, Avecado był ofiarą konieczną. Był człowiekiem impulsywnym, zdrajcą. Jego nadmierne gadulstwo, jego nieustanne rozprawianie o podłości zbrodniczego Maximiusa mogło nas zgubić. Daniel Avecado zasłużył na śmierć; był niebezpieczny; żywy, radośnie uśmiechnięty, gadatliwy Avecado zagrażał naszej sprawie.

Ostrze sztyletu Boecjusza, jedyne wśród nas tautolończyka, zgasiło jego marne życie. Nie stało się to w ciemnym zaułku; Boecjusz zabił Avecado przed domem, w którym tamten zamieszkał. Zasztyletował go i odszedł nie niepokojony przez nikogo.

Biedny Boecjusz. Zgodnie ze swoją wiarą nie powinien zabijać bezbronnego. Los jednak wskazał właśnie na niego, tautolończyka.

Pamiętam, jak drgnął, gdy wyciągnął czarną gałkę.

Patrzyliśmy gdzieś w bok, nie na niego, żeby nie wymuszać na nim natychmiastowej zgody (która była nieunikniona; Boecjusz nie mógł nam odmówić), ale mimo to nie było mu chyba lekko na duszy. W końcu skinął głową i rzekł:

— Zgładzę go jutro.

I zrobił to, aczkolwiek nie chcę się nawet domyślać, ile go to musiało kosztować. Podstawą bezpiecznej — w miarę bezpiecznej oczywiście — egzystencji każdego sprzysiężenia jest dochowanie tajemnicy co do celów spisku i posłuszeństwa przełożonym. Powstanie Nika upadło właśnie skutkiem tego, że tajemnicy dochować nie można było; zbyt wielu ludzi wiedziało o mającej się rozpocząć walce; jeden z nich zdradził. Spiskowców, którzy zamierzali z powrotem wprowadzić na miejski tron Pompiliusa Nullę, zgubiła porywczość zastępcy dowódcy sprzysiężonych, Valerianusa. Nadmierna gadatliwość Daniela Avecado mogła przedłużyć panowanie krwawego Maximiusa; dlatego zabiliśmy Avecado, chociaż w zasadzie niczego złego nie uczynił.

W tym właśnie kierunku suną teraz ataki tych, którzy pragną zohydzić naszą pamięć. Powiadają oni, że Avecado był niewinny; że nie zasługiwał na śmierć; że uczyniliśmy to tylko z żądzy zabijania. Powiadają, że tym czynem, jakże haniebnym, sprzeniewierzyliśmy się swym ideałom. Mówią, że ten, kto chce zgładzić tyrana, powinien zachować wewnętrzną czystość, by nie ulec pokusie przechwycenia władzy w swe ręce. Mówią, że wyłącznie przypadek sprawił, iż jednego tyrana nie zastąpiło siedmiu innych, dzielących się rządami między sobą. Sugerują, że przynajmniej trzech z nas akurat tak zamierzało postąpić. Oskarżają o to mnie, Boecjusza i Trifona, naszego duchowego przewodnika. Mówią, że po zamordowaniu Maximiusa przyszłaby kolej na walki w łonie sprzysiężenia. Twierdzą (z niepoważną pewnością), że w ich wyniku władzę w Annopolis objęliby trzej ludzie: Trifon, Boecjusz i ja. Konstatują, iż tylko niespodzie-

wany wybuch ludowego gniewu uratował miasto przed popadnięciem w szpony nowej tyranii, może jeszcze okrutniejszej od poprzedniej. Przypuszczają, że nie ucieśliśmy się zbyt widokiem ludzkich tłumów wylęgających na ulice Annopolis i opowiadających się za niezwłocznym wprowadzeniem demokratycznego ustroju. Mówią, że w pewnym momencie zamierzaliśmy nawet wyprowadzić z kwater gwardię Maximiusa i że jedynie nasze niezdecydowanie uratowało mieszkańców miasta od śmierci. Sugerują, że obawialiśmy się nie tyle ponownego rozlewu krwi, co trudnej do przewidzenia reakcji gwardzistów tyrana, którzy mogli przecież zechcieć pomścić swego dobroczyńcę i władcę.

Tak w ogólnym zarysie wyglądają zarzuty naszych wrogów. Nie muszę chyba powtarzać, że są one wyssane z palca. Nikt z nas nie pragnął zająć miejsca obalonego wielkorządcy. Nikt nawet o tym nie myślał. Żadnego z nas, ani Trifona, ani Boecjusza, ani mnie nie stać było w ogóle na powzięcie podobnego postanowienia. Wszyscy byliśmy wówczas ludźmi młodymi, niespełna trzydziestoletnimi, pełnymi idealistycznych tęsknot. Marzyliśmy o zaprowadzeniu w mieście sprawiedliwego porządku społecznego, o zniesieniu podziału na biednych i bogatych, wyzyskiwanych i wyzyskiwaczy, o ustanowieniu w Annopolis rządów mądrych, silnych i sprawiedliwych. Prowadziliśmy na te tematy niekończące się dyskusje; jedni z nas byli optymistami i wierzyli w możliwość wprowadzenia Nowego Ładu na rozległych obszarach Terytorium znajdujących się we władaniu Miasta; inni zaś zapatrywali się na to znacznie bardziej pesymistycznie. Różnice poglądów nie dzieliły nas jednak, a przeciwnie, łączyły. W ogniu dysput umacniała się nasza wzajemna przyjaźń. Byliśmy zjednoczeni we wspólnym celu; nie mogliśmy dłużej ścierpieć rządów Maximiusa.

Przygotowania do tej ostatecznej wyprawy, która miała rozstrzygnąć o naszym powodzeniu lub niepowodzeniu, trwały bardzo długo. Przebywaliśmy w charakterze wy-

gnańców politycznych wśród barbarzyńskich plemion niewiadomego pochodzenia. Turkwaz, król barbarzyńców, otoczył nas troskliwą opieką. Był on starym wrogiem Maximiusa, którego winił o śmierć swego jedynego syna, zamordowanego w ulicznej sprzeczce. Mogliśmy więc ufać mu całkowicie. Ulubieńcem króla był Daniel Avecado. Turkwaz zawsze z niesłabnącą uwagą wysłuchiwał opowiadań przez niego historyjek. A Avecado był zaiste nieprzeciętnym mówcą; wylewnym, błyskotliwym i porwijącym. Poza tym kochał to, co robił. Największą przyjemność sprawiał mu widok zapatrzonych w twarz słuchaczy. Ponadto nie gardził on plotką czy pomówieniem. Wszystko jedno mu było, o czym rozprawia, byleby miał odpowiednio liczne audytorium. Gdy przybyliśmy z powrotem do miasta i rozproszyliśmy się w różnych jego zakątkach, aby nie ściągać na siebie niczyjego zainteresowania, a już najmniej zainteresowania tajnych agentów tyrana, gęsto rozsianych po Annapolis, przekazaliśmy Avecado surowo, aby pod żadnym pozorem nie ganił rządów Maximiusa i żeby sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z siebie i z innych. Tłumaczyliśmy mu, że ten, kto obnosi się po mieście z pochmurnym obliczem, natychmiast jest wpisywany w rejestr podejrzanych. Tłumaczyliśmy mu, że musi milczeć. Powtarzaliśmy Avecado, znając jego niebezpieczne skłonności, że powinien zarzucić chwilowo swój zgubny zwyczaj przemawiania do zgromadzonych tłumów. Avecado kiwał głową na znak, że rozumie, i zapewniał nas, że nie odezwie się do nikogo bez potrzeby ani słowem. Wierzyliśmy mu. Avecado jednak zdradził nas, a właściwie zdradziło go jego gadulstwo. Z tej przyczyny musiał umrzeć.

Po jego zgonie zostało nas zaledwie ośmiu. Mieliśmy przeciw sobie trzy tysiące gwardzistów tyrana, stacjonujących na Płomiennych Wzgórzach i rozłożonych obozem poza granicami stolicy, oraz stu pięćdziesięciu członków jego straży przybocznej, pilnujących go na zmianę we dnie i w nocy. Nie wierzyliśmy w możliwość

wybuchu ludowego powstania. Istniejąca kiedyś w mieście siatka konspiracyjna, zorganizowana przez naszych poprzedników, została rozgromiona przez dyktatora. Jego agenci byli wszędzie; ich przenikliwość udaremniała wszelkie próby zawiązania antyrządowego spisku. Dlatego wynieśliśmy się z miasta i dlatego mogliśmy liczyć wyłącznie na własne siły.

Nasz plan był genialnie prosty. Opierał się on na założeniu, na pierwszy rzut oka wyglądającym absurdalnie, że Boecjusz, jako prawowierny tautolończyk, zawsze znajdzie wyjście z labiryntu i poprowadzi nas właściwą drogą. Ale Boecjusz wykonał wyrok wydany na Avecado. Obawialiśmy się zatem, że świadomość dopuszczenia się świętokradztwa wpłynie niekorzystnie na jego psychikę. Skoro jednak los wskazał na niego, to nie wolno nam było sprzeciwiać mu się i wyznaczyć kogoś innego na miejsce Boecjusza. Księga Witymonidesa bowiem powiada: „Nie zmienisz swego przeznaczenia, nie unikniesz go. Tego, kto pragnąłby mu się nierozsądnie przeciwstawić, pożrą tygrysy i pochłonie potok”. To ostatnie odczytywaliśmy jako jasną aluzję do ewentualnego zatopienia dolnych partii Labiryntu przez strumienie wody wypływające z pobliskiego akweduktu.

Naturalnie nie zależało nam na przedwczesnym zgonie, zanim wypełnimy naszą misję. Z trwogą więc zadecydowaliśmy nie dokonywać choćby najmniejszych zmian w naszym planie. Wszystko miało odtąd zależeć od Boecjusza; od jego nieustraszonej odwagi i jego bezcennego daru, jakim go bogowie obdarzyli.

Nazajutrz po śmierci Avecado byliśmy gotowi do wymarszu. Poczekaliśmy, aż nadejdzie popołudnie i wtedy wyruszyliśmy. Trudno mi powiedzieć, jak długo trwał marsz. W każdym razie, gdy dotarliśmy wreszcie do celu, ciemności panowały już niepodzielnie. Wejście do Labiryntu majaczyło przed nami niczym tańczący refleks świetlny; oddaliśmy pokłon podziemnym bóstwom i zanurzyliśmy się w nim.

By wydostać się z jakiegokolwiek labiryntu, należy, zdaniem Witymonidesa, ciągle skręcać w prawo. Wierzyliśmy temu prorokowi dawno już nieżyjącemu, bezgranicznie ufaliśmy napisanej przez niego księdze. Uważaliśmy ją za skarbnicę wszelkiej mądrości i wiedzy. Jeden Daniel Avecado śmiał się z zawartych w niej przykazań; kto wie, czy nie wpłynęło to w jakiś sposób na naszą decyzję.

Labirynt nie był ograniczony żadną linią, rozpościerał się we wszystkich kierunkach. Był niejasny, nieskończony. Zatopieni w jego niezliczonych odgałęzieniach i korytarzykach czuliśmy się jak grzesznicy stojący przed obliczem wszechpotężnego i nie znajdującego litości bóstwa. Przewodził nam Boecjusz. Bez przerwy, gdy tylko było to możliwe, skręcaliśmy w prawo. Byliśmy przekonani, że czynimy słusznie.

W pewnym momencie Boecjusz przystanął, oparł się o nieskazitelnie białą ścianę i powiedział:

— Zgubiłem drogę. Księga Witymonidesa kłamała. Nigdy się stąd nie wydostaniemy.

Wówczas Trifon zażądał, abyśmy przysięgli, że nawet martwi będziemy ścigać krwawego Maximiusa po wieczne czasy. Gdy to nastąpiło, rzekł:

— Teraz jesteście silni. Prowadź nas dalej, Boecjusz tautolończyku. Prowadź.

Boecjusz popatrzył na Trifona i powiedział:

— Zaufaliście mi. Dziękuję wam za to. Ale pamiętajcie, że złożyliście swój los w ręce świętokradcy.

Wyrzut zawarty w tych słowach był ledwie zamaskowany. Ruszyliśmy z miejsca z niejaką niechęcią; sądzą, że niektórzy z nas pogodzili się już z myślą o śmierci i chcieli przynajmniej zaznać przed nią chwili wytchnienia. A było ono nam bardzo potrzebne. Niemiłosiernie zmęczeni wlekliśmy się krok za krokiem, pobrzękując bronią i łuskami pancerzy. Szliśmy w milczeniu, nie rozmawiając ze sobą. Każdy pragnął zachować jak najwięcej sił. Dokuczał nam głód i cierpieliśmy na brak wody,

która skończyła się nam wcześniej, niż przypuszczaliśmy. Nikt z nas nie wiedział, jak długo przebywamy już w podziemiach Labiryntu.

Stopniowo pogrążaliśmy się w apatii. Pamiętam — jeszcze teraz, po tylu latach przypominam to sobie dokładnie — iż idący przede mną Markon w pewnej chwili zatrzymał się nieoczekiwanie, aż wpadłem na niego i skaleczyłem sobie nieznacznie skórę na udzie o ostrze jego sztyletu, i powiedział z rozpaczą:

— To bez sensu. Tak czy inaczej umrzemy w tych lochach. Lepiej zabijmy się sami. Nie zamierzam ginąć z głodu i pragnienia. Śmierć z własnej ręki lub z rąk towarzyszy jest zawsze wznioślejsza.

— Przestań! — krzyknął Trifon. — Nie chcemy tego dalej słuchać!

— Mówię wam, zabijmy się sami. To wszystko, co możemy dla siebie zrobić.

Trifon wyminął go bez słowa.

— Więc zostajesz tutaj? — zapytał.

— Tak.

— Czyli że przedkładasz śmierć od miecza nad jakąkolwiek inną?

Markon bez wahania potwierdził. Wtedy Trifon wbił mu w brzuch swój sztylet. Gdy tamten zwał się z krzykiem na ziemię, powiedział, nie czekając nawet aż Markon wyzionie ducha i skończą się jego rozpaczliwe jęki, że złożona przysięga nakazuje nam kontynuować naszą wędrówkę aż do znalezienia wyjścia z Labiryntu. — Odnajdziemy je na pewno — dodał.

I odszukaliśmy je — lecz dopiero wówczas, gdy siły opuściły nas do takiego stopnia, że posuwaliśmy się naprzód nie idąc, a czołgając się i tylko od czasu do czasu podnosząc się na równe nogi. Bijące skądś światło zauważył jako pierwszy Boecjusz. Zawołał: „Stało się! Doszliśmy!” — i momentalnie wstąpił w nas nowy duch. Z zaskakującą szybkością pokonaliśmy ostatni odcinek podziemnej trasy. Potem wynurzyliśmy się na powierz-

chnię.

Księża Witymonidesa nie kłamała: „Powiedziane jest, że nie wszyscy dojdą do celu, ale powiedziane jest również, że niektórzy z nich go osiągną; ci, którzy mi zawierzą i którzy nie ulęką się potu i bólu”. AVecado i Markon poddali w wątpliwość słowa wyroczni; ich śmierć była przeto nieunikniona.

Wyjście z Labiryntu prowadziło wprost do komnat Maximiusa. I znowu Witymonides nas nie oszukał: „...wynurzą się z niego i oczom ich ukaże się wnętrze mieszkania tyrana; będzie spał, a oni uśmiercą go we śnie, miotając na jego głowę najstraszliwsze przekleństwa i obelgi”.

Zabiliśmy Maximiusa w jego łożu; zabiliśmy też kobietę spoczywającą u jego boku (to później nam również zarzucono: że nie potrafiliśmy powstrzymać się od zgładzenia niewinnej dziewczyny). Potem zaczęła się rzeź, jakiej jeszcze w historii Annapolis nie było.

Mordowaliśmy każdego, kto tylko znalazł się w zasięgu naszych krótkich mieczy. Sprzysiężeni, jakby pijani powodzeniem, szaleli po całym pałacu, wpadając z dzikim wrzaskiem do komnat domowników, zabijając ich we śnie i już rozbudzonych, odrabując im ramiona i głowy jednym potężnym ciosem, goniąc ich, przerażonych, bezbronych, rozkrzyczanych, po korytarzach i krużgankach; mordując popleczników obalonego władcy na schodach i pod oknami, z których zamierzali wyskoczyć; ścigając winnych i niewinnych, żołnierzy i kobiety, starców i dzieci po ogromnym pałacowym dziedzińcu, nikomu nie darując życia, nie oszczędzając nawet niemowląt. Nie wiem (nie mogę tego wiedzieć), ile razy ostrze mojego sztyletu zagłębiało się w ciała ofiar. Wiem jedynie, że w sumie zgładziliśmy ponad stu ludzi, w połowie żołnierzy ze straży przybocznej Maximiusa. Prawie nikt się nie bronił; zdecydowana większość, zamiast sięgnąć po włócznie i dzidy, obficie porozwieszane po zamkowych ścianach, i zgnieść nas, siedmiu straceń-

ców, samą przewagą liczby, błagała na kolanach o życie, jak gdyby te prośby mogły do nas dotrzeć. Dokonaliśmy naprawdę rzeczy niezwyklej. Siedmioosobowa drużyna, wygłodzona i spragniona, za całą swoją siłę mająca wyłącznie nienawiść do tyranii i niezłomny zamiar jej obalenia, w okamgnieniu rozniosła w puch potęgę Maximiusa, niweczając jego długoletni wysiłek, z jakim umacniał on swoją oszukańczą władzę. Najbardziej zasłużył się Trifon. Położył on trupem jednego po drugim piętnastu żołnierzy pragnących ujść do Labiryntu, z którego być może nigdy by się nie wydostali. Trifon nie został nawet draśnięty; inni odnieśli zaledwie powierzchowne rany. Po opanowaniu pałacu weszliśmy na wieżę i uderzyliśmy w dzwony. Te rozhuczały się, przywołując mieszkańców miasta. Powitali oni nas jak bohaterów, herosów, którymi w istocie byliśmy. Obwieściliśmy kres tyranii i powrót do demokratycznej formy rządów. Siebie mianowaliśmy archontami. Zasłużyliśmy niewątpliwie na ten szczytny tytuł i nie pojmuję dotąd, jak można było na tej wątej podstawie oskarżyć nas o chęć zagarnięcia władzy.

To Boecjusz i Trifon namówili do tego mnie i resztę, argumentując, że nikt lepiej od nas, tyranobójców, nie wywiąże się z tych funkcji. Potem tłumy się rozeszły i zostaliśmy w pałacu sami, tylko w towarzystwie zabitych. Mimo potwornego zmęczenia nikt z nas nie potrafił zasnąć. Dopiero wtedy bowiem uprzytomniliśmy sobie grozę naszego położenia. Żaden z trzech tysięcy gwardzistów Maximiusa nie przeniósł się do wieczności; w każdej chwili mogli oni pojawić się tutaj, sprowadzeni przez ocalałych z rzezi strażników. Zresztą ci ostatni także byli dla nas nieustającą groźbą. Nie wiedzieliśmy, czy już otrząsnęli się z szoku, czy też nie, czy aby nie podążają właśnie ku naszej siedzibie. Na annopolitańczyków liczyć nie było sensu; zbyt długo żyli oni w atmosferze strachu, żeby mogli (i chcieli) nam teraz pomóc. To była straszna noc. Jeszcze dzisiaj ją pamiętam. Pamiętam,

że nasłuchiwaaliśmy z nateżoną uwagą choćby najcichszego szmeru, który mógłby zwiastować nadejście mścicieli. Pamiętam kłótnię Trifona z Boecjuszem, który z nich bardziej przysłużył się do uśmiercenia tyrana; sprzeczali się o ilość zadanych mu ciosów, skakali sobie do oczu, omal nie doszło między nimi do pojedynku. Pamiętam krzyk ptaka, którego się przeraziłem, i unoszącą się wszędzie ciężką woń krwi. Gdy nadszedł świt, po raz pierwszy od dawna zjedliśmy coś i wysłaliśmy na wieżę obserwatora. Prawie natychmiast powiadomił nas, że wodzi zbliżający się tłum. „Uzbrojony tłum”? „Tak, uzbrojony”. „Nie, to nie jony”. „Czy może jest to gwardia tyrana?” „Jest wojsko!”

Rzeczywiście, nie byli to gwardziści ani strażnicy. Tłum, który wtargnął na pałacowy dziedziniec, składał się z rodowitych annopolitańczyków, synów tej tak ciężko doświadczonej przez historię ziemi, i tłum ten wykrzykiwał tylko jedno hasło: „Wolność!”. Wolność, wolność — rozbrzmiewało naokoło nas.

Zeszliśmy po schodach w dół. Przyjrzałem się dokładnie stojącym naprzeciwko mnie ludziom, oni z kolei przypatrzyli się mnie, ślaniającemu się na nogach ze zmęczenia tyranobójcy, a potem przeniósłem wzrok na swoich towarzyszy. Trifon był blady, wyprostowany; podpierał się włócznią. Boecjusz również nie wyglądał najszczególniej. O pozostałych lepiej zamilczeć.

Staliśmy tak nieruchomo na wprost falującej tłuszczu, aż z ciżby wysunął się do przodu pewien mężczyzna, skłonił się nam i rzekł:

— Witajcie. Jesteście bohaterami, uwolniliście nas od tyrana. Od dzisiaj rządy obejmuje lud. Zamknęliśmy w lochach wszystkich agentów i popleczników Maximiusa. Odejdźcie stąd. Nie jesteście już nam potrzebni.

Odeszliśmy, lecz dopiero następnego dnia. Drugą noc w pałacu spędziliśmy na wzajemnych kłótniach i oskarżeniach. Niektórzy z nas twierdzili, że nigdy nie powinniśmy ogłaszać się archontami. Nad ranem zniknął Tri-

fon. W chwilę później podążył jego śladem Boecjusz. Co do zniknięcia tego ostatniego, to nieprawdą jest, żebym był z nim w jakiegokolwiek zмовie. Nie miałem nic wspólnego z tym, co Boecjusz uczynił potem.

Tak przedstawiają się dzieje owego niezwykłego sprzyśiężenia. Opowiedziałem je wam możliwie jak najdokładniej, abyście sami mogli ocenić, ile jest prawdy w zarzutach podnoszonych przez naszych nieprzyjaciół. A teraz muszę już kończyć, bowiem dni mojego długiego żywota dobiegają kresu. Czas już na mnie, czas.

1980

TAJEMNICA

Powiedziano mu, że stary człowiek przebywa zwykle codziennie w gospodzie „Pod Gołym Niebem” i przesiaduje tam przynajmniej do wieczora, a niekiedy nawet dłużej. Mężczyzna, który przyniósł Lucjuszowi tę wiadomość, był wysoki, barczysty, a jego przybrudzona krótka broda była ruda. Lucjusz przyjął wiadomość z mniejszym zdziwieniem, niż na to zasługiwała. Szukał tego człowieka od dwudziestu lat; od dwudziestu nieskończenie długich lat, w trakcie których nieraz zdawało mu się, iż natrafił na właściwy ślad i zawsze przekonywał się, że trop był fałszywy, prowadzący w czarną otchłań beznadziei i zniechęcenia. Teraz, w samym środku upalnego lata, w ćwierć wieku po przewrocie, którego nieopętą tajemnicę starał się zgłębić, szczęście wreszcie uśmiechnęło się do niego, przybierając postać wysokiego mężczyzny z rudą brodą, żądającego za swoją informację zaledwie piętnastu sztuk złota.

Lucjusz wypłacił mu te pieniądze bez wahania. Oszustwa ze strony brodacza nie obawiał się; nieomylny instynkt, wykształcony podczas mozolnych poszukiwań, podpowiadał mu, iż tym razem stanie u progu tajemnicy i być może nawet ją odgadnie. Bardziej lękał się upływu czasu; ostatni z pozostałych przy życiu oficerów gwardii Maximiusa mógł już przecież nie pamiętać wydarzeń tamtych dni i myśl ta długo nie dawała mu spokoju. Przyspieszył kroku. Wkrótce moje wątpliwości albo się rozwiążą, albo umocnią — pomyślał wchodząc do gospody. — Wolałbym, aby prawdziwsze okazało się to pierwsze.

Gdy oczy jego przywykły do panującego w środku półmroku, a słuch oswoił się z mieszaniną najróżniejszych dźwięków, wydawanych przez spragnione gardła stałych bywalców, dostrzegł tego, którego zastać się tu spodziewał i którego opisał mu wcześniej jego przypad-

kowy informator. Ruszył w kierunku stojącej pod przeciwległą ścianą ławy, przeciskając się przez tłum wymachujących kraterami gości i cierpliwie znosząc miotane nań obelgi; wreszcie się zatrzymał. Siedzący na ławie człowiek podniósł wzrok w górę. Nie był jeszcze taki stary, jak można by przypuszczać sądząc po czasie, jaki upłynął od dnia demokratycznego przewrotu, w którym śmierć znalazła najbliższa rodzina tyrana i on sam; i jego zmęczone spojrzenie nie było jeszcze tak bardzo nasycone zwątpieniem i poczuciem nieuchronności kresu, jak spojrzenia innych starców znanych Lucjuszowi, ale mimo to było w nim coś, co przejęło Lucjusza nagłym chłodem. Chyba sprawiła to udreka wyzierająca z oczu starego, udreka, w której zgasła już wszelka nadzieja. Skłonił się, wyrzekł swoje nieistotne imię i w paru zdaniach wyłożył sens swej wizyty, nie wspominając jednak o najważniejszym, z czego przyczyny spędził tyle lat w miejscach, gdzie zwykli się zbierać dawni najemni żołnierze. Starzec najpierw milczał, nie czyniąc nic, co sugerowałoby, że nibawem zamierza przerwać owo milczenie, a potem postąpił podobnie jak Lucjusz; odpowiedział nieznacznym ruchem głowy na jego ukłon i poprosił go, by usiadł obok.

Gospoda powoli napełniała się gośćmi. Byli wśród nich ludzie najrozmaitszych profesji i zainteresowań; uczciwi rzemieślnicy i niegodni oszuści; garncarze, kowale i przekupnie; religijni fanatycy i zwolennicy obalonych bogów; złodzieje i mordercy, strażnicy !ze straży miejskiej i ich przyszłe ofiary. Lucjusz wiedział, że coś nieuchwytnego odróżnia go od tej zbieraniny i lękał się momentu, w którym ktoś zwróci uwagę na tę różnicę. Nigdy nie przybyłby tutaj, gdyby nie wiadomość przyniesiona przez brodacza. Nigdy również nie poświęciłby swego życia na wyjaśnienie zagadki przewrotu sprzed ćwierć wieku, gdyby nie pewne przyrzeczenie, które złożył przed laty, nie domyślając się jego przerażających następstw. Ukradkiem zerknął na Witryniusza. Stary siedział sztywny i wyprostowany, biło zeń dostojeństwo byłego oficera, podpory ty-

rańskich rzadów. Pojmował, że tamten oczekuje na jego odezwanie się, lecz jakaś irracjonalna obawa wzbraniała mu tego. Spoglądał na jego ręce, ręce żołnierza. Zastanawiał się, ile ludzkich żywotów zgasiły one raz na zawsze i ilekroć pozdrawiały zmarłego władcę miasta, wizytującego oddziały swej gwardii na Płomiennych Wzgórzach. Pochylił się do przodu i rzekł:

— Nie wiem, od czego zacząć... Może najpierw napijemy się...

Starzec cichym burknięciem wyraził swe przyzwolenie. Lucjusz odczekał chwilę, a później zażądał najlepszego wina, jakie można tu było otrzymać.

— Niezbyt liczysz się z pieniędzmi...

— Nigdy o nie za bardzo nie dbałem — odpowiedział i umilkł.

Siedzieli nieporuszeni i wolno popijali wino. Wrzask wzmagał się; gości wciąż przybywało, a ich dobry nastrój potęgował się. Lucjusz poszedł spojrzeniem za wzrokiem swego towarzysza i zorientował się, iż Witryniusz przygląda się płowowłosemu olbrzymowi, wyraźnie odróżniającemu się od reszty pijących.

— To barbarzyńca, prawda?

— Tak. Ale nie po to przyszedłeś tutaj, żeby wypytywać mnie o jakiegoś Alana, choćby był nie wiedzieć jak groźnym wojownikiem.

— Zgadza się, Witryniuszu. Nie w tym celu szukałem cię przez dwadzieścia lat.

Stary uśmiechnął się pogardliwie.

Długo trwały twe poszukiwania, Lucjuszu. Teraz mnie odnalazłeś, lecz nie wyglądasz na nadzwyczaj uradowanego. Może obawiasz się o moją pamięć? Jest ona jak ostrze sztyletu. Wszystko się w niej przechowało. No... może prawie wszystko.

Lucjusz odstawił swój krater. Pomyślał, że czas jest bezlitosny i że dłużej nie powinien zwlekać.

— Opowiedz mi o tym... ale błagam cię, nie przeocz żadnego szczegółu, nawet takiego, który wydawać ci się

będzie najzupełniej nieistotny... jak zachowaliście się, gdy dotarła do was wieść o śmierci waszego wodza.

— Naszego pana i władcy, chciałeś rzec... — Witryniusz odruchowo wyprostował się, jakby imię Maximiusa nadal było drogą jego sercu.

— Racja, waszego najwspanialszego władcy...

Stary zlekceważył tę uwagę. Początkowo mówił niewyraźnie i głos jego z trudem przebijał się przez panujący w gospodzie gwar, dopiero po chwili Lucjusz zaczął rozróżniać poszczególne słowa.

— Dla was był on może zbrodniarzem i okrutnikiem, zasługującym jedynie na nienawiść i pogardę, ale dla ludzi, którzy walczyli pod jego rozkazami, gromiąc nieustannie barbarzyńców i buntowników, był on prawdziwym królem, nie uzurpatorem i mordercą. Czy wiesz, że myśmy nie przegrali ani jednej bitwy, nie licząc paru nieważnych potyczek? Czy potrafisz sobie wyobrazić, co to oznaczało dla jego żołnierzy? Nie, ty tego nie będziesz umiał sobie wyobrazić, nawet nie próbuj, Lucjuszu... Bogate łupy, prawda, iż nie tylko na barbarzyńcach zdobywane, złoto, wszędzie sztaby złota, jeszcze dziś mam je przed oczyma, kobiety, całe orszaki zniewolonych kobiet, uczyty, igrzyska, zabawy, ścinanie głowy jeńcom jednym uderzeniem miecza — to wszystko było rezultatem zwycięstw Maximiusa. I ty o nim wyrażasz się z pogardą. Jesteś śmieszny, Lucjuszu...

— Taki był z niego potężny władca i niezwyciężony wojownik? Zapomniałeś już, jak zginął i kim byli ci, którzy go zgładzili.

— Nie przypominaj mi o nich. Nie chcę słyszeć o tych zdrajcach.

— Członkowie przysiężenia nie byli zdrajcami. Żaden z nich nie składał przysięgi na wierność Maximiusowi. Innego rodzaju przysięgę złożyli.

Witryniusz potrząsnął z niechęcią głową.

— Nie wracajmy do tego, zgoda, lecz nie przekonasz mnie, że nie była to podłość domagająca się najsurow-

szej kary.

— Nie rozumiem więc, czemu jej nie wymierzyliscie!

— Stało się to z wielu powodów, ale żeby ci to wyjaśnić, muszę cofnąć się aż do dnia, a właściwie nocy, kiedy to spiskowcy wdarli się do królewskich komnat... — popił łyk wina i ciągnął dalej: — Owej nocy spałem jak zabity, obudzono mnie z najwyższym trudem. Zrazu wiadomość ta w ogóle nie dotarła do mojej świadomości, po prostu nie umiałem sobie tego wyobrazić. Gdy wreszcie pojąłem wszystko, przypasałem miecz i pobiegłem do kwatery dowódcy gwardii, Stratopolugosa. Poza Agatonem, iliarchą lekkiej konnicy i moim przyjacielem, inni dowódcy przybyli już tam wcześniej. Agaton przybył zaraz po mnie. Przyprowadził ze sobą paru swych jeźdźców, naturalnie spieszonych. Krzyczał, że trzeba pomścić śmierć króla. Podniosłem ten okrzyk. Byłem przekonany, że pozostali dowódcy zawtórują mi, lecz oni milczeli. Stratopolugos siedział za swoim pokrytym purpurą stołem i także milczał. Po jego bokach stali Mirrenyjczycy z Elkatesem na czele. Wszyscy ciężko uzbrojeni, z tarczami, w pancerzach. Ja miałem tylko swój sztylet. Niektórzy z lochagasów nawet tego nie posiadali. Przybiegli do kwatery wodza tak szybko, że nie zdążyli się uzbroić. Zapewne nie przypuszczali, że broń może być im potrzebna...

Przerwał na moment, jakby to wspomnienie było dlań tak bolesne, że aż wymagało chwili przerwy. — Stratopolugos odczekał, aż okrzyki umilkły, i wtedy rozpoczął swą przemowę.

— O czym mówił?

— Nie niecierpliw się, zmierzam właśnie do tego. Pierwsze, co zrobił, to poinformował nas o śmierci Maximiusa, jakbyśmy o tym nie dowiedzieli się już wcześniej. Powiedział, okrywając swoją twarz wyrazem przygnębienia i smutku, że nasz pan nie żyje, ale nie wiadomo niestety, kim są jego mordercy ani ilu ich było, tych nie-

godziwców. Potem oświadczył, iż wraz z władcą miasta zginęła większość jego straży przybocznej, co powinno nam dawać pewne wyobrażenie o sile sprzysiężenia. W myśl jego opinii, cały czas powtarzam słowa Stratopolugosa, które utkwiły w mojej pamięci po dziś dzień, spiskowców było przynajmniej kilkuset, bo „inaczej nie udałoby się im dokonać aż takiej rzezi...”.

— Kilkuset! Było ich tylko siedmiu! Słyszysz, Witryniuszu! Siedmiu! Siedmiu herosów, siedmiu bohaterów. Imiona ich są wieczne. Będą istnieć tak długo, jak istnieć będzie to miasto.

Były gwardzista pominął milczeniem tę uwagę, podobnie jak poprzednią. Wpatrzony gdzieś w dal, może w wysoką postać górującego nad swymi kompanami barbarzyńcy alańskiego pochodzenia, kontynuował:

— Strateg powiedział to i popatrzył po nas, swoich podwładnych, wzrokiem badawczym i nieodgadnionym, jak gdyby pragnął sprawdzić, czy mu wierzymy. Ale nasze oblicza były nieprzeniknione. Tylko na twarzy Agatona widniała rozterka i jedynie z twarzy Elkatesa biła jakaś tajemna moc i przekonanie o własnej słuszności.

— Czego był on taki pewien?

— Cierpliwości, przyjacielu, cierpliwości. Nie obawiaj się — nie pomnę niczego, żadnego szczegółu. Obiecałem przekazać ci całą swą wiedzę o tej nocy i dotrzymam tej obietnicy.

— Ufam ci, lecz wolałbym, byś ograniczał się do samych faktów relacjonując te wydarzenia, a nie upiększał ich swoimi komentarzami i ozdobnikami. To naprawdę jest niepotrzebne, Witryniuszu.

— Tak sądzisz? A co uczynisz, gdy nie dokończę tego, co rozpocząłem przed jednym przesypaniem zegara?

— Dokończysz. Wiem to. Jeżeli nie zrobisz tego teraz, nigdy już nie znajdziesz kogoś, kto cię wysłucha.

— Nie ja ciebie szukałem, ale ty mnie. Chyba są w tym mieście ludzie, których to ciekawi tak jak ciebie, Lucjuszu.

—Mylisz się. Jestem jedyny.

—Nie wierzę.

—To bez znaczenia. Życia ci nie starczy, żeby spotkać się kiedyś z kimś podobnym do mnie, o ile ktoś taki w ogóle istnieje, w co ośmielałam się wątpić.

Witryniusz schylił głowę. Trwał tak przez moment, a potem rzekł:

—Może masz rację... Jesteś pierwszym, kto o to pyta od lat...

— Sam więc widzisz, iż nie możesz narzekać na nadmiar wyboru. Albo mnie to opowiesz, albo nikomu. Wracając do tamtej nocy, tak dla ciebie pamiętnej, jak twierdzisz. Czy Stratopolugos proponował atak na pałac, już wówczas opanowany przez spiskowców?

—Nie. Wprost przeciwnie. Powiedział, że zdobycie warowni, jaką jest w rzeczywistości zamek królewski, nie będzie łatwe, ponieważ buntownicy na pewno nie poddadzą się bez walki, a i reakcji mieszkańców Annopolis przewidzieć nie możemy, zwłaszcza, że nigdy naszego pana zbytnią miłością nie obdarzali. Ostatecznie zaproponował wysłanie zwiadu, który sytuację w mieście i naokoło pałacu rozezna, a szturmować mielibyśmy dopiero wtedy, gdyby wszystko ułożyło się pomyślnie. Nie zgodziłem się z tym i zażądałem natychmiastowego ataku. Poparł mnie tylko Agaton. Inni milczeli lub wręcz przytakiwali wodzowi.

—A Elkates?

—Nic nie mówił, nawet się nie poruszył, jakby ów spór jego nie dotyczył. Stał z tarczą na lewym boku, z prawą ręką opartą na mieczu i przyglądał się nam. Jego Mirrenyjczycy wyglądali za to jak sześć spiżowych posągów, gotowych w każdej chwili runąć na tego, kto sprzeciwi się wodzowi. Początkowo się nie bałem, lecz później ogarnął mnie lęk.

—Bałeś się — ty?

—Tak, bałem się. Nie śmierci, to dla żołnierza rzecz zwyczajna, ale tego, że mój opór będzie daremny, że nikt

nie pójdzie w moje ślady. To głupio umierać niepotrzebnie, Lucjuszu.

— Śmierć jest zawsze absurdalna; pamiętaj o tym.

— Pociaszasz mnie, starego? Domyślam się, że nie wierzysz w bogów. Złe postępujesz, ale nie będę cię nawracał; nie dbam o to, jak potoczą się twoje przyszłe losy.

— Mów lepiej o zamachu, a nie o sprawach ostatecznych.

— Twoja wola. Ciszę, jaka zapadła po moim żądaniu, przerwał niespodziewanie Chleon, setnik w jeździe Walikarnesa. Wystąpił z szeregu i zapytał, czy to możliwe, żeby nasi tajni agenci, których Maximius trzymał całe mrowie, nie zauważyli przygotowań do spisku, skoro uczestniczyło w nim kilkuset ludzi. Potem powiedział, że nie zgadza się z dowódcą i uważa, że albo rebelianci są nieliczni, albo posiadają sojuszników w naszych szeregach.

— Zaatakował więc bezpośrednio Stratopolugosa?

— Można to było tak zrozumieć. Zgiełk zrobił się straszliwy, zaczęliśmy jeden przez drugiego krzyczeć o zdradzie, niektórzy obnażyli nawet miecze i napaarli na Elkatesa i Mirrenyjczyków, stanowiących ochronę czy straż przyboczną stratega gwardii. Tamci cofnęli się i złączyli tarcze. To nas otrzeźwiło. Zatrzymaliśmy się. Wykorzystał to Stratopolugos i wszedł pomiędzy nas. Łatwo mogliśmy go wtedy zgładzić, ale nikt tego nie uczynił, nie z braku odwagi. Dowódca przemówił do nas ponownie, powtarzając swoje poprzednie argumenty i oznajmiając, iż niewykrycie na czas spisku nie jest jeszcze dowodem na jego nieistnienie. Chleon w odpowiedzi powołał się na przykład bitwy nad rzeką Iyene, gdzie dzięki zaskoczeniu odparliśmy wroga przy nieznacznych stratach własnych; oczywiście było, czemu ten przykład służy. Stratopolugos na to, że atak bez machin oblężniczych jest przedsięwzięciem bezsensownym, a te są wszakże właśnie na zamku przechowywane. Machiny są zbędne, wystarczą drabiny, rzekł Chleon. „A jeżeli

annopolitańczycy napadną nas od tyłu?” „To tchórze, nie uczynią tego.” W tym momencie wtrącił się Agaton, mówiąc, iż nacierać możemy bez niego. Stratopolugos spiorunował go wzrokiem i powiedział, że nikomu nie odda dowództwa nad gwardią, lecz jeśli ktoś tego gorąco pragnie, może wyprawić się na pałac na własną rękę, tylko ze swym oddziałem. Nie było to wprawdzie przyznanie nam całkowitej racji, ale już niewiele do tego brakowało. Spodziewałem się, iż wszyscy hurmem wybiegną z kwatery, lecz nikt się nie ruszał. Pomyślałem, że tu konieczny jest ktoś, kto pociągnie resztę za sobą. Wyjść jednak nie zdażyłem. Dowódca, jakby domyślając się mego zamiaru, uprzedził mnie pytaniem, po czyjej jestem stronie, jego czy tamtych. Zważ, Lucjuszu, jak chytrze postąpił; momentalnie wbił klin między mnie a pozostałych oficerów, odwołując się zarazem do mojego honoru — winien mu byłem wdzięczność za uratowane życie podczas bitwy pod murami miasta Ochos i on był zdecydowany to wykorzystać. Ale wybrnąłem jakoś z tego. Powiedziałem, że jestem po stronie Maximiusa. Dowódca na to: wszyscy jesteście wierni pamięci naszego zamordowanego władcy. Nikt nie sprzyja buntownikom. Każdy chce go pomścić. Nie zgadzamy się jedynie co do chwili rozpoczęcia ataku; czy nacierać od razu, nie czekając na wieści z Annopolis, czy też nie zwracać na nie najmniejszej uwagi. Odrzekłem, że z wojskowego punktu widzenia korzystne są obie te możliwości. Nie była to taka odpowiedź, jakiej się spodziewał. Popatrzył na mnie z bólem, może udawanym i zaczął się żalić na brak zrozumienia, na niesłuszne podejrzenia, którymi go dotykamy, aż trochę się wzruszyłem, nie na tyle jednak, aby zrezygnować ze swego zamiaru. Chyba to wyczuł, ponieważ odstąpił ode mnie i zwrócił się do Elkatesa z pytaniem, czy i on jest przeciw niemu. Jak ci się wydaje, co nastąpiło potem?

— Elkates zawołał, niech żyje Stratopolugos, nasz wódz, lub coś w tym rodzaju.

— Zgadłeś. Taki okrzyk rzeczywiście padł. Naturalnie ludzie Elkatesa podchwycili go.

— Czy oznacza to...

— Niewykluczone, ale wątpliwe. Stratopolugos bowiem nie przyłączył się do nich ani też niczym nie dał do zrozumienia, iż pragnie zająć miejsce Maximiusa, na co miał olbrzymie szanse; wystarczyłoby, żeby poprowadził nas na buntowników. Ale on się bał, pojmujesz!? Bał się! — Witryniusz oparł się o ścianę i przymknął powieki. Sprawiał wrażenie bardzo znużonego. Lucjusz pomyślał, iż ta rozmowa nadszarpnęła jego siły i starzec może nie wytrzymać do nadejścia brzasku. Przeraził się tego; przejął go strach, że może już nie zdążyć wydrzeć Witryniuszowi ostatniej z jego tajemnic.

— Czy jeszcze chcesz coś wiedzieć? Odpowiem ci, lecz...

— Tak, chcę. Jest to rzecz, która niepokoi mnie najbardziej. Czy pogłoski o tajemnych kontaktach spiskowców z gwardią polegały na prawdzie?

— Nie wiem, o czym mówisz.

— Musisz to wiedzieć. W kilka dni po przewrocie rozeszły się po mieście słuchy, że sprzysiężeni próbowali tej nocy porozumieć się z wami i przeciągnąć gwardię na swoją stronę. Na tej podstawie oskarżono ich później o zamiar przechwycenia władzy. Czy potwierdzasz to przypuszczenie? — ścisnął palce lewej dłoni aż do bólu i pomyślał, iż niebawem, za krótką chwilę dowie się tego, co dręczyło go tak długo i że ta chwila, nie pozostająca przecież w żadnej rozsądnej proporcji z tamtymi latami, wydłuża się nieskończenie i przygotowuje go o przyspieszone bicie serca. Pomyślał także, iż od tej odpowiedzi zależy nie tylko sens jego dotychczasowego życia — a może nawet całego życia, gdyż radości i smutki, których dane mu będzie jeszcze zaznać, będą smutkami i radościami człowieka już martwego, pogodzonego ze swoim losem — lecz również przetrwanie jego dotąd niezłomnej wiary w ludzką zdolność do poświęceń i do stawiania dobra ogółu nad własne. Nie chciał stracić owej wiary, lękał

się, że po jej utracie nie będzie już nic, w co mógłby uwierzyć głęboko i bez zastrzeżeń, tak jak wierzył przedtem w możliwość rozwikłania zagadki, która zaraz dlań zagadką być przestanie.

— Może próbowali, ale nie jestem tego pewien... Nie wymagaj ode mnie, bym pamiętał wszystkie szczegóły tamtej nocy...

Koniec, pomyślał. Przegrałem. Chyba stało się to już wówczas, gdy złożyłem to absurdalne przyrzeczenie.

— Nic to, Witryniuszu. Opowiadaj dalej... Mów o tym, co... Zresztą nie będą ci podpowiadał. Sam wiesz najlepiej, co jeszcze zdarzyło się ważnego.

— Nic się nie zdarzyło. Strateg poddał pod głosowanie swój projekt, lochagarowie i iliarchowie, wołę się nie domyślać, z jakich pobudek, poparli go i rozeszliśmy się do swych wojsk.

— A jak zareagował Stratopolugos na wieść o rebelii w mieście? Tak jak wcześniej?

— Oczywiście. Zamknął się i nikogo do siebie nie dopuszczał. Wartownicy mówili wszystkim, że wódz jest chory. Czy spodziewałeś się po nim czegoś więcej? Jeśli tak, to jesteś głupcem, Lucjuszu...

Nie przebrzmiały jeszcze ostatnie słowa tamtego, a już poczuł się zmęczony i stary. Tajemnica nie była tajemnicą; wstyd mu było, że poświęcił tyle lat na jej wyjaśnienie. Wstał.

— Odchodzę, Witryniuszu. Bywaj zdrów.

— Nie chcesz już nic wiedzieć?

— Nie — odparł. — I tak dowiedziałem się tutaj więcej, niż zdoła to znieść moje serce.

PRZESŁUCHANIE

Poruszył się i jęknął. Piekący ból, umiejscowiony w okolicach prawego uda i stopniowo rozciągający się na inne części ciała, odebrał mu na chwilę poczucie realności istnienia, czego nigdy dotąd nie zaznał, chociaż życie, jakie prowadził, pełne ucieczek i udanych lub nieudanych pogoni, dostarczało mu licznych okazji do doznawania przejmującego bólu i obserwowania na sobie najróżniejszych przemian, może nie mniej bolesnych i dokuczliwych. Powoli jęk jego zamieniał się w głuchy charkot, a potem w donośne wycie, ale nie znalazł się nikt, kto ulitowałby się nad nim, przecinając pasmo bólu nagłym uderzeniem sztyletu. Modlił się o ten sztylet, błagał o danie mu szansy na samounicestwienie, lecz bóg, do którego wznosił swe modły, albo nie słyszał, albo nie chciał usłyszeć jego rozpaczliwych nawoływań. Przestał wymawiać w myślach słowa modlitwy i tylko jego głośny ryk, w którym nie było nic ludzkiego ani nawet zwierzęcego, rozlegał się w niekończonych ciemnościach labiryntu, przebijając się przez nie i wydostając się na zewnątrz, tam gdzie czekała obiecana wolność.

Przyobiecali mu ją trzech inkwizytorzy o twarzach zasłoniętych czarnymi kapturami i fanatycznych, przerażających spojrzeniach, przewiercających go poprzez umieszczone w kapturach otwory. Przyobiecali mu ją trzech ponurzy, nigdy nie uśmiechający się mężczyźni, których jedynym pragnieniem było, aby wyrzekł się nareszcie swoich błędów, zaprzestał swej absurdalnej działalności i wydał swych nieistniejących współników. Próżno powtarzał im, że jego usta nigdy nie splamiły się wypowiedzianiem obraźliwych przysięg, daremnie zaprzeczał osądzeniu o rozpowszechnianie kłamliwych poglądów, bezskutecznie przekonywał sędziów, iż żaden człowiek, wolny czy nie wolny, przenigdy nie dzielił z nim losu wyjętego spod prawa herezjarchy. Członkowie świętego try-

bunału nie wierzyli mu. Nie mogli mu uwierzyć. Nie pozwalały im na to zgromadzone przez tajne służby dowody jego winy i oskarżające go zeznania świadków: ludzi małej wiary, którym zaufał i którzy go zdradzili.

Naraz ból ustał, a raczej nie ustał, a zamienił się w tępe, dokuczliwe wiercenie w boku, nie wymagające już jednak krzyku i nie zmuszające mężczyzny do myślenia o sobie jako o kurczącym i rozpadającym się na kawałki bezosobowym tworze, wyzbytym z wszelkich cech człowieczych. Leżał na kamiennej podłodze, przeraźliwy chłód ogarniał od spodu jego ciało, przytwierdzony do kostki łańcuch udaremniał mu swobodne poruszanie się po lochu. Ten łańcuch był dodatkową karą za jego uporczywą niechęć do mówienia prawdy. Tego rodzaju ograniczenie wolności nie było konieczne i tamci dobrze o tym wiedzieli; uciec stąd nie udało się jeszcze nikomu.

Leżał nieruchomo i zastanawiał się, komu tym razem zawdzięcza swoje uwięzienie. Rozpatrzył możliwość, iż wydała go kobieta, u której spędził ostatnią noc przed pojmaniem; potem wspomniawszy jej dobroć i zawstydzony się swego przypuszczenia. Bardziej skłaniał się ku myśli, że sprawcą tragedii jest ślepy los, przypadek, jakieś niestosowne skojarzenie powstałe w czyimś umyśle, a nie zła wola jednego z jego uczniów, lecz nie potrafił bez reszty odrzucić od siebie tej drugiej ewentualności, chociaż starał się bardzo to uczynić. Nie mógł, ponieważ spotkał się już z tyloma przejawami niemal zwierzęcego upodlenia, do jakiego doprowadzono ludzi w tym kraju, że jego wiara w człowieka zachowała się ledwie w formie szczątkowej, i teraz też zaczęło mu się wydawać, iż to któryś z tych upodlonych, skuszony wysoką nagrodą, wydał go w ręce złowieszczonego trybunału, mieniającego się ostoją sprawiedliwości na nieskończone rozległych obszarach Terytorium. Bronił się przed tym przeświadczeniem, zwalczał je w sobie, ale ono rosło i potężniało, aż nabrało posmaku pewności. Wyobraził sobie tę kobietę, chyłkiem przemykającą od ściany do ściany i ukradkiem przelicza-

jąca otrzymane monety, później w jego świadomości pojawił się obraz drugiej takiej kobiety, i trzeciej, i czwartej — i zobaczył nagle cały tłum takich ohydnych postaci, tłum rozgorączkowany, podniecony, w zapamiętaniu wykrzykujący jego imię, imię heretyka, i żądający skazania go na śmierć. Wszędzie wokół siebie widział donosicieli i zdrajców, otaczających go rozkrzyczanym pierścieniem, wszędzie dokoła unosiła się woń nikczemności i zdrady, i sam po jakimś czasie poczuł się podły i zniewolony, i sam znienawidził swe oblicze, oblicze donosiciela...

—Idziemy — usłyszał czyjś głos.

Podniósł głowę. Znał tego człowieka. Już dwukrotnie wyprowadzał go na przesłuchanie, a potem przyprowadzał tu z powrotem. Nie czuł w stosunku do niego nic: ani nienawiści, ani żalu. Chyba nie uważał go w ogóle za istotę rozumną.

—Czekają na ciebie.

Wstał, pobrzękując łańcuchem.

—Nie uwolnisz mnie od tego?

—Mógłbyś uciec. Nie.

Ruszył w kierunku wyjścia zataczając się nieco. Strażnik obserwował go spod półprzymkniętych powiek. W końcu natrafił na drzwi. Kamienne schodki prowadziły zakolami w górę. Szedł z trudem, ciężko oddychając i nie myśląc o niczym.

—Stań.

Posłusznie wykonał polecenie. Nie miał siły, aby spróbować mu się sprzeciwić, tak, jak to już zrobił dwukrotnie.

—Idź.

Postąpił krok do przodu.

—Nie tam. Skręcaj.

Potykając się o próg wszedł do sali. Nie było to to samo pomieszczenie, w którym przesłuchiowano go wcześniej, ale fakt ów nie wywołał w nim żadnej refleksji. Zauważył tylko, iż sala jest dość rozległa i że jedynym

znajdującym się tu sprzętem jest długi stół, za którym siedzieli trzej zakapturzeni mężczyźni. Nic w ich zachowaniu nie pozwalało rozpoznać, czy spotkał się już z nimi podczas poprzednich prób zmuszenia go do uległości ani jakie żywią wobec niego zamiary: czy będą go bić i przypiekać ogniem, czy ograniczą się wyłącznie do zadawania pytań.

—Zatrzymaj się.

Powiedział to chyba ten w środku, najwyższy z trójki — kaptur nieznacznie poruszył się i opadł w dół, co wyglądało, jakby inkwizytor pragnął go pozdrowić, choć nie mogło to być prawdą i nie było nią; tak to oceniał w świetle swych dotychczasowych doświadczeń, które nie były miłymi doświadczeniami.

— Chcesz może usiąść?

Tym razem jego wątpliwości rozwiały się; pytał ten najwyższy i najpewniej to on właśnie będzie prowadził przesłuchanie.

— Tak.

Dozorca wybąkał coś niewyraźnie i zniknął. Gdy pojawił się znowu, niósł w dłoniach niski zydęł, który postawił tuż obok niego. Usiadł, myśląc, że takie traktowanie nie zapowiada nic dobrego i że powinien być gotów do odparcia nowego ataku.

— Lęasz się nas?

Zaprzeczył.

—Słusznie czynisz. Nic złego ci nie zrobimy, Joachimie...

Ponownie ta życzliwość. Naprawdę, poza zgładzeniem go, nie mogli mu wyrządzić większej krzywdy, niż już wyrządzili, lecz mimo to przejęła go irracjonalna obawa, że nie wytrzyma i zdradzi swą misję, wyrzeknie się swych poglądów. Najbardziej niepokoił się tym, iż nie potrafi wyobrazić sobie okoliczności, w jakich spadnie nań nowy cios.

— Przyznajesz się do winy?

—Nie — odpowiedział natychmiast, zadowolony ze

zmiany taktyki przesłuchujących. Gdy atakowali go wprost, czuł się pewniej. — Nie przyznaję się do niczego.

— Nawet do tego, że posiadałeś współników?

— Zwłaszcza do tego.

W sali zapanowała cisza. Nie wiedział, czy tamci szczerze wierzą w jego winę (jemu owe zarzuty wydawały się istotnie absurdalne), ale czuł, iż jego upór nie nastawia ich doń przychylnie. Być może pragnęli uwolnić go, uznając jego działalność za mało szkodliwą i potrzebowali do tego jedynie deklaracji winy, lecz teraz chyba porzucili swój zamiar, powodowani zwykłą ludzką ambicją.

—Zadziwiasz nas, Joachimie. Twój młody przyjaciel Kurcjuś przyznał się do wszystkiego i opowiedział nam dokładnie o twoich występkach. Gdyby nie to, że nie znalazłeś zbyt wielu słuchaczy, nigdy nie opuściłbyś tego lochu, heretyku.

— Nie jestem nim i nie znam żadnego Kurcjusza.

— Nie dziwi nas to. Znałeś go pod innym imieniem. Chyba jednak nie zwróciłeś dostatecznej uwagi na to, co powiedzieliśmy. Niebawem możesz być wolny. Nie cieszy cię to?

—Nie.

—Dlaczego?

— Bo musiałbym wyrzec się wtedy swych przekonań, a są mi one najdroższe na tym świecie.

Najpierw zaśmiał się jeden, potem następni. Śmiech unosił się w powietrzu niby latawiec miotany wichrem, przesuwał się z miejsca na miejsce, docierał i oddalał się od niego, drażnił jego umysł i zmysły, opanowywał je, wciskał się pod czaszkę i przywoływał obrazy z przeszłości: gospody, w których nocował, drogi, które przemierzał, place i zajazdy, w których nauczał, witany zazwyczaj obojętnością i niezrozumieniem, a odprowadzany wybuchami śmiechu i ironii. Zacisnął powieki, ale nic to nie pomogło; szyderstwo nadal otaczało go ze wszystkich stron i towarzyszyło mu we wszystkich czasach, od przeszłości po dzień dzisiejszy.

— Przekonania? Myśleliśmy, że najwyżej cenisz swe życie.

Nic nie odpowiedział.

— Kurcusz wyjawiał nam, że zawsze dbałeś bardzo o swoje zdrowie i chętnie wyrzekałeś na liczne niewygody, na jakie narażała cię twa obłąkańcza pasja, i podał dość innych przykładów, żebyśmy nie mogli mieć wątpliwości, jakim jesteś naprawdę człowiekiem, Joachimie. Przyznajemy, iż nieco zwiódł nas twój zaciekły opór wobec tortur, które mężnie znosiłeś, próba wody, którą przeszedłeś nie załamując się, lecz dalej uważamy, że jesteś do złamania, albo, skoro nie lubisz tego słowa, do przekonania, iż twój upór jest bezowocny i bezsensowny. Bezowocny dlatego, że nic w ten sposób nie zyskasz, a już na pewno nie wolność, a bezsensowny z tej przyczyny, iż dla nikogo nie staniesz się wzorem i nikt nigdy nie dowie się o twoim poświęceniu i męczeństwie. Jedyny człowiek, który mógłby to poświadczyć, jest naszym agentem i tego nie robi — chociażby ze strachu przed Trybunałem. Zresztą wiesz dobrze, na jakie przeszkody natrafiłeś i to ze strony najmniej spodziewanej. Nie pociągnąłeś tłumów za sobą, poza paroma włóczęgami i łajdakami nikt ciebie nie oklaskiwał, nikt nie chciał cię słuchać, Joachimie! Poniosłeś klęskę. Zanim uwięziono ciebie, poniosłeś klęskę. To bez znaczenia, gdzie przebywasz — tutaj czy za tymi murami. Nie jesteś groźny dla nikogo. Ani dla nas, ani dla władzy państwowej, z którą niekiedy współdziałamy. Uprzytomnij to sobie: przez tyle lat nie zyskałeś niczego: wiernych wyznawców, posłuchu, poważania, nawet pewnej nieszkodliwej popularności. Twoja przegrana jest całkowita i ostateczna. Niezależnie od naszej decyzji — a wiedz, że jesteśmy ci przychylni — twoje idee nie rozprzestrzenia się po Terytorium ani nie zawitają do Annopolis... To tam właśnie przyjęto cię największymi drwinami, prawda? Okrzyczano ciebie pomyłencem i wyrzucono z miasta, przykazując, abyś nigdy doń nie wracał. Joachimie, Joachimie!

Jesteś jeszcze młodym człowiekiem. Czy warto dla uludy marnować życie? Sam sobie na to odpowiedz, zastanów się choćby przez moment i pamiętaj, iż wykonując swe obowiązki, nie życzymy ci źle. Nawet zaskarbiłeś sobie naszą sympatię. Nieczęsto zdarza się spotkać kogoś tak nieprzejednanego. Opamiętaj się, Joachimie — prosimy ciebie — opamiętaj się.

Czuł, jak trucizna, którą wlewają w jego serce, rozplywa się po całym ciele, wywołując drętwotę członków i niepokój umysłu. Żadnemu z tych argumentów nie potrafił przeciwstawić rozsądnego kontrargumentu, mógł tylko cofnąć się pamięcią do przeszłości, do dnia, w którym doszedł do swego oszałamiającego odkrycia, i z owego wspomnienia czerpać siły potrzebne do stłumienia w sobie chęci kapitulacji. Był to zwykły dzień, słotny i niepogodny, niewiele różniący się od innych dni jego dojrzałej młodości, ale gdy Prawda dotarła doń w swej jasnej, oczywistej i niepodważalnej postaci, poczuł się jak bohater starej baśni zaklęciem zamieniający kamienie w złoto lub jak księżę odbierający przemarsz swych wojsk po zwycięskiej bitwie. Długo potem zastanawiał się, czy może, czy powinien rozpowszechniać swoje odkrycie, aż zrozumiał, że po prostu musi. Dlatego myśląc teraz o sobie, o tarapatach, w jakie popadł, myślał o swoim losie jako o losie niezawinionym. Nie z własnej woli przemierzał przecież ogromne połacie rodzinnego kraju, zachodząc do miast i miasteczek, odwiedzając wioski i osiedla weteranów, docierając nawet do ziem Argiwów i Tlusculańczyków, i głosząc wszędzie słowa Prawdy. Nie z własnej woli znosił głód, poniewierkę i więzienie. Nie pragnął wcale tego czynić, wielokrotnie nosił się z zamiarem porzucenia włóczęgi i nigdy go nie realizował. To, co nakłaniało Joachima do nowych wysiłków, było nieuchwytnie i niejasne, tkwiło gdzieś poza nim, poza jego pobożnymi życzeniami i uświadamianymi sobie myślami, lecz było na tyle potężne, by przemóc jego ludzką, pospolitą słabość i wymagać dla siebie bez-

względego posłuszeństwa. To ostatnie było dlań szczególnie nienawistne; nie móc sprzeciwić się w niczym tajemnemu nakazowi żądajacemu od niego czynów na miarę starożytnego herosa, a nie zwyczajnego człowieka; być zmuszanym do ciągłego okazywania swej siły i nieustępliwości. Czyż możliwy jest większy stopień uległości i zniewolenia? I czy jest coś bardziej przeciwnego naturze człowieka słabego aniżeli to właśnie? Miernym pocieszeniem był w tej sytuacji fakt, iż samym sobą potwierdza słuszność swej bluźnierczej teorii, za głoszenie której staje obecnie przed wszechpotężnym Trybunałem, mogącym bądź oczyścić go od zarzutów, albo, co bardziej prawdopodobne, w najlepszym wypadku skazać go na pobyt w owych lochach aż do śmierci.

—Namyśliłeś się, Joachimie?

—Tak. Czego się domagacie?

—Nie domagamy, prosimy. Prosimy cię o wyrzeknięcie się swej herezji i o złożenie przyrzeczenia, że nie będziesz jej rozgłaszał. Jak widzisz, nie chcemy nawet, żebyś wydał tych, którzy ci pomagali. Nie było ich zresztą zbyt wielu.

—Czyli że obawiacie się mnie.

—Twoja pycha jest bezgraniczna. Nie, nie boimy się ciebie ani twoich śmiesznych poglądów. Idzie nam wyłącznie o twoje dobro, niedoszły herezjarcho. Pragniemy ocalić twoją duszę, reszta nas nie interesuje.

—Moje dobro... Nie żyję dla siebie, a dla innych i naturalnie dla Prawdy.

—Prawda... Więc sądzisz, że coś takiego istnieje?

—A wy w to nie wierzycie?

—Jesteśmy strażnikami Prawdy, wiara w nią należy zatem do naszych obowiązków. Dziwne jest twoje pytanie, oskarżony.

—A o co właściwie mnie oskarżacie?

—Przecież wiesz. O sprzeciwianie się Autorytetom, o zaprzeczanie wykładni Mutancjusza.

—To nieprawda!

— Mutancjusz powiada, że Pan obdarzył człowieka wolnością i że ten może postępować według swej woli, o ile nie łamie przy tym Praw. Ty głosisz natomiast, że wszyscy jesteśmy niewolnikami, że żaden człowiek, nawet tak potężny jak miłościwie nam panujący Miriades Zwycięzca, nie może wydostać się z niewidzialnej klatki, która została mu przeznaczona. Nie precyzujesz jednocześnie — wynika to przynajmniej z relacji naszych agentów — na czym polegają owe ograniczenia ani kto je ustanowił. Bo że nie Bóg, to jasne. Podług ciebie Bóg umarł, a jego ostatnim czynem było stworzenie świata, okupione przezeń własną śmiercią. Myśl to szalona, nieprawdopodobna, błędna i absurdalna. Poszczególne elementy twojej hipotezy — pozwolisz, iż tak właśnie określe ów fałszywy pogląd — nie pozostają ze sobą w logicznym związku, a jako całość nie wytrzymuje ona krytyki nawet pospiesznej i nie przemyślanej. Dyskusję z tobą wygrałby byle scholar. Błądzisz, popadasz w herezję, a na domiar złego nie czynisz wysiłków, aby wypełnić słabości swej bluźnierczej teorii. Wiemy, że nie udoskonalałeś jej od lat. I ktoś taki zabiera nam tyle czasu! Wstydzę się, że rozmawiam z tobą, nędzny heretyku.

— Nie nazywaj mnie tak.

— A któż mi w tym przeszkodzi? Może ty?

Milczał. Niczego mu nie oszczędzono; tortur, bólu fizycznego, przerażenia i nadziei, wstydu i poniżenia. Zapłakałby, gdyby nie resztki dumy, które go od tego powstrzymywały.

— Rzekłeś wcześniej, iż żyjesz nie dla siebie, a dla innych ludzi. Wierzymy ci. Zastanów się jednak, co chcesz im przekazać? Jaką prawdę? Taką, w myśl której ich egzystencja straci wszelki sens? Pragniesz pozbawić ich odrobiny nadziei na godniejszy i radośniejszy żywot po śmierci? I w tym ma się objawiać twa chęć na służenie człowiekowi? Ty kpisz, Joachimie... I zapominasz, że Prawda jest — ze swej natury — nieosiągalna. Twierdząc,

że ją poznałeś, grzeszysz. Powiedziałem ci już... nie, nie będę tego powtarzał. I tak nie zrozumiesz. Odejdź.

— Jestem wolny?

— Wolny? — przesłuchujący zdjął kaptur i Joachim ujrzał jego zmęczoną twarz, pociętą rysami zmarszczek i spływającymi po niej strumyczkami potu. — Nie ukorzyłeś się, nie odwołałeś swej herezji i pragniesz cieszyć się wolnością? A czym jest dla ciebie wolność? Przecież uparcie twierdzisz, że jej nie ma. Wobec tego winno ci być obojętne, gdzie spędzisz następne lata.

— Przeinaczasz moje poglądy, szlachetny panie. Jestem tylko więźniem, gdybym nim nie był, ukarałbym cię za to.

— Bezczelny! Śmiesz mi grozić? Doprawdy, twa pycha nie zna granic. Nigdy nie przekręcałem twych myśli, najwyżej je niewłaściwie pojąłem, lecz teraz nie czas na dysputy. Wracaj do celi.

— Jak długo tam zostanę? Do końca życia? Do momentu, aż się nie nawrócę? Odpowiedz mi!

Strażnik podszedł do krzyczącego i schwycił go za ramię. Szarpnął się i tamten zwolnił uchwyt, ale ogólne wyczerpanie i przytwierdzony do nogi łańcuch nie pozwoliły mu uciec zbyt daleko. Ponownie złapany, zaprzestał walki i dał się spokojnie doprowadzić do drzwi. Tam odwrócił się i zawołał: „Prawda zwycięży, słyszycie? Prawda zwycięży!” Dalsze słowa przeszły w niewyraźny bełkot. Szeroka, ohydnie owłosiona łapa dozorczy zamknęła mu usta.

#

Z trudem otworzył klejące się powieki. Nic się naokoło niego nie zmieniło: czarny, ponury loch zdawał się rozciągać we wszystkich kierunkach, ciemności panowały nieprzeniknione, a w powietrzu unosił się zatechły, trupi odór. Nie wiedział, ile czasu upłynęło od ostatniego przesłuchania, ale odnosił wrażenie, iż całe wieki. Do-

zorca przychodził nieregularnie, raz częściej, raz rzadziej — oceniał to na podstawie doskwierającego mu głodu, który stał się dlań jedyną rachubą czasu — nieodmiennie milcząc przy każdej wizycie, stawiając u wezłowia miseczkę z wodą i kawałek ciemnego placka, który natychmiast pożerał, nic nie zostawiając na później, oszczędzając tylko wodę, której starał się nie wypijać od razu, jakkolwiek nie zawsze mu się to udawało. Poza strażnikiem nie odwiedzał go nikt i zaczął się obawiać, że zapomniano już o nim zupełnie. Chwilami wydawało mu się, iż spędzi resztę życia w podziemiach, a kiedy indziej niezrozumiała nadzieja wstępowała w jego serce i nucił wtedy słowa jakiejś pieśni albo głośno rozprawiał sam ze sobą, wracając zazwyczaj myślą do utarczki, jaką stoczył w trakcie przesłuchania, i uzbrajając się w argumenty na wypadek, gdyby miano go wezwać ponownie. Początkowo obawiał się szcurów, lecz gdy nie pokazywały się, stopniowo wyzbył się swego strachu. Łańcuchem do ściany przytwierdzony już nie był; owa swoboda poruszania dawała mu jednak niewiele, bo dozorca nigdy nie zapominał o starannym zaryglowaniu drzwi do jego celi. Był też moment, kiedy przemyślał o rzuceniu się na strażnika i obezwładnieniu go, ale szybko zaniechał owego zamiaru — szans na pokonanie tamtego nie miał żadnych i jedynym skutkiem nieposłuszeństwa mogło być obostrzenie więziennego regulaminu, czego wolał uniknąć.

Poza głodem dokuczał mu chłód bijący od kamiennej posadzki i wżerający się nieubłaganie w jego zmęczone licznymi przeciwnościami losu ciało, i aby nie szczeznąć z zimna do końca, nie kładł się prawie wcale, dużo spacerując po pomieszczeniu i podskakując w miejscu, gdy chodzenie tam i z powrotem już mu się znudziło. Teraz również podniósł się z barłogu i jał krażyć po lochu, bezwiednie obmacując dłońmi chropowaty mur, nie tyle licząc na odkrycie jakiejś luźniejszej cegły czy fragmentu wykruszonego spoiwa, co pragnąc w ten sposób zaznać

częściowego ukojenia. Doszedł do drzwi i przystanął. Potem usłyszał chrobot w zamku i ciche postękiwanie. Odsunął się w tył i czekał.

Stalowe wrota uchyliły się. W płomyku świecy trzymanej przez wchodzącego rozpoznał jego twarz: młodą, ogorzałą i porośniętą brodą. Nie była to twarz strażnika, który z reguły przynosił mu jedzenie. Młodzieniec był uzbrojony i jego prawica spoczywała na rękojeści miecza. Cofnął się, ogarnięty przerażeniem. Czyżby wyrok na mnie został już wydany? — pomyślał śledząc w skupieniu ruchy tamtego.

— Boisz się mnie?

Pragnął zaprzeczyć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Zachrypiał tylko i zrobił jeszcze jeden krok w tył, potykając się o jakąś nierówność.

Gdy zerwał się z ziemi, zobaczył przed sobą tańczący płomień. Przymknął powieki; blask był zbyt silny, by jego przywykłe do całkowitej ciemności oczy mogły to znieść.

Potem usłyszał szept. „Wyjdiesz... tej nocy... korytarzem w prawo... ciągle będziesz skręcał w prawo... aż dojdiesz do...”. Szept ucichł — albo stał się na tyle niewyraźny, żeby zrozumienie czegokolwiek było niemożliwością. Spojrzał wprost przed siebie. Nikogo nie zauważył. Podeszedł do drzwi, zbliżając się do nich z nieskończoną powolnością, jakby chciał odsunąć od siebie jak najdalej ów radosny moment, w którym przekona się, iż są otwarte.

Dotyk zimnej, wypolerowanej powierzchni okazał się dlań szokiem. Oparł się o nie całym ciałem, przesuwał po nich dłońmi i bezgłośnie pochlipywał. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo tkwił w tym miejscu nieruchomo, dygocząc z przejmującego chłodu i wytrwale pojękując. W pewnej chwili oprzytomniał. Pomógł mu wprawdzie głód, bez którego chyba tak nagle nie oddaliłby się od drzwi, ale nie to wyłącznie zadecydowało, że wreszcie uwierzył w realność tamtej wizyty. Skłoniły go do tego:

mieszanina próżności i nadziei, świadomość faktu, iż nigdy wcześniej, choć więziono go też długimi miesiącami, skąpo wydzielając pokarm i wodę, nie postradał zmysłów, kilka zdań, które niespodziewanie pojawiło się w jego pamięci, kilka słów, które — jak mu się zdawało — dobrze zapamiętał. Postanowił czekać. Noc... pomyślał. Dzień tu niczym od niej się nie różni, lecz tym razem owo rozróżnienie będzie konieczne.

Kim był nieznajomy? Wysłannikiem niebios? Agentem Kurcjusza? Jakimś jego utajnionym zwolennikiem? A może to podstęp? Może inkwizytorzy pragną wystawić go na próbę, aby rozczarowanie było tym boleśnieszce? Wykluczone. To nie jest podstęp. Kurcjusz przecież wcale nie musiał zdradzić. Na pewno mnie okłamywali. Niczym zresztą nie ryzykuję. Do zgładzenia mnie pretekst jest niepotrzebny. Zawsze mogą mnie zabić. Nikt się za mną nie ujmie. Nie zyskałem wielu wyznawców. Mieli słuszość, powiadając, że moje wołanie pozostało bezskuteczne. Ale nie zrezygnuję. Nie wolno mi tego zrobić. Muszę czekać, aż nadejdzie noc. To jest najtrudniejsze. Domyślić się, kiedy upłynie dzień. Straciłem tu rachubę czasu. Każdy by ją stracił na moim miejscu. Nie powinienem więc tego sobie wyrzucać. Przed nieuniknionym nie ma obrony. Takie jest moje wyznanie wiary. Postąpię zgodnie z tym, co mi dyktuje sumienie. A ono mówi, bym nie zrezygnował. Nie zrezygnuję.

Położył się, aby odpocząć. Czuł się zmęczony owymi rozważaniami, które uznał trochę za bezcelowe. Zasnął. Gdy się obudził, otoczenie wyglądało niby tak jak poprzednio, lecz w rzeczywistości zaszła w nim jakaś zmiana. Dokładnie jaka, nie wiedział, ale o tym, że coś się zmieniło, był przekonany. Dotknął ściany i wodząc po niej dłonią jak ślepiec dobrnął do drzwi. Nie starał się jeszcze ich otworzyć, ponieważ lękał się ponownej utraty nadziei. Nasłuchiwał, absurdalnie wyciągając szyję. Znikąd nie dochodził żaden dźwięk. Nikt też chyba nie znajdował się po przeciwnej stronie drzwi. Postanowił,

że zaraz je popchnie i wyjdzie na zewnątrz. Odwlekał jednak nadal ten moment, już nie ze strachu, a z rozkoszy. Wyobrażał sobie radość, jaka go ogarnie, gdy tam się dostanie, wyszukiwał rozmaite powody, by nie spieszyć się ze swoim zamiarem, usiłował odgadnąć rozkład tamtych korytarzyków, przypominał sobie przykazanie, ażeby nieustannie skręcać w prawo, powtórzył je parokrotnie, niepewny, czy należy traktować je dosłownie, czy symbolicznie, wyobrażał sobie bogactwo szczegółów, na jakie napotka po uzyskaniu wolności lub chociażby po zbliżeniu się do niej, wspominał tych, którzy go zdradzili i tych, którzy go przesłuchiwali, i w trakcie tego zdecydował się... Drzwi ustąpiły. Napał na nie znowu, nateżając mięśnie i przywołując resztki sił. Odsunęły się dalej, potwornie zgrzytając. Zastygł w bezruchu. Pierwsza część jego planu powiodła się, nieznajomy nie okłamał go, ale czy ów hałas nie ściągnie strażników? Przestał oddychać. Trwał tak przez jakiś czas, aż zaczęło mu się wydawać, iż to wszystko nigdy się nie zdarzyło, że jest tylko koszmarnym snem, z którego wyrwie się wkrótce z donośnym krzykiem i uczuciem całkowitego wyzwolenia. To jednak nie był sen, a jeśli nawet, to trzeba postępować tak, jakby to była jawa. Uderzył barkiem w metaliczną płaszczyznę broniącą mu dostępu do wolności i wcisnął się w powstałą lukę, opuszczając swoje więzienie.

Spodziewał się wielkiego bogactwa szczegółów, wykuszy, ohydnych płaskorzeźb, schodków i pochodni oświetlających drogę, lecz rzeczywistość okazała się odmienna. Nie było pochodni, halabard wiszących na ścianach, dziwnych znaków wrytych na murach, korytarzyk wiódł stale prosto, aż do rozwidlenia, które go zastanowiło. Przechodził już tędy wszak trzykrotnie, wzywany przed oblicze Trybunału, ale tej odnogi sobie nie przypominał. Może trzymany byłem wówczas w innej celi? — pomyślał. — Nie jest to nieprawdopodobne, jeden loch od drugiego niczym się przecież nie różni: zawsze ta sama

ciemność, ten sam chłód, to samo uczucie beznadziei. Skreślił w prawo zgodnie z otrzymanym poleceniem. Droga opadała nieco w dół, pojawiła się wilgoć na murach i kałuże wody pod stopami. Nie zrażony tymi przeciwnościami szedł dalej, lekko pochylony z ręką wyciągniętą w przód, obmacującą przestrzeń naprzeciw niego, obawiając się zderzenia z jakąś przeszkodą. Strop zniżył się już tak bardzo, że nie miał okazji ani razu wyprostować się i choćby na chwilę odpocząć. Doskwierał mu głód, ścisk w dołku stawał się coraz nieprzyjemniejszy, a w miejscu, gdzie kręgosłup łączy się z miednicą czuł piekący ból, stopniowo rozpełzający na boki i podchodzący aż do grzbietu. W wodzie brodził już po kostki, odrobina suchej powierzchni była tylko pod ścianami, do których się obecnie przysunął, lecz szybko zniechęcił się występującą na nich wilgocią. Dokąd ten korytarzyk prowadzi? Czy aby na pewno do wolności? A jeżeli nieznamy mnie oszukał? Jeżeli był to naprawdę spisek? Co wtedy? Może powinienem cofnąć się póki czas i poszukać innej drogi? Może trzeba mi było skreślić w tę drugą odnogę? Teraz jednak już za późno na odwrót. Mogli zauważyć moją ucieczkę. Zapewne trwają gorączkowe poszukiwania zbiegłego więźnia. Za moją głowę wyznaczono nagrodę. Zwiększy ona zapal dozorców, strażników i żołnierzy i nic mnie nie uratuje. Co mi zrobią, gdy padnę w końcu ich ofiarą? Zabiją mnie natychmiast, zgodnie z niepisanym prawem, iż uciekający więzień nie jest pod niczyją ochroną, nawet Boską? Mogą mnie zabić. Nie boję się śmierci. Jestem na nią gotowy. Nie zobaczą na mej twarzy błysku przerażenia. Nie ugnę się przed nimi, nie będę padał na kolana i prosił o *wybaczenie*. Nie wyrzeknę się też swoich rzekomych błędów. Nie wykluczam, iż temu służy właśnie moja pozorowana ucieczka, o ile jest ona istotnie z góry ukartowana. Pokazać delikwentowi wolność nieomal na wyciągnięcie ręki i później mu ją zabrać. To może złamać najsilniejszego. Ale nie mnie. Nie jestem przecież czło-

wiekim wolnym, jak to słusznie spostrzegli inkwizytorzy. I mnie dotyczą owe ograniczenia, w które tamci nie chcieli wierzyć. A może udawali jedynie, że nie wierzą? Nieważne. Nie powinienem zastanawiać się nad niczym, co nie jest bezpośrednio związane z moim obecnym położeniem... Poza tym wydaje mi się, iż jednak mojej ucieczki jeszcze nie zauważono. Przypuszczenie to opieram na spokoju panującym w podziemiach. Gdyby droga nie była taka uciążliwa, bardziej zbliżyłbym się już do celu. Co to? Krata? Krata tutaj?

Zatrzymał się niby rażony gromem. Mógł się spodziewać wszystkiego, tylko nie tak widomego dowodu zdrady. Oszukano go. Naparł na kratę w geście rozpaczony, lecz nie była ona przeżarta rdzą ani nadwątlona w jakiś inny sposób. Nic nie wskórał. Pręty nie ugięły się nawet, kpiąc z jego wysiłku. Brudną, obłożoną dłonią otarł pot z czoła, oddychając ciężko, nierówno. Gdy uspokoił oddech, pomyślał o odwrocie jako o symbolu porażki, poniesionej tutaj, w lochach i wcześniej, podczas długotrwałych wędrówek po miastach i miasteczkach Terytorium.

Zawrócił. Znowu rozchlapывał nogami kałuże wody, ponownie czuł przeraźliwy ucisk w dołku i przeszywający ból w kręgosłupie. Szedł pod górę, droga była zatem trudniejsza i bardziej wyczerpująca niż poprzednio, a dochodziła jeszcze do tego świadomość porażki. W zasadzie stracił już nadzieję, tylko jej resztki kołatały w jego sercu, nakłaniając go do nowego wysiłku. Często przystawał i odpoczywał, kuląc się z zimna. W pewnym momencie zauważył, iż lustro wody podnosi się, ale zlekceważył owo ostrzeżenie, może dlatego, że i tak nie potrafiłby przeciwdziałać zagrożeniu. Szedł dalej.

Nagle usłyszał jakiś głos. Nieznane dźwięki rozbrzmiewały dokoła, drażniąc zmysły uciekiniera. Opędzał się od nich rękoma jak od bzyjących much, postękiwał i dyszał, zagłuszając je i odpychając od siebie. Woda sięgała mu do kolan. Postanowił iść szybciej, lecz głosy przeszkadza-

ły mu. Wsłuchiwał się w nie niechcący, starając się coś zrozumieć. Wreszcie, utrudzony do granic wytrzymałości, oparł się o ścianę, stosunkowo suchą w tym miejscu. Zdziwiło go to. Zaczął wodzić dłońmi po murze i natrafił jakby na framugę drzwi. Nacisnął — drzwi ustąpiły. Początkowo pomyślał, że dobrnął z powrotem do swego lochu, ale później zorientował się w pomyłce. To nie było jego więzienie, nigdy przedtem tu nie był.

Obmacał i opukał ściany w tym pomieszczeniu, odkrywając, iż ma ono kształt zwązającej się na krańcach tunele i że można z niego przedostać się do nowego pomieszczenia, które łączył z tamtym wąziutki korytarzyk. Wszedł do środka i znieruchomiał z wrażenia. Ta celka była najwyraźniej zamieszkała. Świadczyły o tym zydle porozstawiane po kątach, niewielki stół stojący przy nagiej pryczy, okruchy jedzenia na stole i strzępki materiału walające się po podłodze. Zobaczył to wszystko w świetle kaganka wiszącego na jednej ze ścian.

Zbliżył się do stołu, zgarnął okruchy i połknął je momentalnie. Głodu wprawdzie nie zaspokoił, lecz poczuł się trochę lepiej; liczył na znalezienie większej ilości jedzenia w następnej komnacie i spodziewał się, że pozwoli mu to nabrać sił koniecznych do wydostania się z tego ponurego gmachu, gdzie więziono go od tak dawna, wystarczająco długo, aby stracił wszelką rachubę czasu: mógł tu przebywać równie dobrze miesiąc, jak i rok. Zdjął kaganek ze ściany i oświetlając sobie drogę ruszył dalej, wychodząc na przestronny korytarz, na razie bezludny, ale w każdej chwili ktoś mógł się na nim pojawić. Z oczywistych powodów wołał uniknąć takiego spotkania i dlatego szedł ostrożnie, kryjąc się po wnękach, gdy zdawało mu się, że słyszy jakieś podniesione głosy, i z wrażenia wstrzymując oddech, jakby w czymkolwiek mogło mu to być pomocne.

W pewnym momencie przystanął. Korytarz rozwidłał się. Miał przed sobą trzy możliwości: pójść w prawo, wąską odnogą prowadzącą w nieznanym kierunku, skrócić

w lewo, i wtedy musiałyby wspinać się po stromych schodkach, które mogły prowadzić wszędzie, nawet do sali, gdzie go przesłuchiowano, i powędrować prosto, co było — jak sądził — najbardziej niebezpieczne. Wybrał tę ostatnią możliwość, ponieważ rozumiał, iż bezcelowe błąkanie się po bezludnych i chyba rzadko odwiedzanych korytarzykach nie przybliży go do celu, acz daje mu złudne poczucie bezpieczeństwa.

Postąpił kilka kroków do przodu i zastygł w bezruchu. Ktoś nadchodził z przeciwnej strony. Jeszcze go nie widział, ale słyszał już posapywanie tamtego i stukot jego drewniaków. Pomyślał, że nie powinien stać w miejscu...

Przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i wówczas go zobaczył. Nieznajomy szedł nieco zataczającym się krokiem, na tyle jednak pewnym, iżby nie obijać się od ściany do ściany. Również ruszył, modląc się w duchu o coś, czego nie potrafiłby sprecyzować i wyrazić słowami, co może było tylko nierozsądnym przypuszczeniem, błędną i absurdalną nadzieją, a może jedyną w swoim rodzaju szansą na wyzwolenie.

Gdy zrównali się, spostrzegł, że tamten jest nieuzbrojony, niższy i węższy od niego i bezspornie nie do końca trzeźwy. Decyzję podjął natychmiast, w okamgnieniu. Zderzył się z nim, niby przypadkiem i przytrzymał go za rękaw. „Powiedz mi... przyjacielu — bełkotał — jak trafić do... Zdaje się, że zablądziłem. Oby to krew...”. Urwał w tym momencie i z niepokojem czekał na odpowiedź lub na jakąś inną reakcję zaczepionego strażnika, o ile był to rzeczywiście strażnik, a nie kancelista czy pisarz. „Też cię... zmogło? Szukasz wyjścia?” Przytaknął. „Ciągle prosto, a potem w lewo. A może wolisz pójść do bocznej furtki, stamtąd łatwiej dostać się do gospody?”. Zdecydowanie został wzięty za tego, kim nie był, a za kogo chciał bardzo uchodzić. „W takim wypadku skreślisz zaraz w prawo. Gdy tylko dojdiesz do kapliczki. Potem schodami w dół i...”. „Dziękuję ci” — wyszeptał, zwalniając uchwyt. Tamten odburknął coś nie-

wyraźnie i zniknął w ciemnościach.

Udało się. Będę wolny. Nikt nie będzie więcej łamał mi kości ani domagał się zrobienia czegoś, na co nie mam najmniejszej ochoty.

Teraz szedł już szybciej, zmęczenie opadło zeń wraz z odejściem podpitego sługi Trybunału, obojętnie, strażnika czy kancelisty, wszak to bez znaczenia, jakiego rodzaju kółkiem w machinie przemocy i występku ubranego w majestat prawa był nieznajomy, osobnik nie domyślający się nawet, komu oddał tę niby nieważną przysługę, nadzieja znowu wstąpiła w Joachima, był prawie pewien, że ucieczka powiedzie mu się, nikt przecież go nie szukał, nikt nie wiedział o opuszczeniu celi, wszystko sprzyjało jego zamiarowi, nikt nie zainteresował się nim, błakającym się po podziemnych korytarzach, nikt również nie będzie mu wzbraniał wyjścia z gmachu, bo zdąży tam, gdzie stoją ewentualne straże.

Przechodząc obok kapliczki struchlał na moment, ponieważ wydało mu się, iż drzwi otwierają się i wynurza się z nich jakaś wysoka postać, w której rozpoznawał jednego z inkwizytorów, lecz było to złudzenie. Doszedł go tylko uroczysty śpiew, niezbyt liczny chór podchwycił słowa modlitwy roztapiając je w smutnym zawodzeniu, i później nastąpiła cisza. Przyspieszył kroku.

Tajemniczy przechodzień nie kłamał. Schody istotnie prowadziły w dół. Schodzenie przysporzyło mu trochę kłopotów, kaganek już zgasł i nic nie rozpraszało ciemności, ale nie zrażał się tymi trudnościami, o których wiedział, że są przejściowe i błahe, zwłaszcza gdyby zestawić je z poprzednimi, nieporównywalnie groźniejszymi. Cały czas dotykał ręką ściany, zabezpieczało go to przed upadkiem i dodawało pewności. Wreszcie zrobiło się jaśniej, na tyle orientował się już w zawłościach budowy owego gmaszyska, że trafnie przeczuł bliską obecność pojedynczego okna, czy raczej przesłoniętej błonami szpary, jak się niebawem przekonał naocznie. Nie potrafił wprawdzie powstrzymać się od przyjemności spojrze-

nia przez okno — ujrzał fragment fosy i kawałek starego muru, najwidoczniej rozdzielającego jedno zamkowe skrzydło od drugiego albo będącego pozostałością po dawnych planach rozbudowy warowni — lecz skarcił się zaraz w duchu za podobną nieostrożność, w dodatku odwlekającą chwilę upragnionego uwolnienia. Dalej korytarzyk zwięzał się, przybierając kształt gruszki, której podstawę miał już za sobą, a potem znowu się rozszerzył, tak że kilku ludzi mogło wyminąć się swobodnie, bez ocierania się o siebie. Porozstawiane w nierównych odstępach gipsowe figury urozmaicały mu drogę, oświetlaną jeszcze przez płonące tu i ówdzie kaganki, przytwierdzone do ścian lub stojące na tych figurkach. Idąc nie umiał oprzeć się wrażeniu, iż ktoś za nim podąża, ale nie odwracał się, może dlatego, by udowodnić sobie, że się nie boi. Uczucie owo nie opuszczało go jednak, rozbudzona wyobraźnia podsunęła wizję najbardziej przerażającą z możliwych, tę samą, którą niby już bezpowrotnie odrzucił jako skrajnie nieprawdopodobną. Szedł coraz wolniej, wreszcie stanął. Nic nie zakłócało ciszy, lecz nie potrafił się wyzbyć swego niepokoju. Nie pomogło mu nawet przekonanie się, iż nie miał racji. Nikogo za swymi plecami nie spostrzegł, ale strach nie ustąpił. Z najwyższym trudem powstrzymał się od pragnienia, żeby biec.

Dalsza droga była koszmarem, przy którym bladły jego przeżycia z pobytu w celi i o którym myślał, że się nigdy nie skończy. Dygotał, pot oblewał jego czoło i ściekał po karku, na przemian robiło mu się zimno i gorąco, nieustannie oczekiwał wyłonienia się zza kolejnego załomu postaci jego nieubłaganego prześladowcy, do każdego zakrętu zbliżał się z sercem przeszytym lękiem, potem paraliż ustępował i ogarniała go euforia, szybko zastępowana przez krańcowe przygnębienie, parokrotnie zastanawiał się nad zawróceniem i pójściem inną trasą, po czym odrzucał ów projekt jako niemożliwy, kilka razy zatrzymywał się i spoglądał za siebie ze zdziwieniem przekonując się, iż nikt go nie śledzi, drżał przy każ-

dym odgłosie, choćby był nie wiedzieć jak cichy i niewyraźny, z prawdziwym przerażeniem myślał o chwili, w której dojdzie wreszcie do furtki. Nigdy w życiu się tak jeszcze nie bał: ani wtedy, gdy odpowiadał na pytania Trybunału i gdy grożono mu torturami, ani wówczas, gdy groźby te wprowadzano w czyn, ani nawet wtedy, gdy prowadzono go na nowe przesłuchanie. Zdało mu się, że oszaleje, że już stracił zmysły. Z niedowierzaniem dotykał swego ciała, jakby nie wierzył w jego materialność, nieufnie przyglądał się otoczeniu, niepewny, czy aby już tędy nie przechodził. Wreszcie strach ustąpił. Stało się to nagle, w jakimś niesprecyzowanym momencie, którego nie potrafiłby odtworzyć, i nie miało żadnego związku z tym, co widział i słyszał. Szedł jak we śnie, nie reagując na nic. Gdy zobaczył przed sobą wprawione w ozdobną framugę drewniane wrota, pomyślał beznamietnie, że to zapewne tutaj i że w końcu doszedł. Pchnął drzwi, te odsunęły się skrzypiąc. Oszołomiło go bliskie i brutalne wspomnienie: dwaj mężczyźni, niewysocy i barczyści, rzucili się na niego, obezwładnili i powlekli do klatki tuż obok. Nie stawiał oporu. Byłby on zresztą bezskuteczny. Pozwolił się związać i zakneblować i dopiero wtenczas poczuł żal za straconą wolnością. Nie zażywał jej zbyt długo, ale zawsze była to swoboda. Żal ów nie był jednak na tyle silny, by próbował wyzwolić się z więzów. Strażnicy odeszli, sadzając go na wygodnej pryczy i jak na ironię zwracając jego twarz w kierunku małego okienka, z którego dochodził dopływ świeżego powietrza. Wdychał je rytmicznie, wdech—wydech, znowu wdech, pomagało mu to bardzo, żeby nie te sznury, może nawet pomyślałby o ucieczce.

Podniósł głowę. Ktoś stał na progu. Nie zauważył go przedtem. Musiał wejść bezszelestnie, jakby był zjawą, nie człowiekiem.

— Znów się spotykamy, Joachimie...

Knebel uniemożliwił mu odpowiedź, lecz przypusz-

czalnie nie odpowiedziałby i w tym przypadku, gdyby potrafił to uczynić.

—Nadal więc jesteś naszym więźniem... nie uciekłeś...
— podszedł doń i wyciągnął mu pakuły z jamy ustnej, poprzestając na tej czynności.

—Staraleś się uciec... Dlaczego? Przecież zgodnie ze swą wiarą powinieneś beczynnienie oczekiwać na przeznaczenie...

— Kim jesteś?

— Nie poznajesz mnie?

Zaprzeczył.

— I nie domyślasz się tego?

— Domyślam, ale nie jesteś tym, który mnie przesłuchiwał ostatnim razem.

— Nieco się mylisz. Istotnie nie zadawałem ci pytań, lecz cały czas byłem przy tym obecny.

— Czemu to ty przyszedłeś, a nie tamten?

— Tamten — czyli kto?

— Wiesz, kto.

— Zwracasz się do mnie tak, jakbym nie był panem twoich losów. Mogę zrobić z tobą wszystko. Pamiętaj — wszystko. Przyłapałem cię na próbie ucieczki, prawie że udanej, i rozumiesz chyba, czym ci to grozi.

Milczał.

— Grozi ci wyrok śmierci, Joachimie.

Nie poruszył się nawet.

— Akceptujesz go?

— Nie.

— Wreszcie przemówiłeś. Cieszę się z tego.

— Może mniej się ucieszysz, gdy dowiesz się, o co zamierzam cię zapytać.

— Pytaj, Joachimie. Po to tu jestem, aby z tobą rozmawiać.

— Najpierw mnie rozwiąż.

— Mam cię uwolnić? A ty rzucisz się na mnie? Twoje żądania są śmieszne!

— Więc będę milczał.

Inkwizytor zastanawiał się przez moment. Potem na jego starczej, pobrużdżonej twarzy zagościł uśmiech: nieznaczne skrzywienie warg, w którym to geście Joachim dojrzał cały bezmiar żywionej doń pogardy; pogardy do kogoś, kto jest nikim.

— Dobrze. Każę rozciąć twoje więzy — wyszedł z celki, wracając wkrótce z uzbrojonym w sztylet żołnierzem. — Uwolnij go. I zostań za drzwiami.

Żołdak opuścił pomieszczenie bez słowa. Jego sposób poruszania, jego ruchy były mechaniczne i skrupulatne, właściwe bardziej światu roślin i planet aniżeli światu ludzkiemu czy zwierzęcemu. W niespodziewanym błysku olśnienia pojął, iż ma przed oczami żywy dowód słuszności swej teorii, której nie chciano uznać za prawdziwą, odwołując się do wyższych racji lub przekonując go groźbą i torturami. „Nigdy się jej nie wyrzeknę. Nigdy”.

— Spełniłem twoje życzenie. Kolej na ciebie.

Zaśmiał się w duchu.

— A jeżeli nie dotrzymam swej obietnicy?

— Dotrzymasz.

— Jak mnie do tego zmusisz?

— Nie będę cię zmuszał.

— Mogę zatem nie pytać?

— Oczywiście.

— I nie uczynisz mi nic złego?

— Nie.

— Tym bardziej nie powinienem pytać, bo znam odpowiedź. Ty n i a jesteś.

— Tak, ja.

— Wymyśliłeś to wszystko, żeby mnie upokorzyć, odebrać mi resztki nadziei, łatwiej zmusić do kapitulacji?

— Nie będę zaprzeczał.

— Czemu to zrobiłeś?

— Już sobie na to odpowiedziałem.

— I uważasz, że...

— Tak.

— Mylisz się. Nie poddam się.

— Nie wiesz jeszcze, jakie warunki pragnę ci zaproponować.

— Możesz tego nie mówić. I tak ich nie spełnię. Niczego nie odwołam, niczego się nie wyrzeknę, nikogo nie wydam,, do niczego się nie przyznam ani nie złożę żadnej obietnicy, którą zresztą później mógłbym złamać.

Powiedział to i poczuł ulgę. Potem, nieomal instynktownie, w każdym razie bez udziału woli, przynajmniej w części nieświadomie, zaczął zastanawiać się, dlaczego owo wyznanie, tak często wszak przez niego powtarzane, przyniosło mu ulgę. Czyżbym nie był siebie pewien? I inkwizytor wie o tym, i dlatego poddał go próbie?

— Możesz zostać natychmiast uwolniony. Na mocy mego polecenia, które jest w tym wypadku równoważne ze stanowiskiem Trybunału, otworzą się przed tobą bramy więzienia i nikt nie będzie cię w przyszłości niepokoił, śledził, do czegoś namawiał. Twoje imię nie zachowa się w naszych aktach, nigdzie nie będzie śladu, że kiedykolwiek stawałeś oskarżony o najwyższą zbrodnię. Chyba nie wątpisz, że tego dotrzymamy?

— Istotnie, wierzę ci. Nie macie powodów mnie okłamywać. Te obietnice jednak przerażają mnie. Jakaś nieskończona podłość musi kryć się za nimi, skoro ofiarowujecie mi więcej, niż mógłbym tego się spodziewać w najśmielszych snach. Czego żądacie w zamian?

Ponownie zobaczył to skrzywienie warg, które przedtem wydało mu się tak nienawistne. Zadrżał, tracąc na krótką chwilę panowanie nad swoim zmęczonym ciałem.

— Spróbuj to odgadnąć.

— Nie. Pojmuję, do czego zmierzasz. Chcesz w ten sposób przygotować mnie do rezygnacji. Sądziś, że później będzie mi łatwiej wyrzec się siebie do końca.

Zamilkli. Cisza przeciągała się. Nie wyobrażał sobie nawet, iż czas może płynąć tak wolno.

— Nie żądamy w zamian niczego. Twoje uwolnienie nie jest uzależnione od spełnienia jakichkolwiek warun-

ków.

— Nie jest... — powtórzył bezmyślnie. Czuł przeogromną pustkę, a przed oczyma pojawiły mu się ciemne, złowieszcze plamy.

— Jesteś wolny.

— Nie. Nie.

— Nie pragniesz wolności?

— Nie... Nie za taką cenę.

— Nie ma żadnej ceny. Nie ma niczego.

— Niczego?

— Tak.

Odebrano mi wszystko, pomyślał. Tak jakbym nie istniał, jakbym przestał być żywym człowiekiem.

— Możesz odejść.

— Naprawdę? Nie jest to podstęp?

— Wiesz, że nie.

— Nie wierzę wam. Oszukujecie mnie. To nowa próba, znowu coś mi ofiarowujecie, żeby zaraz odebrać.

— Mówisz jak w gorączce, Joachimie. Nie jesteśmy aż tak okrutni. Poza tym byłoby to bezsensowne. Nikomu nie zagrażasz: ani nam, ani zwykłym ludziom. Nie przekonasz nikogo do swej herezji, o ile dalej będziesz próbował ją głosić, w co osobiście powątpiewam. Nie mamy żadnych powodów, żeby trzymać cię tu dłużej. Odejdź w pokoju.

— Każecie mi odejść? Najpierw wyrządziliście mi tyle krzywd, a potem wypędzacie niczym psa?

— To było konieczne, Joachimie. Walczyliśmy o twoją duszę, staraliśmy się uzmysłwić ci ogrom twoich błędów.

— Za pomocą tortur?

— Również w ten sposób, ale nie tylko. Dużo z tobą dyskutowaliśmy, temu nie możesz zaprzeczyć.

— Nie zaprzeczam. Nie wolno wam jednak tak ze mną postąpić.

— Jak? Jak, Joachimie!? Czyż nie zwracamy ci wolności, tego najcenniejszego skarbu, jaki posiada każdy

człowiek?

— Nikt nie jest wolny. Jeżeli przeznaczony mi był pobyt w tych lochach, to winienem tu zostać.

— Bredzisz, Joachimie. Jesteś znużony i osłabiony. Jedynie to ciebie usprawiedliwia. Jeszcze raz powtarzam — odejdz.

— Nie... — wybełkotał, lecz inkwizytor zlekceważył ten protest. Klasnął w dłonie, przywołując strażników. Na ich widok cofnął się w głąb celi, dotykając plecami muru. Podeszli do niego spokojnym, obojętnym krokiem, pochwycili za ręce i wywlekli na korytarz. Tam dogonił ich inkwizytor. Poczul na karku jego lodowato zimną, starczą dłoń, przesuwającą się po policzku i skroniach. Znieruchomiał.

— Pamiętaj o wszystkim, co ci powiedziałem... Będziesz tego potrzebował... Wyprowadźcie go.

Chciał odwrócić się, lecz żołnierze udaremniili mu to. Nie zobaczył już twarzy tamtego ani nie usłyszał więcej jego kojącego głosu. Jeden ze strażników odemknął furtkę, drugi wypchnął go przez półotwarte drzwi na zewnątrz, natychmiast zatrzaskując je. Wieczorne powietrze gwałtownie wcisnęło mu się do płuc, wywołując lekką zawrót głowy. Stał przez chwilę w miejscu, coraz łapczywiej chłonąc od dawna nie widziany, prawie zapomniany obraz, jakieś krzewy rosnące nie opodal, konary niewysokich drzew majaczące w pewnym oddaleniu, gwiazdy rozbłyskujące na niebie, ścieżkę prowadzącą nie wiadomo dokąd, może do pobliskiej wioski, a później zaczął iść tą ścieżką, rozgarniając gałęzie i pilnie bacząc, by nie przewrócić się na nierównej drodze.

1981

PUŁAPKA

Dla s. P.

Wychodząc z tej willi, opuszczając mieszkanie Alvareza skonstatował z lekkim zdziwieniem, szybko zastąpionym przez ocierającą się o pogardę obojętność, że wie już wszystko i że owo ostatnie pouczenie było mu zupełnie zbędne. Alvarez, człowiek o nieprzeniknionej twarzy, długo i wytrwale uprzytamniał mu znaczenie oczekującej go misji oraz z przejęciem przestrzegał przed ewentualnym zgubnym wpływem nieprzewidzianych okoliczności, mogących utrudnić mu wykonanie jego zadania. Utrudnić, ale nie uniemożliwić; tej drugiej ewentualności Alvarez w ogóle nie rozpatrywał, jakby chciał przez to powiedzieć, że jego tajna misja nie może zakończyć się inaczej niż powodzeniem.

Padał deszcz. Na pustej ulicy jego kroki rozbrzmiewały z niepokojącą siłą, tłumione jedynie przez spływające z zachmurzonego nieba krople ciepłego dżdżu. Parokrotnie oglądał się za siebie, lecz nikt nie podążał jego śladem (lub tak mu się zdawało). Po każdym obejrzeniu się w tył odruchowo przyspieszał kroku. To był nawyk; tego jego nauczyciele nie zdołali w nim stłumić ani wyrugować.

Za najbliższą przecznicą zatrzymał dorożkę i wsiadł do niej. Dworzec zachodni, mruknął i głębiej wcisnął się w oparcie: wygodne, zachęcające do odpoczynku czy nawet do snu.

Nie wiedział, jak długo jechali. W pewnym momencie poczuł silniejszy wstrząs i to go przebudziło. Znowu obejrzał się za siebie i przejął go nagły chłód. Zgniłozielony fiakier znajdował się w nieznaczej odległości za jego pojazdem. Odkrycie to początkowo przeraziło go; potem od owego przerażenia przeszedł do niemal nikczemnej re-

zygnacji. Pomyślał, że wszelkie rachuby okazały się zawodne; pomyślał, że żaden z licznych podjętych środków ostrożności nie zdał najwyraźniej egzaminu. Fiakier ciągle przybliżał się, a on zdobył się tylko na tchórzliwe zsunięcie się w głąb siedzenia. Skulony zastanawiał się czy jest to wstęp do poważniejszej obławy, czy też tym idzie tylko o uniemożliwienie mu wydostania się z Annopolis.

Decyzję powziął całkowicie niespodziewanie, w okamgnieniu. Wyskoczył z pędzącej dorożki i sturlał się na chodnik, a raczej na rozpościerającą się na nim kupę żółtego piachu. Następnie wpadł do pierwszej z brzegu bramy, wydostał się z niej, przemknął przez jedno ogrodzenie, później przez drugie, dostał się na teren innej posesji, wbiegł na prowadzące w górę schody, z trudem unikając zderzenia z jakimś podążającym w przeciwnym kierunku mężczyzną, wydostał się na spadzisty dach i już nie schodząc w dół ruszył dachami w stronę dworca zachodniego, spodziewając się, że w ten sposób łatwiej pozbędzie się swych prześladowców.

Dopiero po kilkunastu minutach szaleńczego, zapierającego dech w piersiach biegu odważył się zatrzymać i wydostać z powrotem na ulicę. I wtedy zrozumiał. To byli oni; jego organizacyjna eskorta; uciekał przed tymi, którzy podjęli się zapewnić mu bezpieczeństwo podczas ostatnich dni jego pobytu w obcej metropolii. Roześmiał się w duchu i nazwał się idiota, ale potem przyszło mu na myśl, że to mógł być każdy, również agenci gubernatora o nienawistnym imieniu.

Teraz szedł już wolno, nie oglądając się za siebie, tylko co rusz przystając w miejscu i podziwiając bogactwo towarów rozłożonych po sklepowych witrynach. Tak zaszedł na dworzec, pierwszy z punktów docelowych jego trwożliwej wędrówki.

W dworcowej kasie kupił bilet do Aschborn i przekonał się, że zaledwie nieznacznie uszczuplił przeznaczone dlań fundusze. Drugie odkrycie było większej wagi: po-

ciąg miał odjechać dopiero za szesnaście minut. Spędził te minuty na pozornie spokojnym przechadzaniu się wzdłuż torów.

Gdy pociąg wreszcie nadjechał (z nieznacznym, ale w jego mniemaniu niedopuszczalnym opóźnieniem), wsiadł do niego natychmiast i przywarł do okna. Pociąg ruszył. Jakiś mężczyzna w szarym płaszczu biegł bezskutecznie peronem. Przerażony, drżący, odsunął się w głąb przedziału, z dala od groźnego okna.

Podróż miał nieciekawą. Monotonny stukot kół usypiał go, a on wiedział, że zasnąć mu nie wolno. Wejście do przedziału pierwszego pasażera powitał z ulgą. Potem wszedł ktoś jeszcze; gdy tych dwoje zaczęło ze sobą rozmawiać, usnął.

Zbudził się jednak na czas, nie przegapił stacji, na której musiał wysiąść z pociągu (nie było to Aschborn). Stacyjka była niewielka i zaniedbana, miejscowość jeszcze mniejsza. Czekало go teraz sześć mil pieszej wędrówki. Szedł polnymi drogami, unikając ludzi. Pod wieczór dotarł do Thusculan, ostatecznego celu swej wyczerpującej podróży. Bez wysiłku odnalazł dom, w którym miał spędzić pięć najbliższych tygodni; tygodni, o których wiedział, że będą ciągnęły się nieskończenie długo.

Rankiem nie umiał zrazu zorientować się, gdzie się znajduje ani w jakim celu tu przybył. Rozważał różne możliwości, jedną bardziej nieprawdopodobną od drugiej; w końcu natrafił na właściwą. Odkrycie owo nie ucieszyło go; poczuł dławiący strach i po raz pierwszy zwątpił, czy jest odpowiednim człowiekiem do wykonania tego zadania, które winno mu przynieść nieśmiertelną sławę i rozgłos na całym obszarze Terytorium, nie tylko na Północy i w Annopolis.

Historia następnych dni jest zmienna i niełaskawa; to wpadał w rozpacz, to puszył się jak paw z powodu swego bohaterstwa, to śmiał się głośno ze swoich absurdalnych lęków, to skowyczał jak pies i chował się po kątach przed wymyślanymi prześladowcami. Szóstego dnia uspo-

koił się i przemógł w sobie chęć ucieczki. Zaczął czytać; pograżył się całkowicie w chaotycznym świecie literackich wizji, lecz po dwóch dniach znowu ogarnęło go zwątpienie i znów jego rozpaczliwe krzyki przecinały ciszę opustoszałego domostwa.

Z owego zgubnego stanu, tak bardzo narażającego na szwank powodzenie poruczonej misji, wybawiła go dopiero ucieczka w dziedzinę, która przedtem dla niego nie istniała, w filozofię. Swoje rozważania zaczął od próby ustalenia odpowiedzi na pytanie, czy słuszne jest dopuszczenie możliwości o niematerialnych prapoczątkach Wszechświata, o istnieniu Boga. Wiedział, że nie będzie to łatwe i że może mu się to nie udać, tak jak nie powiodło się tylu innym myślicielom, ale nie zrażał się tymi trudnościami, ponieważ nie mogły one go przerazić. Rozumował (z przerażającą jasnością), że w jego sytuacji ukojenie może przynieść mu wyłącznie pograżenie się w jakimś nierozwiązywalnym problemie. Z wątpliwości natury egzystencjalnej uciekł w metafizyczne, najdoskonalsze z możliwych.

Najpierw założył, że Boga nie ma. Jeszcze przed godziną zgodziłby się z tym bez wahania, lecz obecnie tak prosta odpowiedź nie mogła mu wystarczać. Tytułem intelektualnej próby przyjął, że Bóg istnieje. Ale i to stwierdzenie nie usatysfakcjonowało go. Było zbyt jednoznaczne, nazbyt przypominało pierwszą odpowiedź. Wzbogacił je więc domniemaniem, że nieistniejący Bóg istnieje; Bóg jako nicość, totalna i ogarniająca wszystko, to mogło przstraszyć każdego, lecz nie człowieka, który niebawem umrze.

Rozumował mniej więcej tak: Skoro być jedną rzeczą znaczy w sposób nieodwołalny nie być żadną inną (a rzeczywistość dostarczała mu na to dość dowodów), to niebycie staje się pełniejsze od bytu, jest boskim byciem wszystkim... Rozumował, że aby osiągnąć ów stan, musi pierwiej umrzeć. Rozumował, że dopiero śmierć pozwoli mu na zatopienie się w boskości.

Tak pokrzepiony przerzucił swe zainteresowania w innym kierunku. Zafrapował go problem, czy jednostka posiada jakiś wpływ na bieg dziejów. Na początku długo, przez kilka dni, roztrząsał ewentualność, że w historii o wszystkim decydują masy. Potem z niesmakiem odrzucił tę możliwość, jako urągającą jego przyszłej ofierze. Następnie wpadł z jednej skrajności w drugą i doszedł do wniosków krańcowo odmiennych. Ale i one go nie zadowolily. Znowu zatopił się w rozmyślaniach. Jego koncepcja, zrazu nieskończenie uboga, stopniowo obrastała w nowe myśli i spostrzeżenia, i coraz więcej odnajdywał w swej pamięci faktów ją potwierdzających. Nie mógł jednak zdecydować się na nadanie jej ostatecznego kształtu i na podsumowanie swych przemyśleń; w absurdalny sposób obawiał się, że ktoś (nie wiedział kto) wtedy ukradnie mu ją i przypisze sobie jej autorstwo. Dom, przedtem pusty, zaczął teraz zapełniać się milczącymi postaciami; postacie te snuły się po pokojach, zaglądały mu przez ramię i czegoś jakby się po nim spodziewały. Przerażony, rozdygotany, uciekał przed nimi, a one ciągle towarzyszyły mu i nie odstępowały go ani na krok. Prosił je, błagał, by przestały go niepokoić, lecz zjawy były uparte: drwiły z jego prośb i naśmiewały się z jego błagań. W końcu oszalał — albo zdawało mu się, że oszalał. Stracił poczucie upływu czasu i świadomość misji do spełnienia, zaprzestał abstrakcyjnych spekulacji myślowych i ograniczał się wyłącznie do powtarzania słów organizacyjnej przysięgi: Przysięgam, że nigdy nie zawiodę zaufania współtowarzyszy i że zawsze będę gotowy na najwyższą ofiarę. Przysięgam, że... Z tego kolistego delirium wybawiło go dopiero dotknięcie czyjejś ręki.

— Odejdź — powiedział. — Ty jesteś widmem, nie człowiekiem. Nie dręcz mnie już więcej. Odejdź.

Nic: długa, przerażająco długa chwila ciszy.

— Nazywam się Jacobs. Jestem tym, na którego czekasz od pięciu tygodni.

— Nie oczekuję tu nikogo. Odejdź, przestań mnie drę-

czyć.

Znowu nic.

—Rozumiem twoje obawy. Oto umówiony znak — i tamten podsunął mu do oczu niewielki kawałek wypłowiałego materiału. — Przeszukaj swoje kieszenie. Powinieneś znaleźć w nich bliźniaczy skrawek. Zrób to.

Niechętnie wstał i wykonał polecenie.

—Kieszenie mam puste — rzekł po chwili.

—Kłamiesz. Przeszukaj je jeszcze raz.

—Tak — powiedział nagle. — Nie mówię prawdy.

—A znasz ją?

Nie odpowiedział.

—Oto ładunek wybuchowy i rewolwer — oznajmił Jacobs kładąc mu wymienione przedmioty na stole. — Posłużysz się nimi jutro, o wpół do dziewiątej. Nie zapomnij: o wpół do dziewiątej.

Wyszedł, pomyślał z ulgą. Spojrzał na stół i niezwłocznie uciekł spojrzeniem w bok. Ale nic się nie zmieniło. Pistolet i bomba, nieodzowne atrybuty zamachowca, nadal niepokoiły zielony blat stołu.

Poczuł się zmęczony i stary. Ogarnął wzrokiem izbę: krzesła, łóżko i ściany uśmiechały się do niego szyderczo, drwiąc z jego niepotrzebnych obaw. Przecież czeka mnie boskość! — pomyślał. — Niebycie będące boskim byciem wszystkim. Przystanę być już tylko jedną rzeczą, tylko jedną...

Nie znalazł jednak tym razem pocieszenia w metafizyce. Rzeczywistość realna zatriumfowała nad imaginacyjną, zmuszając go do czynu, do zamordowania jutro o wpół do dziewiątej nikczemnego parweniusza Benedetiego i do złożenia przy tym ofiary z własnego życia.

Podszedł do stołu i wziął broń do ręki. Był to sześciostrzałowiec dużego kalibru. Wystrzelone z niego kule miały, w myśl założeń planu, zgasić ziemską karierę gubernatora i wepchnąć go w objęcia piekieł. Starannie przygotowany scenariusz zamachu przewidywał najpierw rzućenie bomby w stronę karety Benedetiego, a następnie —

o ile zamachowiec przetrwałby wybuch bez szwanku — dobiecie gubernatora strzałami z rewolweru. Tak przygotowany i przeprowadzony plan gwarantował niemal absolutną skuteczność zamachu i jednocześnie nie dawał mu żadnej szansy ocalenia. Musiał zginąć; jeśli nie od bomby, to od własnej kuli; jeśli nie od kuli, to od cięcia szabłą jednego z oficerów osobistej ochrony Benedetiego.

Ważąc pistolet w dłoni zastanawiał się nad innym scenariuszem zamachu. Chciał ostrzelać powóz z dachu jakiegoś budynku, a potem uciec. Przekonywał się do tej możliwości, pieścił ją, smakował, a później odrzucił jako nieskuteczną i również nie dającą mu szansy na ocalenie — zabiliby go w przypadku niepowodzenia własni towarzysze ze spiskowej organizacji, których zaufanie zawiódłby.

Położył się na łóżku i po długich męczarniach zasnął. Koszmar, który niepokoił go we śnie, zbudził zamachowca na trzy kwadransy przed rozpoczęciem akcji. Zapalił papierosa i czekał. Potem wyszedł z domu.

Na miejsce zamachu dotarł bez trudu. Ukrył się w cieniu filara i wbił wzrok w kierunku, z którego powinien pojawić się orszak gubernatora.

Najpierw zobaczył trzy czwórki kawalerzystów z lancami, później samotnie jadącego oficera, za którym podążał zaprzężony w pyszne rumaki powóz. Odczekał chwilę, wyciągnął śmiertcionośny ładunek z kieszeni płaszcza i wybiegł zza gęstego szpaleru wiwatujących mieszkańców Tlusculan.

To stało się zupełnie niespodziewanie, tak niespodziewanie, że aż zwątpił w realność tego zdarzenia. Ale piekący ból w prawej łopatce narastał nieustannie, a w powietrzu unosił się jeszcze huk wystrzału. Wszystko to skłoniło go do natychmiastowego obrócenia się w bok.

Jacobs, jeden z rewolucjonistów, ostatnie ogniwo długich i mozolnych przygotowań do zamachu, stał nie opo-

dal z dymiącym pistoletem w dłoni i mierzył w jego stronę. Błyskawica myśli rozdarła umysł niedoszłego zamachowca: Jacobs okazał się prowokatorem, Jacobs zdradził, Jacobs zaraz wystrzelił ponownie.

Gestem rozpaczony wyszarpnął lewą ręką rewolwer z kieszeni i w tym momencie ugodziła go druga kula. Padając, pomyślał, że szerokie grono wtajemniczonych w jakikolwiek spisek jest absurdem i że ten, kto pragnie zgładzić tyrana, nie może dzielić się z nikim swymi nadziejami. Pomyślał to, i przestał być w sposób nieodwołalny jedną rzeczą, tylko jedną; nicość (Boska nicość?) zawładnęła nim i przywołała go do siebie; przywołała nieodwołalnie i na zawsze.

czerwiec 1980

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ

Dla Asi

W zasadzie jestem rusznikarzem. Powiadam w zasadzie, ponieważ od jakiegoś czasu, a dokładnie od dnia, w którym generał Bermudes objął rządy w Annopolis, krwawo rozprawiając się z nieudanym powstaniem popularów, mój zawód, wykonywany w naszej rodzinie od pokoleń, nabrał cech jakby iluzorycznych, przynajmniej jeżeli traktować go jako podstawowe źródło utrzymania. Pierwszym posunięciem zwycięzców było wprowadzenie stanu wyjątkowego, z przesadnej obawy przed ponownym wybuchem. Towarzyszył temu zakaz posiadania broni palnej, nikt więc nie odwiedza mego warsztatu, nie chcąc narazić się na niechybne represje. Otrzymuję zamówienia jedynie od oficerów i kół rządowych; nie jest tego dużo i na brak wolnego czasu uskarżać się nie muszę. Początkowo cieszyło mnie to, później już mniej. Nie będąc naturą refleksyjną, źle znoszę bezczynność, a nie posiadając w nadmiarze przyjaciół, z trudem wypełniam sobie wolno płynące godziny. Gdy już zupełnie nie mam co robić, często udaję się na spacer, i to wydarzyło się właśnie podczas jednej z takich przechadzek.

Szedłem wówczas brzegiem rzeki, patrząc, jak leniwie i dostojnie toczy ona swe brudne żółte wody, i nie zastanawiając się nad niczym szczególnym. Zauważyłem go, gdy wynurzyłem się zza zakrętu. Siedział na przydrożnym czy raczej przyścieżkowym kamieniu i odpoczywał. Ponieważ było zimno i padał deszcz, nieco mnie to zdziwiło i zwróciłem się doń z pytaniem, czy aby nie jest chory lub może fatalnie się czuje. Nie wiem, czemu to uczyniłem. Normalnie nie interesuję się ludźmi ani oni mną, postępowanie tego człowieka musiało widocznie wydawać mi się wyjątkowo niestosowne. Nic nie odpowiedział. Po-

winiem wyminąć go bez słowa, lecz coś podkusiło mnie, by zostać. Chyba zawinił tu mój nadmiar wolnego czasu.

— Przeziębi się pan — dodałem, nie licząc na odzew z jego strony. Moje rachuby były słuszne. Nie poruszył się nawet; siedział z dłońmi zaplecionymi na kolanach i martwym, nieobecnym wzrokiem wpatrywał się w rzekę. Tym razem nie chciałem już odejść. Jako egocentryk i ktoś zapatrzonej w siebie bez reszty, nie byłem przyzwyczajony do takiej ocierającej się o pogardę obojętności. Nie znoszę, jak ludzie mnie ignorują; jest to jedyny przypadek, kiedy tracę panowanie nad sobą, i wówczas też byłem tego bliski. Powstrzymałem się jednak od jakiegoś nieprzemyślanego wybuchu gniewu. Zamiast zelżyć go, na co niewątpliwie zasłużył, ponownie wyraziłem mu swoje współczucie. Podniósł głowę i jego martwy, nie-ludzki wzrok spoczął na mej twarzy. Przez nieskończone krótki moment odnosiłem wrażenie, że przypadkiem zajrzałem w głąb duszy nieznanego; potem przestałem tak myśleć, ale długo nie potrafiłem uwolnić się od irracjonalnego niepokoju, który ogarnął mnie, gdy nasze spojrzenia spotkały się i zderzyły ze sobą niczym dwa jadące w przeciwnych kierunkach pociągi.

— Nie odejdzie pan z własnej woli?

— Nie — powiedziałem. Powolnym ruchem uniósł się z kamienia i ruszył w stronę mostu. Odczekałem chwilę, a później podążyłem za nim, tłumacząc sobie, iż nie muszę się spieszyć z powrotem do domu.

Deszcz padał teraz ze zdwojoną siłą. Liczne kałuże wody gromadziły się na ścieżce, a w powietrzu unosił się ożywczy zapach ozonu. Starannie wymijałem kałuże, uważając jednocześnie, aby nie stracić tamtego z oczu. Dochodząc do mostu przystanął i spojrzął za siebie. Zatrzymałem się również, w odległości może sześciu kroków.

— Proszę powiedzieć temu, kto kazał panu mnie śledzić, że nie mam nic do ukrycia.

— To bezpodstawne oskarżenie — odparłem. — Nie

jestem szpiegiem.

— Nie? Dlaczego więc nie odczepisz się ode mnie?

Nie wierzył mi, nie mógł uwierzyć. Wyznanie prawdy niczego by tu nie zmieniło; niewykluczone, że był jednym z ocalałych uczestników nieudanego buntu i wszędzie widział obecnie agentów Bermudesesa.

— Nie jestem z tajnej policji — zapewniłem go znowu, rozumiejąc, iż okrywam się śmiesznością. Przeszedł obok mnie bez słowa, wracając chyba tam, gdzie go spotkałem. Gdy zrównał się ze mną, poczułem to samo, co poprzednio; oszołomił mnie bezmiar jego żalu i rozpacz, tak jakby zdołał w tej sekundzie przekazać mi cały swój porażający niepokój.

Bezwiednie, nie zdając sobie sprawy, co czynię, pospieszyłem za nim, doganiając go za zakrętem. Nie obejrzał się do tyłu ani nie przemówił do mnie. Szedł spokojnie, rozchlapując butami kałuże. Pomyślałem, że idę obok kogoś, kogo wiara już dawno osłabła albo wręcz wypaliła się całkowicie. Nie umiałem oprzeć się natrętnemu przekonaniu, że i mnie grozi niebawem podobny los.

Zatrzymał się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie zobaczyłem go po raz pierwszy. Może liczył na to, ale jego następne czynności wcale mnie nie zdziwiły: zakaślał, otarł usta chusteczką i usiadł na kamieniu, a raczej sporej wielkości głazie znajdującym się tuż obok pnia zwalonego wichurą drzewa. Trochę z przekory, a trochę z innej przyczyny postąpiłem identycznie: usiadłem na pniu i wbiłem wzrok w rzekę. Przypuszczałem, iż nie wytrzyma długo w milczeniu i nie pomyliłem się. — Cemu to zrobiłeś? — zapytał. W głosie nieznanego więcej było zainteresowania niż złości; nie bez racji uznałem, że przyzwyczajają się już do mego nieistotnego towarzystwa.

— Absurdalna sytuacja wymaga absurdalnego zachowania — powiedziałem, nie spodziewając się jednak tak gwałtownej reakcji.

— Co nazywasz absurdalną sytuacją!? Może to, że sie-

dzę tu na kamieniu zamiast wylegiwać się w wygodnym łóżku? To ci się takie dziwne wydaje? Wy tłumacz się!

Jego żądanie było możliwe do spełnienia, lecz straciłby wtedy do mnie wszelki szacunek, o ile coś takiego kiedykolwiek żywił. Nie czyni się intymnych wyznań komuś, kim się gardzi; ponieważ zależało mi, aby otworzył przede mną swoje serce (inaczej bym go tak nie nagabywał), byłem zmuszony odpowiedzieć atakiem na atak i zrugać rozmówcę doszczętnie, stawiając mu liczne nieprawdopodobne zarzuty. Gdy skończyłem, nieco wyczerpany krzykiem, uśmiechnął się nieoczekiwanie i rzekł:

— Jesteś głupcem, młody człowieku. Gdybyś znał historię mojego życia, nigdy nie opowiadałbyś takich bzdur. Jeśli chcesz, możesz ją poznać, ale tylko pod warunkiem, że nie będziesz mi przerywał, choćby to, co mówię, здаwało ci się zupełnie wyssane z palca. Zgadzasz się na ten warunek?

Oczywiście zgodziłem się, acz trochę tego potem żałowałem. Nieznajomy bowiem — nie przedstawił mi się aż do samego końca — uparł się nie szukać schronienia przed deszczem i zostać nad rzeką, której dostojnie toczące się wody wpływały nań kojąco, tak przynajmniej twierdził. (Później zrozumiałem, że bynajmniej nie kłamał). Drżąc z zimna, przysłuchiwałem mu się uważnie, nie roniąc ani słowa. Rzekł na początku, iż dzień wczorajszy był najtragiczniejszym dniem z dotąd przez niego przeżytych, chociaż nie zdarzyło się w nim absolutnie nic. (Pomyślałem: wariat, lecz szybko odrzuciłem tę myśl, gdyż mój wychowany na prostych zajęciach i nieskomplikowanych lekturach umysł nie mógł zwyczajnie pojąć tej subtelności.) Następnie oznajmił, że pochodzi z rodziny dość zamożnej i że jego zmarli niedawno rodzice zadbali, by zdobył orientację we wszystkich dziedzinach sztuki i nauczył się swobodnie posługiwać większością języków Terytorium, dzięki czemu ukończył z wyróżnieniem najlepsze gimnazjum na Południu i przybył na studia do Anopolis, którego na dłużej nie opuścił już nigdy. Stu-

diował prawo i architekturę, stał się gorącym zwolennikiem poety Omara Thubinga i powieściopisarza Kwintyriusza. Próbował nawet sam pisać wiersze, ale z mizernym skutkiem. Podobnie zakończyły się jego próby malarskie i muzyczne. Po tych niepowodzeniach porzucił uczelnię, ponieważ wyobraził sobie, iż to opasłe księgi prawnicze i starożytne traktaty architektoniczne przeszkadzają w pełnym objawieniu się jego bezspornego powołania. Pomagali mu rodzice, lecz nie do tego stopnia, jakiego by oczekiwał. W sumie żył w biedzie, rzadko jadając do syta. Nie to jednak było najgorsze. Zniósłby jakoś drwiny i upokorzenia, jakich mu nie szczędzono z powodu jego ubóstwa i pyszałkowatości, którą się zarazem odznaczał, ale nie potrafił pogodzić się z myślą o przegranej. Uważał ją za nieodwołalną i ostateczną. Wszystko, do czego się zabrał, wymykało mu się z rąk. Kolejno odkrywał, że nie posiada talentów sklepiarza, żołnierza i filozofa. Teatrzyk, który założył dzięki spadkowi po zmarłym stryju, zbankrutował po czterech przedstawieniach, mimo iż dwa pierwsze zapowiadały olbrzymi sukces. Odebrał to jako widomy znak, że los nigdy się nie odwróci, że przeznaczone mu są jedynie porażki. Popadł w apatię i zniechęcenie. Bez najmniejszego zaciekawienia śledził zachodzące zmiany na politycznej scenie Miasta, nie umiając dostrzec w nich szansy dla siebie. Uważał, iż jest człowiekiem bez przyszłości i że resztą życia spędzi na rozpamiętywaniu minionych zdarzeń i zastanawianiu się nad popełnionymi błędami. Jego zniechęcenie było wielkie, lecz pewna myśl przebijała się przez nie i nie pozwalała mu nocami zasnąć. Była to myśl o przemijaniu. Zauważył, że czas płynie dlań tak samo szybko jak wtedy, gdy zmagał się z przeznaczeniem, usiłując odnieść choćby najmarniejszy sukces. Początkowo tylko się temu dziwił, później jednak zaczęło go to poważnie niepokoić. Każdą najdrobniejszą rzecz odczuwał przecież w sposób niesłychanie intensywny, jak wówczas, gdy walczył z rzeczywistością. Obawiał się, że osłabi to jego organizm. Oba-

wiał się przedwczesnej starości, zniedołężnienia, śmierci. Czas nie był dla niego żadną abstrakcją, odczuwał jego przepływ już nie intensywnie, a wręcz zmysłowo. Minuty stawały się godzinami, a godziny — dniami. Stopniowo jąła istnieć dlań wyłącznie terażniejszość. Zapomniał o przeszłości i przyszłości, nie znaczyło to dla niego nic. Co gorsza, znajdował jakąś perwersyjną przyjemność w zacieraniu granic między czasami. Wyobrażał sobie chętnie, że nigdy się nie urodził i nigdy nie umrze. Myśl o odejściu z tego padółu odsuwał od siebie, jak mógł najdalej, i dość długo udawało mu się to. Później świadomość nieuchronności śmierci zaczęła prześladować go na równi ze świadomością przemijania. Wielokrotnie bywał obserwatorem własnego pogrzebu; raz stał u wezłowania zmarłego, innym razem odprawiał mszę za własną duszę. Wyobrażał sobie swą śmierć w nieskończonej ilości wariantów po to, aby wyczerpać ich rejestr i zamienić przyszły — czy terażniejszy — zgon w coś ulotnego, nierzeczywistego. Pewnego poranka obudził się z myślą, iż stało się coś strasznego. Z niewysłowionym lękiem oczekiwał, aż posłaniec przyniesie gazety i korespondencję. Otworzył pierwszy z dzienników, spojrzął na datę i zrozumiał: luka pomiędzy terażniejszością i przyszłością skurczyła się nieskończenie, przestała istnieć. Był o dwadzieścia lat starszy niż poprzedniego dnia. I było to ostatnie i najtragiczniejsze z jego niepowodzeń.

Zgodnie z umową nie przerywałem mu, gdy mówił, choć opowieść niejednokrotnie mi się dłużyła. Nic nie rzekłem, nawet wtedy, gdy skończył, i było dla mnie jasne, iż nie ma nic ważnego do dodania. To, co usłyszałem, zdawało mi się zbyt niewiarygodne, by mogło być prawdziwe. Chyba to wyczuł, ponieważ sam się odezwał, pytając, czy mu uwierzyłem.

— Nie — odpowiedziałem natychmiast.

— Nie? — powtórzył jakby z bólem.

Zrobiło mi się go żal. Był bezsprzecznie mitomanem, chorym na urojenia fantasta, ale był także człowiekiem

nieszczęśliwym. Wprawdzie na ogół nie przejmuję się cudzymi niepowodzeniami, nie mam na to sił, wszystkie zużywam na rozpatrywanie własnych nieszczęść, lecz w tym przypadku było nieco inaczej, sam go zaczepiłem i na zwierzenia namówiłem. Współczułem mu szczerze, martwiąc się, że nie mogę mu w niczym pomóc.

— Ile masz lat?

— Trzydzieści pięć.

— A ja pięćdziesiąt. Jeszcze wczoraj byłem młodszy od ciebie. Czy ty rozumiesz, co to znaczy? Tak się postarzeć w jedną noc? To przechodzi ludzkie pojęcie, to jest najwyższa niesprawiedliwość, jaka mogła mnie spotkać... Spójrz na mnie. No spójrz! Widzisz te worki pod oczyma i bruzdy na twarzy? Ty też będziesz tak wyglądał, o ile dożyjesz. Gdybym mógł obserwować na sobie proces obumierania komórek i starzenia się, proces, który byłby rozciągnięty na lata, zapewne nie buntowałbym się przeciw temu, uznając to za nieuchronność. Ale nie dane mi było tego widzieć! Nie miałem okazji przywyknąć do myśli o starości. Rozumiesz? Nie dano mi tej szansy!

Wówczas po raz pierwszy pomyślałem, że może nieznamy mówi prawdę. Jego ból nie był udawany. Przerazenie i rozpacz przebijały z każdego jego gestu, były widoczne w każdym drgnieniu jego twarzy. Istniały tylko dwie możliwości: albo na starość oszalał i wydaje mu się, iż ktoś mu odebrał dwadzieścia lat życia, albo prawdziwa jest ta druga ewentualność, tak fantastyczna, że aż przerażająca.

— Nie wierzysz mi, ciągle mi nie wierzysz... Jesteś jednym z tych, którzy żyją wyłącznie codziennością i dla których nie istnieje nic, co wykracza poza ich bezpośrednie doświadczenie. Jesteś po prostu głupcem, zaślepionym głupcem...

Komu innemu nie darowałbym tej obelgi, choćby był

współpracownikiem samego Bermudesa lub członkiem Towarzystwa Przyjaciół. Jemu jednemu mogłem i musiałem przebaczyć. Był bez winy; nie odpowiadał za swe czyny i słowa. Podniosłem się z pnia, cały przesiąknięty chłodem. Tamten również wstał; głązy nie są najlepszą formą spoczynku w trakcie ulewy czy nawet zwyczajnego deszczu. Powoli nadciągał zmierzch. Na wysokim niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy. Wody rzeki Elwro straciły swą żółtawą, niewiarygodną barwę i zrobiły się ciemne, ciemnogramatowe. Nie było już żadnych wspomnień po przebłyskującym przedtem od czasu do czasu zza chmur słońcu. Byłem zziębnięty jak nigdy, ze strachem myślałem o następnym dniu, przeczuwając nieuchronną wizytę u lekarza. Mój towarzysz przystanął nad skrajem metrowego może urwiska i wpatrywał się w drugi brzeg, jakby dostrzegając w nim ocalenie. Wszystko to wydawało mi się potwornie absurdalne i groteskowe, nie warte poświęcenia temu ani chwili dłużej. I tak spędziłem ładnych parę godzin na niepotrzebnym obcowaniu z szaleńcem. Pragnąłem odejść, lecz coś — pewnie jego widok i historyjka, którą opowiedział — powstrzymywało moje kroki. Zauważyłem, że podobnie jak ja dygocze na całym ciele. Był znacznie ode mnie starszy; gorzej zniósł to wysiadywanie nad rzeką. Litowałem się nad nim, ale była to litość przesycona goryczą. Wyrzucałem sobie nie tylko zbędną stratę czasu, ale i — na szczęście krótkotrwałą — zdrowia. Niepokoila mnie myśl, iż opowieść ta zapadnie w moją pamięć i nigdy od niej się nie uwolnię. Wiedziałem, że tak się stanie. Na tyle siebie znałem, żeby nie mieć co do tego najmniejszych wątpliwości.

— Czy ktoś spostrzegł, że się zmieniłeś?

— Mieszkam samotnie, prawie nikogo nie widuję, nie miał nawet kto zauważyć, jak nagle się postarzałem.

Odwrócił się i zaczął iść w stronę mostu. Podążyłem za nim w milczeniu. Ruch sprawił, że poczułem się o wiele lepiej i nie patrzyłem już tak czarno na najbliższą przy-

szłość. Na moście zatrzymałem się, aby pożegnać się z nim, może na zawsze.

— Uwierzyłeś mi, czy nadal uważasz mnie za mitomana?

Po raz ostatni rozważyłem różne nasuwające się możliwości. Wreszcie powiedziałem:

— Jest to zbyt nieprawdopodobne, żeby miało okazać się nieprawdziwe. Sądzę, że ci wierzę.

— Istotnie? — zaśmiał się ochryple. — Cha, cha. Wymyśliłem to wszystko. Słyszysz? Wymyśliłem! Daleś się zwyczajnie nabrać. I co ty na to?

— Nic — odparłem. — To bez znaczenia, co teraz powiesz. Gdybym chciał, mógłbym to zresztą sprawdzić. Żegnaj.

Z jakiegoś powodu (może ze wzruszenia) nie zdołał wykrztusić z siebie ani słowa. Tak zostawiłem go: opartego o barierę, uśmiechającego się ironicznie i niedbale, z głosem ugrząźniętym w gardle. I takim go również zapamiętałem: jako kogoś, przed kim nieoczekiwanie otworzyła się nadzieja.

1980—1981

PLAC ZAMKOWY

Ulica łagodnie opadała w dół, jakby zachęcając do pomaszerowania jej kamiennymi chodnikami, ale Ljudbeg nie uległ tej pokusie, nie oderwał się od wyznaczonej sobie trasy. Szedł ciągle prosto, nie odwracając się ani nie błędząc spojrzeniem po przyciągających wzrok pospolitych obywateli miasta bogato zdobionych sklepowych witrynach. Gdy dotarł do celu swej wędrówki, szarego, niepozornego budynku, nieco wyłamującego się z równej linii innych szarych i niepozornych domów stojących po obu stronach ulicy, zatrzymał się na moment i obszedł budynek dokoła. Potem długo stukał w wyblakłe, a może zrudziałe drzwi, lecz nie znalazł się nikt, kto by je otworzył. Początkowo zraził się tym śmiesznym niepowodzeniem, później jednak pomyślał, że ta wstępna porażka zapowiada być może końcowy triumf i uspokoił się tą myślą całkowicie. Pchnął energicznie drzwi, te cofnęły się natychmiast, przeraźliwie skrzypiąc.

Prowadzące w górę schody były już mocno nadźarte zębem czasu i ani na chwilę nie opuszczała go irracjonalna obawa, że nie wytrzymają w końcu jego ciężaru i zwałą się wraz z nim na drewnianą podłogę. Ale na szczęście do tego nie doszło. Przebrnął przez ostatni stopień i znieruchomiał przed drzwiami pokoju Elwiry. Były lekko uchylone, jakby ktoś niedawno wybiegł nimi w pośpiechu i nie zdążył ich zatrzasnąć. Nie wiedział, co o tym myśleć; właściwie wiedział, lecz uporczywie nie dopuszczał do siebie tej myśli.

Luka pomiędzy drzwiami a framugą nęciła, nawoływała. Zbliżył się do niej nieznacznie i nieśmiałym ruchem pchnął drzwi do przodu. Potem wszedł do środka.

*

— Już odchodzisz?

— Tak.

— Spieszysz się gdzieś? Dokąd?

Milczał.

— Nie chcesz powiedzieć?

— Nie mogę.

Chwila ciszy, przerwana dopiero następnymi słowami kobiety.

— Nie kochasz mnie. Wiem, że mnie nie kochasz.

— Kocham cię.

— Oczywiście kłamiesz.

— Tak, kłamię.

— Więc idź.

Podszedł do okna.

— Co cię tak nagle zaciekawiło?

— Ulica — odpowiedział. — Zaciekawiała mnie ulica.

— Ładnie wygląda, prawda? Ludzie zadbali, żeby odpowiednio ją przygotować. Zobacz, jaka udekorowana.

Otworzył okiennice, popatrzył w dół.

— Kiedy on przyjeżdża?

— Przecież wiesz. Jutro.

— Ach, jutro.

— Będzie pięknie.

— O tak, na pewno.

— Gubernator jest bardzo przystojnym mężczyzną. Podobno kobiety za nim szaleją.

Odwrócił się do niej twarzą.

— Czy jest wysoki?

Zaśmiała się krótko. Potem rzekła:

— W przeciwieństwie do ciebie, tak.

Podszedł do drzwi.

— To dobrze, że jest wysoki.

— Niewykluczone, że się w nim zadurzę! — zawołała za wychodzącym, ale on nie słyszał już tych słów.

— Panie Ljudbeg, znowu się dzisiaj widzimy... Przystanął w miejscu, poczekał, aż kobieta podejdzie do niego bliżej.

— Dzień dobry pani — powiedział.

Uśmiechnęła się.

— Dziś wielki dzień, czyż nie tak? Gubernator przyjeżdża...

Przytaknął jej wymuszonym skinieniem głowy.

— Wybiera się pan obejrzyć jego przyjazd?

— Tak. Chyba tak.

— Może więc pójdziemy razem?

Milczał przez moment, a potem rzekł:

— Niestety nie mogę iść z panią. Niezmiernie żałuję, ale nie mogę.

Zmartwiła. Obrzucił ją badawczym spojrzeniem i odszedł.

*

Początkowo szedł dość szybko, sprawnie manewrując w gęstym tłumie ludzi podobnie jak i on podążających na plac Zamkowy, ale stopniowo tłum gęstniał coraz bardziej, dołączali do niego wciąż inni mieszkańcy miasta, wysypujący się z bocznych uliczek, łączący się z głównym nurtem pochodu, tak iż w pewnym momencie przejęła go obawa, że źle obliczył czas potrzebny mu na dotarcie do miejsca defilady i że się spóźni, nie zobaczy przyjazdu tego, kogo oczekiwało z zapartym tchem całe Tlusculan, spodziewając się, iż wizyta ta zmieni coś w bezbarwnym i posepnym życiu miasta. Ljudbeg wiedział o tych nadziejach, mówiły mu o tym twarze kobiet, bez wyjątku uroczyste i podniosłe, mówiły mu o tym spojrzenia mężczyzn, harde i skryte zarazem, przekonywał go o tym radosny śmiech miejskich dzieci, lecz on, może jako jedyny w owym trzystutysięcznym mieście, uważał te nadzieje za niebezpieczną mrzonkę i gdyby nie jego niezłomne postanowienie, nie ograniczyłyby się wyłącznie do

myślenia o tym w duchu, ale zdecydowałby się może nawet na publiczne ogłoszenie swych przemyśleń, nie zważając na reakcję, z jaką jego nierozumny czyn mógłby się spotkać.

Lecz nie mógł, nie mógł tego zrobić i doskonale o tym wiedział. Wiedział, że nie przyniosłoby mu to żadnych korzyści i dlatego tłumił w sobie chęć do jawnego wygłoszenia swych poglądów, urastającą chwilami do rozmiarów monstrualnych. Teraz jednak nie odczuwał już pragnienia podzielenia się z kimś swymi przypuszczeniami; jedno, czego pragnął, to dotrzeć na czas do placu Zamkowego i ujrzeć w oddali wysoką sylwetkę gubernatora. Zastanawiał się (choć była to myśl bezsensowna), czy jest naprawdę tak piękny, jak to przedstawiały kobiety, i czy faktycznie odznacza się tak nieprzeciętnym wzrostem, o czym też go zapewniały i co już nie było żadną bzdurną myślą, lecz okolicznością o znaczeniu wręcz podstawowym. Zastanawiał się również, czy Elwira go zdradza i czy ta dziewczyna, którą spotkał po drodze, Emma Vinnenburg, przypadkiem się w nim nie kocha, ale prędko odegnał od siebie te myśli jako nie mające najmniejszego związku z zadaniem, które go czeka, i jako — już niebawem — najzupełniej nieistotne, nieważne. Wprawdzie przypuszczenie, że ktoś go kocha, że ktoś może go w ogóle kochać, było dlań nader przyjemnym, i w innych warunkach, w innym mieście, w innym czasie dłużej roztrząsałby tę możliwość, smakując ją i pieszcząc, lecz teraz, gdy wraz z ludzkim mrowiem posuwał się stopniowo do przodu, wdychając kurz i pot, i jeszcze coś nieokreślonego, nie dającego się nazwać, co kojarzyło mu się z zapachem babiego lata i z nastrojem drażniącego wyczekiwania — musiał, po prostu musiał pozbyć się tej myśli i wszystkie swe siły skoncentrować na jednym: na jak najszybszym posuwaniu się do przodu i na jak najsprawniejszym wymijaniu wlokących się ospale przed nim obywateli Tlusculan.

Gdy dotarł do skrzyżowania Siedemnastej Ulicy z ale-

ją Tyranobójców, zorientował się z przerażeniem, że z alei wali cały tłum ludzi potężniejszy od tego, w którym maszerował, i że ten tłum, ta dzika horda, nieustannie śpiewająca i coś wykrzykująca, wyprzedzi jego tłum i uniemożliwi mu dotarcie na czas na miejsce przeznaczenia. Przerażenie na chwilę sparaliżowało jego zdolność trzeźwego myślenia, ale zaraz przestraszony ustąpił, i powiedział sobie, że za wszelką cenę powinien wyrwać się stąd i znaleźć w tej drugiej kolumnie. Tylko jak to zrobić? Wszędzie stoją ludzie, ze wszystkich stron otoczony jest śmierzącymi, spotniałymi ciałami, zewsząd wyziera jakaś znużona, zrozpaczona twarz. Zwrócił się w bok i spróbował precyzyjnie przesuwać się do drugiego szeregu. Tłum wokół niego nieznacznie zafalował, rozległy się jakieś gniewne burknięcia, ktoś (nie wiedział, kto) przeklął go cicho, a on prześliznął się nieco do przodu i już zwrócony ciałem w kierunku, skąd nadchodził tamten pochód, parł do przodu, ciągle słysząc sypiące się na jego głowę przekleństwa. Wreszcie stanął. Naturalnie nie z własnej woli: potężne babsko popatrzyło na niego z pogardą i uniemożliwiło mu dalsze przeciskanie się na zewnątrz kolumny. Postanowił zawrócić, lecz inna kobieta, o niewidocznej twarzy, złapała go za ramię i powiedziała, żeby się nie ruszał. Nie chciał wdawać się w kłótnię, nie chciał bezowocnie tracić drogocennych sekund. Znieruchomiał. I wtedy pochód drgnął i przetoczył się przez skrzyżowanie. Potem ponownie stanął. Ruch ten powtarzał się kilkakrotnie; czuł się jak we wnętrzu ogromnej ryby, stopniowo wypływającej go ze swych trzewi. Wrażenie owo nie opuściło Ljudbega nawet wtedy, gdy dotarli już pod sam plac i gdy przestrzeń wokół niego nagle się powiększyła. Szli teraz szybciej, może w tempie pół metra na sekundę. Nie był z tej prędkości zadowolony, lecz pocieszał się myślą, że lepsza taka niż żadna. W końcu znaleźli się na placu i ustawili na jednym z jego boków na wprost ulicy, z której wynurzyć się miał za kilkanaście minut orszak gubernatora. Było chłodno; wiał lekki, zim-

ny wietrzyk targający włosami kobiet i wywołujący wyraz pewnego niesmaku na twarzach mężczyzn. Po przeciwnej stronie placu policjanci i żandarmi przemierzani z członkami Straży Obywatelskiej starali się usilnie utrzymać tłuszcę w ryzach, aby zapewnić swobodny przejazd dostojnemu gościowi, ale ta niechętnie ulegała ich wysiłkom i raz po raz szeregi się łamały, i raz po raz ktoś wybiegał z falującej kolumny i przebiegał na drugi krańiec ulicy. Ljudbeg stojący blisko czoła swego pochodu dokonywał cudów, by precisnąć się do pierwszego szeregu, lecz chyba tego dnia Opatrzność nie była dlań łaskawa, a może zwyczajnie Bóg nie popierał jego zamiaru i nie chciał mu w nim dopomóc, ponieważ przeciskanie się do przodu szło Ljudbegowi tak samo opieszale jak poprzednio. Zaczął się modlić i prosić Go o to, czego pragnął, lecz nic nie wskazywało na to, że Wszechmogący wysłuchuje jego modlitwy. Szeregi przed nim stały nadal zwarte i nieporuszone i Ljudbeg poczuł, jak stopniowo opuszcza go nadzieja. Tylko jej resztki kołatały się w jego świadomości i tylko jej rozpaczliwe resztki wzbraniały mu poddania się rezygnacji i zaniechania swego zamierzenia. Czuł, iż stacza się powoli na samo dno rozpacz i że ta rozpacz, owo nieziemskie przygnębienie opanowują systematycznie jego umysł i zmuszają go do płaczu.

Wtem skądś, z jakiegoś niewidocznego miejsca wybuchnęła potworna wrzawa, w której nie było nic ludzkiego ani nawet zwierzęcego, wrzawa ta zaczęła przybliżać się doń coraz bardziej, i w pewnym momencie Ljudbeg zorientował się, że i on krzyczy, że i jego gardło drze się w potępieńczym ryku, i konstatacja owa otrzeźwiła go natychmiast i na nowo przywróciła mu zdolność jasnego kojarzenia faktów. Orszak gubernatora wreszcie się pojawił; już widzą go stojący na przeciwnych krańcach placu; za jakiś czas będzie można go ujrzeć i z mojej strony. Pomyślał to i z niespodziewaną siłą rzucił się do przodu, wytrwale pracując łokciami, i tłum o dziwo ustąpił, może dlatego, że zbyt był za-

aferowany widoczną w oddali sylwetką dostojnego gościa i nazbyt zajmowały go wrzaski na jego cześć.

Przecisnął się aż do drugiego szeregu i tam znieruchomiał, obiecując sobie, że za nic w świecie nie pozwoli się stąd usunąć. Miejsce owo było istotnie wyborne, jakby stworzone dla urzeczywistnienia jego planu. Praktycznie niewidzialny, będący tylko niewyraźnym zarysem głowy i ramion, mógł swobodnie obserwować przedpole i oceniać wzrokiem dystans dzielący go od nadciągającego orszaku, który przesunął się już do jednej trzeciej długości placu i wolno podążał dalej, strzeżony przez łańcuch konnych gwardzistów. Ljudbeg zaobserwował nagle, że łańcuch ten jest niewystarczającą osłoną przed szalejącą gawiedzią i że co rusz ktoś przebija się przez tę kruchą osłonę i dociera aż do samej karety gubernatora. Zauważył też, że następca złowrogiego Trifonusa, przeklinanego przez tyle tulusciańskich kobiet, wychyla się w takich przypadkach z powozu i majestatycznie kiwa ręką do wyskakujących z tłumu śmiałków. Pomyślał momentalnie, że jest to okoliczność sprzyjająca jego zamiarom i nadzieja znów wstąpiła w jego serce. Pokrzepiony tą myślą, ze spokojem oczekiwał, aż kawalkada przybliży się do niego na dostateczną odległość.

Wreszcie ta chwila nadeszła. Poprzedzany trójką jeźdźców orszak znalazł się na wysokości czworoboku, w którym tkwił niby ślimak otoczony ochronnym pancerzem entuzjazmu i dobywającego się z setek gardzieli wrzasku. Jakiś mężczyzna wyskoczył naraz zza łańcucha straży i podbiegł do karety. Konni napanarli nań, ale on zręcznie uniknął płazów i wrzucił do pojazdu wiązaną kwiatów. Po chwili to samo uczyniła pewna kobieta. Dostojnik po kiwał jej przyjaźnie ręką. Teraz! — pomyślał, i poszedł śladem tamtych. Strażnicy bezskutecznie usiłowali go powstrzymać. Gubernator popatrzył na Ljudbega długim, ostrym spojrzeniem i nagle twarz jego pojaśniała w uśmiechu. Zanim zrobił to, co planował od tyłu miesiący,

co od tak dawna niepokoiło jego umysł, w mózgu Ljudbega powstały i natychmiast zgasły dwie myśli: że ten, kto pragnie zgładzić tyrana, musi pozostać sam ze swymi pragnieniami (nie tak, jak to uczynił Filip Mesałończyk, mieszkaniec gór, zdradzony przez jednego ze spiskowców, zabity w tym samym miejscu przed siedemnastu laty) i że nie ma na świecie takiej siły, która udaremniłaby opętanemu wielką ideą człowiekowi szansę na zrealizowanie jej, jeśli tylko człowiek ten gotów będzie ofiarować dla niej swoje nędzne, nikczemne życie... Pomyślał to i wolną ręką (nie tą, w której trzymał kwiaty) wyciągnął pistolet z kieszeni i dwukrotnie wystrzelił.

Gubernator zwałił się jak kłoda na ziemię. Żył jeszcze, i patrzył w górę zdumionym, dziecinnym spojrzeniem. Był to ostatni obraz, jaki dotarł do umęczonej świadomości zamachowca. Po chwili jego głowa, odrąbana uderzeniem szabli, potoczyła się na tlusculański bruk.

1980

ŚMIERĆ KOLEKCJONERA

Najlepiej będzie, jak zacznę od początku, czyli od tego, jak wyglądał ten człowiek. Niepozorny, podstarzały, wzrostu mniej niż średniego, miał dużą głowę i nieco odstające uszy (dla pełnego zrozumienia tej historii szczegółów bez znaczenia; wspominam o tym tylko dlatego, by dać w miarę wierny obraz jego zewnętrznego wyglądu). Twarz raczej nieciekawa, jak gdyby bez owego osobistego piętna, jakie niektórzy wyciskają na wszystkim, czego się dotkną. Powierzchnowość miał więc niezbyt zachęcająca; trudno byłoby go wyłowić spośród tłumu ludzi spacerujących wieczorami głównymi ulicami miasta. Wyglądał jak każdy z nas, jak ktoś, kogo szczęśliwie omijają mroczne podmuchy dziejów, i w pewnym sensie było to prawdą. Adalbert (takie niecodzienne nosił imię) nie brał udziału ani nawet nie próbował uczestniczyć w tych licznych zamachach i przewrotach, które urozmaicają (i dodają jej swoistego uroku) szarą egzystencję mieszkańców naszej metropolii. Nigdy dotąd Annapolis nie było widownią tak częstych zmian w scenerii politycznej miasta i nigdy jeszcze nie pociągnęły one za sobą aż tylu — nie zawsze niewinnych — ofiar. Wielu ludzi miało prawo obawiać się o swój los, o to, czy nie znajdują się aby na liście przeznaczonych na śmierć, lecz Adalbert do nich się nie zaliczał. Nie był związany z żadnym z rywalizujących o władzę ugrupowań, w jego rodzinie nikt nie pełnił za dawnych czasów (w erze Republiki) godności publicznych, nie głosował nigdy na żadnego ze straconych prawomocnym wyrokiem polityków i kandydatów do miejskich władz, nie powinien więc lękać się o swoje nędzne, nikomu niepotrzebne życie. Pomimo to jednak jego zachowanie było co najmniej niezrozumiałe. Adalbert rzadko kiedy wychodził z domu, jakby obawiał się trafienia kulą nieznanego Strzelca, nie oddawał się do-

stępnym ludowi rozrywkom, nie odwiedzał znajomych ani nie był przez nikogo odwiedzany. Jego sąsiedzi (rozmawiałem z niektórymi z nich) uważali, że jest on starym dziwakiem, nie zasługującym na odrobinę współczucia. Mówili o nim, że jest trochę stuknięty i że absolutnie bezprawnie zajmuje dwupokojowe mieszkanie, odziedziczone po ojcu. Jego miejsce jest gdzie indziej, powiadali. Przez wzgląd na starego nie pytałem, o jakim konkretnie miejscu myślą.

Jako bibliofila z zamiłowania (a historyka z zawodu) sprowadziła mnie do niego wieść o pewnej cennej książce, którą jakoby przetrzymywał w swej domowej bibliotece, nie czytając jej ani nie wypożyczając nikomu. Rękopis ten (trzecie wydanie dwutomowej *Historii sekty Czcieli Ognia Świętego*) budził moje nie słabnące pożądanie. Pogłębionymi religijnymi sekty interesowałem się mniej; bardziej szło mi o jej pogmatwane losy i jej niewątpliwe powiązania z rządzącą miastem grupą Nieśmiertelnych. Spodziewałem się rozproszenia niektórych z moich wątpliwości; w najgorszym wypadku liczyłem na to, że wyjaśniony zostanie udział członków sekty w krwawym przewrocie z roku 1845, na czym mi z przyczyn, których ogłoszenia drukiem nie uważam za bezpieczne ani celowe, bardzo zależało.

Adalbert nie chciał mnie przyjąć. Rozmawialiśmy przez półotwarte drzwi, zza których wyzierał fragment ciemnego przedpokoju i kawałek niewyraźnej ludzkiej sylwetki. W mieszkaniu nie było światła. Po paru dniach, podczas ponownej wizyty dowiedziałem się od dozorczy, że odcięto mu dopływ prądu z powodu nie zapłaconych rachunków. Dowiedziałem się również, że Adalbert jest człowiekiem bogatym, tylko że niemiłosiernie skąpym i w jakimś stopniu bezlitosnym także dla siebie samego.

— Co jeszcze pan o nim wie? — zapytałem, wsuwając mu banknot do ręki.

— To wielki dziwak, panie — odparł. — Dziwak i po-

myleniec. Często gada do siebie, jak to wariat.

— Potrafiłby pan powiedzieć, o czym on tak mówi?

— Ja nie. Ale polecę panu kogoś, kto będzie to wiedział. Ten ktoś mieszka tuż obok, a ściany w naszym domu są liche — i powiedział mi nazwisko tej osoby.

Była to kobieta. Brzydka, młoda, o nieprzyjemnym spojrzeniu. Poinformowała mnie, że nie leży w jej zwyczajach podsłuchiwać kogokolwiek i poradziła, bym się wynosił. Uczyniłem to bez większego żalu. Nie wyglądała na specjalnie sympatyczną, nie była też ładna. Wróciłem do siebie i usnąłem śniąc długi sen o krwawych obrządkach sekty, której członkostwo nie było dla mnie zaszczytem.

Zapomniałem już nieomal o tej historii, gdy wtem pewne niespodziewane zdarzenie znowu zwróciło moje myśli w tym kierunku. Postanowiłem spróbować szczęścia raz jeszcze, zdecydowany nawet na zabranie rękopisu (nazywam tę książkę rękopisem, chociaż nie jest to ściśle określenie) siłą. Mogłem sobie na to pozwolić; czasy były niespokojne, a ja w szeregach annopolitańskiej policji i władzach miasta miałem paru przyjaciół, o których przychylności byłem przekonany. Ponownie udałem się więc na ulicę Czerwonych Rombów.

Stukałem i waliłem pięścią w drzwi, aż w końcu się uchyliły. — Czego pan sobie życzy? — zapytał gospodarz. Odrzekłem, że pragnę z nim porozmawiać o kupnie pewnej książki.

Zlustrował mnie wzrokiem. Oględziny wypadły widocznie pomyślnie, ponieważ zostałem zaproszony do środka. Adalbert przypatrywał się mnie zdejmującemu płaszcz z niesłabnącą uwagą, jakby zależało od tego jego życie (później pojąłem, że tak rzeczywiście było). — W zasadzie nie przyjmuję tu obcych — rzekł — ale dla pana zrobię wyjątek. Proszę wejść dalej.

To, co zobaczyłem potem, w jakimś stopniu wstrząsnęło mną i chwilowo wytrąciło mnie z równowagi. Pokój był potwornie zagracony. Czego tam nie było! Dy-

plomy uznania za nieskazitelną pracę, wiszące na ścianach równym rzędem niczym wojsko na paradzie, kule armatnie walające się po podłodze, całe mnóstwo starych monet spoczywających pod szkłem i okupujących półotwarte szuflady, rzeźby jakichś mitycznych postaci, gumowa policyjna pałka, drewniany pręt z tępo zakończonym ostrzem, blaszany garnek z wywierconą dziurą (a może był to przestrelony żołnierski hełm?), oprawione w ramki dokumenty wiszące na ścianach obok dyplomów, szafa, łóżko za nią ukryte, dwa zegary, w tym jeden zastygły w bezruchu, kilka krzeseł, kominek i wygrzewający się przy nim kot. Pokój był ogromny, lecz przez to zagęszczenie wszystkich możliwych przedmiotów wydawał się niewielki. Nie wiedziałem, jak zareagować na widok tak dziwacznej kolekcji. Wreszcie zdecydowałem się na wyrażenie swego zachwytu.

Ująłem go tym sobie. Powiedział, żebym usiadł i czuł się jak u siebie.

— Od dawna zbiera pan te różne przedmioty? — spytałem.

— Tak — odpowiedział. — Przynajmniej od kilkunastu lat. W pewnym sensie jest to plon całego mojego życia. — Potem dodał, że w przyszłości zamierza przekazać swą kolekcję skarbowi państwa albo jakiemuś muzeum.

— Swoje książki też pan odda państwu? — zapytałem.

Znieruchomiał i jego twarz pokryła się jakby warstwą ponurej szarości; rysy mu skamieniały, przestał gestykulować i wydymać wargi (co czynił przedtem bez przerwy). Nie mogłem zrozumieć, co spowodowało tak nagłą zmianę.

— Nie, ich nie — rzekł po chwili. — Nie oddam nikomu swej biblioteki. Jej wartość dla mnie jest wprost nieoceniona.

Pomyślałem, że wolałbym, aby ich tak sobie nie cenił. Zaniepokoiłem się o los upragnionej przeze mnie *Historii sekty...* Czyżbym miał odejść z pustymi rękami?

Zapytałem go o to wprost. Nie namyślał się długo. Powiedział, że sprzeda mi tę książkę. — Dlaczego? — spytałem. — Przecież nie chce się pan rozstawać ze swoją biblioteką... — Owszem, lecz akurat na tej pozycji mi nie zależy.

Wstał i zniknął na moment w drugim pokoju. Gdy wrócił, trzymał w rękach rękopis. Bez słowa odebrałem mu go i zacząłem wertować.

Dzieje tej osławionej sekty są u nas słabo znane. Czyciele ognia nigdy nie byli (i nie są) intelektualistami; podstawą ich działalności jest raczej sztylet niż słowo drukowane, bardziej pistolet aniżeli płomienna przemowa. Nikt nie wie, jakiej ilości rytualnych zabójstw się dopuścili; nikt nie potrafiłby powiedzieć, ile ludzkich istnień przekreślili raz na zawsze; ale każdy wie, że to za ich sprawą zginął konetabl Mariusz de Volmarecky, duma i nadzieja stronnictwa popularów. (Byłem przyjacielem Mariusza; jeszcze dziś pamiętam, po tylu latach, jego jasny uśmiech i ową zadziwiającą uczynność, z jakiej sływał... Śmierć jego mordercom, kimkolwiek by oni byli.)

Ale zawiodłem się, niestety. Przewrotowi z 1845 r. poświęcona była tylko jedna stronica, a o udziale członków sekty nie wspominało się tam wcale, jeżeli nie liczyć pewnego mglistego zdania, które mogło po części do tego nawiązywać i które pozwolę sobie zacytować bez najmniejszych przeinaczeń: „I tak się stało; zginęło wtedy wielu z rebeliantów, a niektórzy z nich padli ofiarą tajemnych porachunków, nie mających nic wspólnego z historią sprzysiężenia”... Owo wieloznaczne zdanie sugerowało udział czcicieli w owym przewrocie; sugerowało, lecz nie rozstrzygało tego ponad wszelką wątpliwość. Z obawą pomyślałem, że być może nigdy nie uda mi się rozwiązać tej zagadki.

— Zaciekawiała pana moja książka?

Odparłem, że tak, bardzo, i podniosłem się z miejsca, żeby się oddalić. Zatrzymał mnie i powiedział, że nieba-

wem przyniesie herbaty. Byłem mocno zdziwiony tym postępkami Adalberta. Najpierw nie chce mnie oglądać, a potem nie pozwala mi odejść? Czyżby krył się w tym jakiś podstęp? Zaraz jednak się uspokoiłem: „Ten starzec nie może mi w niczym zagrozić — pomyślałem. — Przecież nie rzuci się na mnie ze sztyletem, bo i w jakim celu, a zresztą nawet przed niespodziewaną napaścią potrafię się obronić”.

Herbata, którą mnie poczęstował, nie była trunkiem specjalnie smacznym, ale nie była także zwyczajną lura, czego się początkowo obawiałem, pamiętając o biedzie, w jakiej żył. Zbiory Adalberta musiały pochłaniać większą część jego finansowych zasobów; nie dziwiłbym się zatem, gdyby zalegał od miesięcy z opłatą czynszu za mieszkanie.

— Czy domyśla się pan, dlaczego go zatrzymałem? — zapytał.

Przecząco pokręciłem głową. Gospodarz uśmiechnął się nieznacznie i rzekł:

— Tak też sądziłem. Poprosiłem pana, żeby został na moment, ponieważ nabrałem do niego zaufania... Nie czuje się pan zaskoczony tym stwierdzeniem?

Powiedziałem, że owszem i dodałem, że zrazu wszakże przyjął mnie niezbyt gościnnie, więc moje zdumienie jest jak najbardziej naturalne.

— Znam się na ludziach — odpowiedział na to. — Poznaje ich nie od razu, dlatego w pierwszej chwili nie chciałem z panem rozmawiać, ale znam się na nich w ogóle. Niewielu jest takich, którym można zaufać. Większość z nas to ludzie złej woli, zawsze gotowi do wykorzystania cudzej słabości, lecz pan do nich się nie zalicza. Panu można zawierzyć.

Pomyślałem, że być może się myli i szybko opanowała mnie myśl: Adalbert nie jest pomyleńcem, Adalbert jest człowiekiem chorym, zasługującym na odrobinę ciepła i współczucia, wbrew temu co mówili o nim jego zawistni sąsiedzi. Pomyślałem: Adalbert nie jest skąpy,

Adalbert jest biedny. Pomyślałem: trzeba wyciągnąć w jego stronę pomocną dłoń. Nie wiedziałem jednak, w jaki sposób to uczynić.

—Ludziom nie wolno ufać. Wyobraża pan sobie, jak oni mnie traktują? Ci, z którymi mieszkam? Uważają mnie za starego dziwaka, nieomal za wariata, który absolutnie bezpodstawnie okupuje ten lokal. A cóż ja niby mam z tego mieszkania? Widział pan chyba, ile tu jest różnych rzeczy. Jest to plon całego mego długiego życia i ja nie mogę się z tym rozstać tak po prostu, ni stąd, ni zowąd. Te przedmioty mają dla mnie za dużą wartość, bym mógł się ich pozbyć bez bólu. Dlatego na ogół nie sprzedaję swych eksponatów, ani też nie pozwalam nikomu ich oglądać. Dla pana zrobiłem wyjątek, bo pan mi się spodobał. Ponadto nie zależało mi na tej książce. Historia mnie specjalnie nie ciekawi. Wolę nauki ścisłe i przyrodnicze. Kiedyś uczyłem matematyki w szkole, lecz minęło od tego czasu już tyle lat, że raczej nie byłbym w stanie podjąć się ponownie roli nauczyciela. A jest to praca niełatwa. Zapewniam pana, że niełatwa. Ponadto niebezpieczna. Ciągłe zmieniają się rządy i wraz z nimi programy nauczania, a biedny nauczyciel musi się do tych zmian dostosowywać. I nikogo przy tym nie obchodzi, czy mu te zmiany odpowiadają, czy też nie. Nauczyciel przypomina księżyc; tak często zmienia oblicze, że w końcu już sam nie wie, w co wierzy, a w co nie. Najgorzej jest w epoce dyktatorów. Nie płacą nam wtedy ani grosza, zamykają szkoły i posyłają młodzież do obozów pracy. Ta dyktatura, którą ostatnio przetrwaliśmy, nie była jeszcze taka zła, ale również dała się we znaki społeczeństwu miasta. Stracono wielu ludzi, sam cudem uniknąłem śmierci. Czy pan wie, że chciano mnie zabić? Mnie, człowieka, który nie wadzi nikomu i który nigdy nikomu nie uczynił najmniejszej krzywdy? To oburzające, nie wydaje się panu? Byłem śledzony. Chodziło za mną dwóch szpicli. Jeden wysoki z brodą, drugi przytęgawy, krótko ostrzyżony. Od razu sobie pomyślałem, że są

to tajniacy z Towarzystwa... Ładna nazwa, niech pan powie! Określać policję polityczną mianem Towarzystwa Przyjaciół. Trzeba do tego posiadać dość specyficzne poczucie humoru.

Łazili za mną krok w krok, nie odstępowali mnie ani na godzinę. I cóż ja im zawiniłem? W jaki sposób człowiek tak spokojny jak ja, były belfer, nikomu nie wadzący zbieracz starożytności, mogłem się narazić wszechpotężnej Radzie? Czyżby przypuszczali, że przechowuję u siebie w domu złoto lub inne kosztowności? Skoro jest kolekcjonerem, więc może zbiera i złoto. Toż to jawny absurd! Skąd niby miałbym wziąć na to pieniądze? Przecież nie ze swej nauczycielskiej pensji ani nie z emerytury, której zresztą podczas politycznych zamieszek nigdy nie otrzymywałem. Zapominano o mnie, starym, nikomu niepotrzebnym. Ale nie martwiłem się tym. Niekiedy lepiej, jak zapominają o człowieku.

Przerwał i zaczął głaskać kota, który wczuł się na kolana. W kominku wesoło płonął ogień; kontrastowało to jaskrawie z ponurym tonem opowieści Adalberta. Również gest czułości, jakim obdarzył kota, nie zgadzał się w jakiś sposób z atmosferą owego pokoju; ciężką i pełną obiecujących tajemnic. Pomyślałem, że ten zagadkowy człowiek odkryje zaraz przede mną jedną z nich. Gospodarz wznowił swoje opowiadanie:

— Chociaż w okresie politycznych niepokojów nie mogłem być pewny dnia ani godziny, chociaż tajniacy czuwali nad każdym moim krokiem, mimo to jednakże, a może właśnie dlatego, byłem wtedy szczęśliwy. Nie musiałem się z nikim spotykać — ludzie unikali mnie, jakby wyczuwając szpicli za moimi plecami; nie musiałem słuchać ich nieszczerych słów ani przyglądać się ich zadowolonym twarzom. Swoje kontakty towarzyskie ograniczyłem do niezbędnego minimum. Rozmawiałem wyłącznie z tymi, z którymi naprawdę rozmawiać musiałem: z dozorcą, piekarzem, sprzątaczką. Nikogo nie odwiedzałem, by nie ściągnąć na cudzy dom jakiegoś nieszczęścia

(proszę pamiętać, że byłem wówczas prawie nieprzerwanie śledzony), nikogo z tych samych powodów do siebie nie zapraszałem, z nikim się również nie zaprzyjaźniłem. Zresztą, kto się zaprzyjaźni ze starym dziwakiem? Nikt także nie będzie chciał go słuchać. Pan mnie na razie wysłuchuje cierpliwie i w skupieniu, ale wiem, wiem dobrze, że jest to skupienie udawane, a cierpliwość nacechowana litością... Niebawem pan zaśnie i...

Zaprotestowałem, mówiąc, iż to nieprawda, że, wprost przeciwnie, szalenie mnie to ciekawi i że będę mu ogromnie wdzięczny za dalsze kontynuowanie swej opowieści.

Milczał jeszcze przez chwilę, a potem znowu zaczął:

— Tak więc byłem szczęśliwy. Nie powiem, że jak nigdy w życiu, lecz byłem szczęśliwy w ogóle. Trwało to do chwili, kiedy ONI przyszli do mnie do domu...

— Jacy oni? — spytałem.

— No, tajniacy oczywiście! — odpowiedział. — Ci sami, którzy śledzili mnie przez całe tygodnie.

Wyobraziłem sobie tę scenę: stary, przestraszony człowiek, ukryty wśród swych eksponatów, dotykający ich z najwyższą czułością, i miarowy łomot do drzwi. Gospodarz zastyga w bezruchu, potem wstaje z sercem przeszytym lękiem i idzie do drzwi. Otwierając je, słyszy gniewne głosy policjantów, niezadowolonych z tak długiego wyczekiwania na korytarzu. I staje z nimi, swoimi prześladowcami, twarzą w twarz...

— Parzyłem wtedy herbatę w kuchni. A może była to kawa... Nie wiem, nie pamiętam już tego. Zresztą to nieistotne. Na dźwięk dzwonka odstawiłem czajnik na bok i zbliżyłem się do drzwi. Początkowo ich nie poznałem. Wyglądali jakoś inaczej niż wówczas na ulicach miasta. Jakby bardziej sympatycznie. Zapytali, czy mogą wejść. Powiedziałem, że nie przyjmuję tu nikogo...

Pomyślałem w owym momencie, że zbyt ulegam atmosferze tego mieszkania. Atmosfera ta, pełna tajemniczej grozy i niedopuszczalnych niedopowiedzeń, przypominająca nieco atmosferę, jaką otaczali się czciciele ognia,

przedmiot mego nie słabnącego zainteresowania, ciągle nie spełnionego, mocno oddziaływała na moją wyobraźnię, podrażnioną pierwszymi słowami Adalberta. Poczułem się trochę jak podczas odprawiania jednego z obrządków owej fascynującej i zbrodniczej sekty; tak, jakbym w nich kiedyś uczestniczył.

— A oni na to, że muszę ich przyjąć. „Dlaczego”? — zapytałem. „Bo przychodzimy z ciekawymi wieściami” — odparli. „Wieściami od kogo”? „Od przyjaciela”. „Ja nie posiadam przyjaciół”. „Ale tego człowieka pan zapewne zna”. I powiedzieli mi, o kogo chodzi.

— Znał go pan chociaż?

— Tak, znałem. Był to mój stary przyjaciel z lat studenckich. Studiowaliśmy razem na uniwersytecie — wyjaśnił. — Ale ja nie widziałem się z nim od szeregu lat! Nie pisałem do niego, on także nie dawał ze swej strony znaku życia. Nie mogłem więc pojąć, co się nagle zdarzyło.

— A co się zdarzyło?

— Zaraz to panu wyjaśnię. Oświadczyli, że on mnie pozdrawia. Od razu nie spodobało mi się to; jak gdyby jakieś ostrzegawcze światełko naraz zapłonęło w moim umyśle. Zapytałem: a wy skąd o tym wiecie? A oni: jesteśmy jego dobrymi przyjaciółmi. Przyjaciółmi! Stary Monteletti nie miał w szeregach tajnej policji nawet kolegów, a co dopiero przyjaciół! Wówczas pomyślałem sobie, że oni na pewno są z Towarzystwa.

— I byli rzeczywiście?

— Proszę słuchać dalej. Powiedzieli mi, że Monteletti pozdrawia mnie i zarazem prosi o wyświadczenie mu pewnej przysługi. Zapytałem, jakiej, i nie czekając na odpowiedź oznajmiłem, że nie wyobrażam sobie, abym mógł ją spełnić. Jestem biednym człowiekiem, rzekłem. Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności ani nie zostałem przez lud obarczony żadną władzą. Ja nic nie znaczę, proszę panów.

— Powiedział pan: lud? To chyba im było wyraźnie

nie w smak.

—Aha. Skrzywili się jak na komendę, gdy usłyszeli to piękne słowo. Uważam, że to słowo jest piękne i że powinniśmy możliwie najczęściej się nim posługiwać. Mam nadzieję, że pan uważa podobnie?

Powiedziałem, że naturalnie tak, i przyszło mi na myśl, że niepotrzebnie mu przerwałem. Jak stary nie przestanie z tymi dygresjami — pomyślałem — to nigdy nie skończy swojej opowieści. A może on należy właśnie do grona takich gospodarzy, którzy od jednej dygresji przechodzą do drugiej i mogą tak bez końca? Słyszałem o pewnym inwalidzie wojennym, który opowiadał zawsze jedną i tą samą historię, nigdy nie doprowadzając jej do finału, nigdy nie docierając do puenty. Zacząłem się bać, że mój rozmówca przypomina kropka w kropkę tamtego starucha.

—A oni wtedy na to: „Wyświadczenie tej przysługi bez wątpienia leży w pańskich możliwościach. Mianowicie chodzi o pewien siedemnastowieczny sztych, który Monteletti pragnie od pana nabyć”. Rozumie pan, powiedzieli to stojąc nadal na korytarzu. Na początku byli całkiem grzeczni.

— Rozumiem.

— Odpowiedziałem im, że moja kolekcja nie jest na sprzedaż. A oni: Ależ nam nie idzie o samą kolekcję, chcemy tylko kupić od pana jeden sztych! Oświadczyłem, że traktuję swoje zbiory jako niepodzielną całość. Zdenerwowali się i powiedzieli, że dłużej na korytarzu rozmawiać nie będą. A ja na to: nikt panom nie każe ze mną rozmawiać! Wściekli się wtedy i powiedzieli, że wchodzi do środka. Oczywiście zaprotestowałem przeciwko temu, lecz tamtych nic nie było w stanie wzruszyć. Odepchnęli mnie i weszli do mieszkania. Wtargnęli do niego siłą. I cóż pan powie o tym postępku?

— No... — zawahałem się. — Faktycznie, nie było to zbyt etyczne.

— To stanowczo za mało powiedziane! Był to z ich

strony akt wyjątkowo brutalnej przemocy. Wyjątkowo brutalnej! — wykrzyknął. Gdy się uspokoił, znów podjął swą opowieść, głaszcząc jednocześnie spoczywające mu na kolanach zwierzę: — Wdarli się do mieszkania i zaczęli się w nim panoszyć. Zaglądali do wszystkich kątów, nie ominęli nawet kuchni, w której wszakże niczego ciekawego znaleźć nie mogli. Szperali między eksponatami, twierdząc, że szukają tego sztychu, ale ja dobrze wiedziałem, co o tym sądzić. Na pewno szukali czegoś innego: może złota, może kompromitujących reżim materiałów. Szukali bez rezultatu...

— A powiedzieli panu chociaż, o jakie malowidło im chodzi?

— Skądże! To również mnie uderzyło. Upewniłem się wtedy do reszty, że ten sztych jest tylko pretekstem i że na znalezieniu jego bynajmniej im nie zależy.

— Chyba tak było...

— Pan w to wątpi? Bo ja ani trochę. Niewątpliwie szukali czegoś zupełnie innego. Czego, tego niestety nie wiem.

— Co było potem?

— Wynieśli się z mojego mieszkania lotem błyskawicy. Ten wyższy powiedział: „My tu jeszcze wrócimy”, a jego kompan dodał, że może to nastąpić prędzej, niż ja się tego spodziewam. Przekląłem ich w duchu i zamknąłem za nimi starannie drzwi, po czym dokładnie wywietrzyłem pokoje. Pan rozumie: te typy z Towarzystwa Przyjaciół zostawiają po sobie taki wstrętny zapach, że niepodobna po ich odwiedzinach nie wietrzyć.

Adalbert skończył, a ja pomyślałem, że mogła to być równie dobrze całkowicie niewinna wizyta i że wyłącznie wybujała imaginacja mego rozmówcy nadała jej groźne, niesamowite rysy. Przyjrzałem się bacznie gospodarzowi; wyglądał tak, jak go — raczej nieudolnie — opisałem na początku opowieści. Był niski, niepozorny, stary, miał nieciekawą twarz i zdecydowanie za dużą głowę. Poza tym (tak wtenczas mniemałem) był niepoprawnym

łgarzem z gatunku łgarzy nieszkodliwych, pragnących jedynie zwrócić na siebie uwagę otoczenia. Adalbert kłamiąc nie wyrządzał nikomu najmniejszej krzywdy; na pewno był dobrym człowiekiem i lojalnym członkiem naszej miejskiej społeczności, którego tylko unosząca się nad Annapolis atmosfera nieufności i gwałtu zmusiła do wycofania się w domowe zacisze. Ponownie pomyślałem, że temu starcowi należy pomóc... W przeciwnym razie, jak sądziłem, może on rzeczywiście do końca pograżyć się w mrocznych głębiach swojej chorobliwej wyobraźni. Powiedziałem:

— Jak się panu zdaje, czy to naprawdę byli tajniacy? A może oni istotnie byli przysłani przez pańskiego przyjaciela Monteletiego, który z jakichś nieznanych powodów nie mógł do pana przybyć osobiście?

Gdy usłyszał to pytanie, gdy dotarła doń jego zadziwiająca treść, zatrząsł się cały, zrzucił kota z kolan i krzyknął:

— Jak to!? Więc pan mi nie ufa? A ja, głupi, zawierzyłem panu...

Poczułem się nieswojo, jakbym faktycznie w czymś zawinił. Nie wiedziałem, jak właściwie mam zareagować na ostatnie słowa Adalberta. Udać, że ich nie słyszałem, spróbować się jakoś z nich wytłumaczyć, czy też inaczej — podobnie jak i on — unieść się gniewem... Zdecydowałem się — po krótkim namyśle — wybrać tę drugą możliwość.

— No bo przecież nie może mieć pan pewności, że to byli faceci z Towarzystwa. Myślałem przeto...

— Ależ ja ją posiadam! To byli tajniacy, zapewniam pana, że byli! W przeciwnym wypadku nie przetrząsnęliby mi całego mieszkania! — wykrzyknął to i zerwał się z krzesła, ruszając w niespokojną wędrówkę po pokoju. Zatrzymał się dopiero przy kominku, jak gdyby zamierzał się przy nim ogrzać, i rzekł. — Niepotrzebnie to wszystko panu opowiedziałem. Pan też może być z tajnej policji...

Ja członkiem Towarzystwa Przyjaciół, członkiem owego złowrogięgo klanu morderców i agentów do specjalnych poruczeń?! Podejrzliwość starego wstrząsnęła mną do głębi. Ogarnęła mnie szalona chęć, by wstać, podejść do niego i obrzucić go wyzwiskami, lecz powstrzymała mnie od tego myśl, że takiemu dziwakowi jak Adalbert trzeba wiele wybaczyć, bo nie do końca odpowiada on za swoje czyny i słowa. Powiedziałem mu zatem tylko tyle, że nie mam doń większych pretensji o to, iż nazwał mnie tajniakiem. Zdaje się, że zrozumiał. Wrócił z powrotem na swoje miejsce, gestem przywołał kota, który przybiegł do niego natychmiast, wdrapując się na ramię, i odezwał się do mnie tak:

— Jestem starym, zmęczonym człowiekiem. Poza swoją kolekcjonerską pasją nie mam na świecie niczego: ani rodziny, ani przyjaciół. Rzadko się zdarza, żeby ktoś chciał znosić moje uciążliwe towarzystwo. Niewielkie więc mam doświadczenie w rozmowach z ludźmi. Odwykłem już od ich widoku. Proszę mi więc wybaczyć owo niesłuszne podejrzenie.

Starzy, zmęczeni życiem ludzie są na ogół despotyczni i niechętnie przyznają się do błędów. Skoro Adalbert to uczynił, myślałem, to najwyraźniej zależy mu na mojej obecności. Jednak pragnie, aby go ktoś wreszcie wysłuchał w skupieniu i z uwagą. Pewnie właśnie dlatego poczęstował mnie herbatą. Żebym mu towarzyszył i przytakiwał jego słowom.

— Czy oni przyszli do pana ponownie?

— Kto? — zapytał niezwłocznie. — Ach, tamci... Tak, po tygodniu odwiedzili mnie znowu.

— Z jakim rezultatem?

— Nic nie zyskali. Poznałem ich pukanie i wcale im nie otworzyłem.

Adalbert często zamyka się w swoim mieszkaniu i nie wpuszcza do siebie nikogo. Przypomniałem sobie w owym momencie to powtarzające się z rozmów z jego sąsiadami zdanie.

— Czyli że w ogóle ich pan tym razem nie widział?

— Nie, ale to na pewno byli oni — odpowiedział.

— Jest pan tego pewien?

— Absolutnie tak.

— I wyklucza pan ewentualność pomyłki?

— Wykluczam. Przecież zapowiadali swoje ponowne odwiedziny. Nie pamięta pan?

— Pamiętam — powiedziałem. — Niemniej równie dobrze mógł to być przypadkowy gość.

— Przekładkowy gość nie waliłby tak mocno w drzwi.

— A oni walili?

— Jeszcze jak! Omal ich nie wylamali. Z trwogą czekałem, kiedy sobie nareszcie pójda. Gdy to zrobili, odechnąłem z ulgą.

Zasepiłem się. Adalberta najwyraźniej nic nie było w stanie odwieść od przekonania, że znów miał do czynienia z tajniakami. Starzy ludzie są w przeważającej większości uparci niczym kozły i nie przypuszczałem, aby moje tłumaczenia mogły odnieść jakiś skutek. Zanosilo się zatem na to, że on nadal będzie uważał, iż jest (i był) inwigilowany przez agentów policji, co groziło popadnięciem w manię prześladowczą. Polubiłem już mojego gospodarza i zdecydowałem, że dołożę wszelkich starań, by do tego nie dopuścić. Powiedziałem:

— Najlepiej będzie, jeżeli pan zapomni o tej całej historii... — i urwałem w tym miejscu, ponieważ zorientowałem się (po wyrazie jego twarzy), że, mówiąc to, zrobiłem źle. Adalbert najpierw poczerwieniał, potem zbladł i tak już zostało. Siedział z kotem na ramieniu z pobladłą z przerażenia twarzą i nie odzywał się do mnie. Milczałem i ja, nie wiedząc, jak wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji. W końcu postanowiłem przerwać ową nieznośną ciszę. — Naprawdę tak będzie najlepiej... — brnąłem dalej w tym duchu, rozumiejąc równocześnie, że z każdym

słowem pogłębia się jego nieufność. Wpatrywał się we mnie dziwnym spojrzeniem i milczał. Przekonywałem go o swoich racjach przynajmniej przez dziesięć minut, lecz bez powodzenia. Ciągłe się nie odzywał i nie czynił nic, co mogłoby mi ułatwić moje zadanie. Wreszcie, całkowicie zrezygnowany, przestałem mówić i ponownie w pokoju kolekcjonera zapanowała dławiąca cisza. Błądziłem wzrokiem po wypełnionych eksponatami półkach i gablotach, przypatrywałem się osowiale rycerskim zbrojom i starożytnym garnkom i myślałem sobie, że szkoda zachodu na rozmowę z tym starym dziwakiem, którego jedyną życiową pasją jest zbieranie różnych niepotrzebnych przedmiotów. Myślałem: powinieneś oddalić się stąd możliwie najszybciej. Myślałem: nie trać więcej czasu na rozmowę z tym przestraszonym starcem. Myślałem: w domu czeka na ciebie *Historia sekty*... Myślałem: idź tam i zatop się w lekturze.

Wyszedłem bez pożegnania (teraz, po tylu miesiącach, oceniam to jako brzemienne w skutkach błąd; powiększyło to tylko poczucie zagrożenia u Adalberta, a mnie nie pomogło w niczym). Gospodarz również w milczeniu odprowadził mnie do drzwi. Po chwili pograżyłem się bez reszty w oszałamiających ciemnościach nocy.

Czciciele ognia... Poświęciłem się studiom nad nimi przez kilka kolejnych wieczorów. Prawie wcale nie opuściłem swego świetnie wyposażonego, urządzonego ze smakiem locum, jakże odbiegającego standardem od mieszkania Adalberta. Czytałem księgę, której pozółkłe ze starości stronicę wprowadzały mnie w zawrotny, tajemniczy świat krwawych obrzędów i przerażających wizji. Z czasem zwątpiłem jednak w prawdomówność autora, bezimiennego autora owej interesującej, arcyciekawej książki. Doszedłem do wniosku, że bardziej niż umiłowanie prawdy kierowała nim skłonność do przesady; nadmierna skłonność, jak sądzę. Była to praca napisana przez zdecydowanego wroga czcicieli. Roilo się w niej od wstrętnych kłamstw i jawnych kalumnii. Autor twierdził

na przykład, że członkowie sekty, aby przebłagać gniew bóstwa, wrzucają w ogień nowo narodzone dzieci; twierdził także (z niepoważną pewnością), że niekiedy odrąbują palce u rąk i nóg niemowlętom albo je oślepiają, żeby wychować je na zwiastunów Dobrej Nowiny... W ogóle ten ostatni motyw odgrywał niemałą rolę w wierzeniach czcicieli. Uważają oni jakoby, że aby nastąpiły wreszcie czasy powszechnej szczęśliwości i panowania powszechnego dobra, należy pierwiej dopuścić się pokażnej ilości czynów niegodnych i haniebnych, żeby niejako w ten nikczemny sposób wyczerpać ich rejestr... „Członkowie tej odrażającej sekty mniemają — czytałem — że jest to jedynie słuszna droga do osiągnięcia stanu Wszeczeńszczęśliwości, Szczęśliwości Totalnej i Absolutnej i że zdążać ku temu trzeba nie bacząc na społeczne koszty owego marszu, bowiem w przyszłości proceder ten opłaci się ludzkości sowicie”. Po tym nienawistnym zdaniu następowało jeszcze kilka innych, utrzymanych w podobnej tonacji. Niektóre z nich pozwolę sobie przytoczyć dosłownie: „Wydaje się, że poglądami przypominają oni Eszenidów, nie istniejące nigdy starożytne plemię, będące wytworem umysłu pewnego miernego pisarza, mającego siebie za literacką znakomitość. Wskazują na to choćby takie okoliczności, jak oddawanie czci ogniewi i składanie mu ofiar z niewinnych noworodków, a są to okoliczności, z powodu ich zaskakującej zbieżności, o znaczeniu wręcz podstawowym”.

Jak on śmiał nawypisywać takie bzdury! Stawiać znak równości między czcicielami a Eszenidami, którzy na dodatek istnieli wyłącznie w wyobraźni pewnego nieznanego pisarza! To przecież niepoważne!

Uniosłem się trochę czytając te bluźniercze słowa, przyznaję, ale sędzę, że mój gniew był usprawiedliwiony. Wiem skądinąd na pewno, że nie były one prawdziwe. (Od dawna jestem już sympatykiem tej tajemniczej sekty; niebawem zostanę przyjęty w poczet jej członków i dzięki temu stanę się jednym z tych, którzy z ukrycia,

w sposób niekiedy dość niezwykły, rządzą na całym Terytorium, nie tylko w Annopolis; taki jest ogólny sens tego ostatniego przewrotu, do takich skutków on doprowadził; chwała mu za to.) Te słowa — te bluźniercze słowa — nie mogły być prawdziwe. W przeciwnym wypadku musiałbym swój akces do szeregów czcicieli okupić śmiercią swego jedyne go syna, najdroższej dla mnie istoty na tym niewdzięcznym padole.

Czwartego dnia ukończyłem lekturę i wyruszyłem na spacer ulicami miasta. Było chłodno i pochmurnie; dał przejmujący wicher. Od czasu do czasu popadywało. Kroczyłem szerokim chodnikiem, przyglądałem się zdziwionym spojrzeniem mijającym mnie ludziom (dziwiłem się ich pośpiechowi i temu, że mijali mnie z wzrokiem wbitym w ziemię), nie dbając o to, że co rusz byłem przez kogoś potrącany (w porze popołudniowej ulice Annopolis są zawsze zatłoczone), zastanawiając się nad przemijalnością tego świata, nad motywami, nieraz zaskakującymi, kierującymi ludzkim postępowaniem, wracając chwilami pamięcią do przeczytanych stronic, a momentami nie myśląc wręcz o niczym.

Tak doszedłem do Bulwaru Zachodzącego Słońca.

Tam zatrzymałem się. Nadal popadywało; krople deszczu spływały mi po twarzy, chłostały mnie po niej ostre uderzenia wiatru. Pomyślałem, że to właśnie ten wicher przeszkadza w przekształceniu się deszczu w ulewę. Spostrzeżenie owo niespodziewanie nasunęło mi na myśl inne. Pomyślałem: ciekawe, co się dzieje z Adalbertem. Pomyślałem: dobrze by było go znowu odwiedzić. Pomyślałem: zapewne ucieszy się na mój widok.

Zawróciłem i ruszyłem na ulicę, na której mieszkał. Doszedłem tam pieszo; nie spieszyło mi się. Pozdrowiłem skinieniem głowy dozorcę i zacząłem wchodzić po schodach. Drzwi do lokalu zajmowanego przez kolekcjonera były lekko uchylone; początkowo nie zwróciłem na to uwagi. Pchnąłem je i wszedłem do środka.

Adalbert, stary, niepozorny Adalbert leżał na scho-

wanej za szafą kanapie. Był martwy. Poznałem to od razu, na pierwszy rzut oka. Ponadto w pomieszczeniu unosił się nieprzyjemny, trupi odór. Nie żył od przynajmniej paru dni. W jego piersi nie tkwiło ostrze sztyletu ani żadnego innego śmiertelnościanego narzędzia. Najprawdopodobniej zmarł śmiercią naturalną. Pomyślałem, że już nigdy więcej nie usłyszę jego przepelnionego bojaźnią głosu i nagle zrobiło mi się go trochę żal. Wszedłem z mieszkania.

Czekali na mnie przed domem z rękoma wbitymi w kieszenie płaszczy. Niewykluczone, że śledzili mnie od dawna. Stali tam nieruchomo i czekali na mnie. Dwaj agenci z Towarzystwa Przyjaciół.

— Pan dobrze znał zmarłego? — zapytał jeden z nich, gdy się z nimi zrównałem.

Pamiętam, że zrazu w ogóle nie odpowiedziałem na pytanie. Po prostu nie usłyszałem go. Przeszedłem kilka kroków dalej i dopiero wtedy zatrzymałem się. Dopiero wówczas sens owego pytania dotarł do mojej przepelnionej niespokojnymi wrażeniami świadomości. Odwróciłem się i Rzekłem:

— Interesuje to panów? Dlaczego?

W odpowiedzi wyższy z agentów pokazał mi swój tajniacki znaczek, swoją policyjną legitymację. Nie przeraziłem się tego. Pamiętałem, że mam w szeregach miejskiej policji kilku przyjaciół, na których wierność i oddanie mogłem liczyć w każdej sytuacji. Znieruchomiałem więc wprawdzie, spałem się cały jakby w oczekiwaniu na cios, ale nie przestraszyłem się. Tamci zignorowali moje pytanie.

— Pan pójdzie z nami — powiedzieli.

— A jeżeli się na to nie zgodzę?

— Zgodzi się pan. Proszę ruszać.

Po krótkiej chwili namysłu zdecydowałem się wykonać owo polecenie, spełnić ten rozkaz. Podążyliśmy w kierunku komisariatu, nie zamieniając po drodze ani słowa.

Przesłuchanie zaczęło się momentalnie, gdy tylko dotarliśmy na miejsce. Nie będę nużył was zbędnymi szczegółami. Wystarczy, jeśli oddam w paru zdaniach jego ogólną atmosferę.

Cały czas wypytywali mnie o Adalberta, o to, czy go dobrze znałem, czy często go odwiedzałem i o czym wtedy rozmawialiśmy. Byli grzeczni, lecz stanowczy i uparci. W końcu dowiedzieli się ode mnie wszystkiego. Opowiedziałem im to tak, jak wam to teraz opowiadam. Nie wiem, czy moje wyjaśnienia ich zadowolili, ale pozwolili mi odejść jeszcze tego samego wieczoru. Wyszedłem stamtąd miotany najróżniejszymi uczuciami: radością, zwątpieniem i nadzieją. Wracającego do swego przytulnego mieszkania gnębiła mnie jedna myśl: Adalbert nie był maniakiem, nie wyolbrzymiał grożącego mu niebezpieczeństwa. Rzeczywiście tym niepozornym człowiekiem interesowali się agenci tajnej policji. Naprawdę czegoś od niego chcieli, istotnie czegoś się od niego domagali. Od tego starego, nikomu niepotrzebnego człowieka.

Oczywistym skutkiem tej przeciągającej się inwigilacji było to, że wreszcie umarł on ze strachu na udar serca, nie mogąc znieść kolejnego stukania do drzwi. Być może nawet było to zupełnie niewinne stukanie. W każdym razie wystarczyło, ażeby zabić.

Pomyślałem to i wszedłem na prowadzące do mojej willi schody. I właśnie wówczas po raz pierwszy postanowiłem, że muszę koniecznie spisać tę historię, by chociaż w ten niedoskonały sposób odkupić swoją winę. I odtąd myśl o Adalbercie, tym fanatycznym zbieraczu starożytności, towarzyszyła mi nieustannie aż do końca moich dni. Jeszcze teraz, po tylu latach pamiętam go: starego, niepozornego, z odstającymi uszami i stanowczo za dużą głową. Nigdy o nim nie zapomnę. Chyba nigdy.

1979

FOTOGRAFIA

Długo, nieskończenie długo wpatrywał się w fotografię leżącą przed nim na biurku. Czynność ta pochłaniała go całkowicie; gdyby ktoś nagle odezwał się do niego i zapytał, jak się nazywa, być może w ogóle nie potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie. Oddawał się jej od wielu tygodni; od dnia, w którym po raz pierwszy ujrzał owo zdjęcie na łamach pewnego tygodnika; od dnia, w którym wszystkie gazety wychodzące w Mieście przyniosły ponurą wieść o niespotykanej w dziejach ludzkości lotniczej katastrofie. Mgliście, w jakiś niejasny sposób przypominał sobie, że zginęło wtedy dwustu ludzi i że winą za ów wypadek obarczono konstruktorów samolotu, który uległ zagładzie. Przypominał sobie również, że werdykt komisji badającej okoliczności tragedii nie został przyjęty z jednoznacznym aplauzem; że poląła się krew i więzienia zaroły się od demonstrantów, których cierpienia powinny go wzruszyć.

On jednak nie czuł się wzruszony. Nic poza samym zdjęciem nie obchodziło go w najmniejszym stopniu. Zdjęcie, wycięte z gazety i przyklejone do biurka, przedstawiało twarz młodej kobiety o wyjątkowej, trudnej do sprecyzowania urodzie. Kobieta — jak głosił podpis pod fotografią — była studentką architektury, miała dwadzieścia trzy lata i piękne, czarne włosy. W jej uśmiechu nie było nic tajemniczego, wzniosłego. Był to zwyczajny, zdawkowy uśmiech, jaki figuruje na większości legitymacyjnych zdjęć. Mężczyzna nie mógł zrozumieć, dlaczego właśnie ten uśmiech absorbuje całą jego uwagę i nie pozwalała mu nocami spokojnie zasnąć.

Myślał o nim nieustannie, bez przerwy. Uśmiech tej nieżyjącej kobiety towarzyszył mu w jego codziennych, popołudniowych spacerach, które odbywał z bałwochwalcą regularnością niezależnie od panującej pogody; jej ra-

dosne spojrzenie prześwitywało spośród liści parkowych drzew, wymijanych przez mężczyznę w jego systematycznych wędrówkach wąskimi alejkami; jej uśmiechnięta, rozweselona twarz przeszkadzała mu w jego nużącej pracy.

Początkowo mężczyzna starał się walczyć ze swoją słabością. Powtarzał sobie, że on, potomek starożytnego i znamienitego rodu, człowiek, w którego żyłach płynie krew ludzi wielkich, nie może tak nagle odstąpić od swoich zwyczajów, odrzucić swój ustalony od lat rozkład dnia. Dlatego postępował tak, jakby nic się nie stało, jakby żaden uśmiech nigdy nie wtargnął w jego życie. Jadł, wysypiał się starannie, chodził na spacery i do biblioteki, dużo czytał, tłumaczył. Można nawet rzec, że oddawał się tym czynnościom z młodzieńczym zapałem, jak gdyby jego twarz nie była twarzą starca. Zapału tego nie starczyło mu jednak na długo. Szybko zrozumiał, że oszukuje tylko sam siebie; że od tej pory uśmiech z fotografii będzie mu towarzyszył zawsze, że nigdy nie uwolni się od jego przemożnego wpływu.

Odkrycie to zrazu przerażyło go; potem od owego przerażenia przeszedł do nikczemnego niemal szczęścia. Uprzytomnił sobie, że nareszcie odnalazł sens swego istnienia; że w końcu, po tylu latach, spędzonych w sposób najzupełniej bezsensowny, natrafił na coś, co usprawiedliwia jego samotniczą i niepotrzebną egzystencję.

Zaprzestał walki i zaraz poczuł ulgę; pomyślał, że w akcie poddania się jest coś oczyszczającego, ożywczego. Pomyślał również, że, aby szczęście było absolutne, kapitulacja musi być bezwarunkowa.

Minął zaledwie tydzień od powzięcia tego postanowienia, tydzień szczęśliwy jak nigdy dotąd, wypełniony abstrakcyjnymi rozważaniami o strukturze i tajemnicy bytu, kiedy stary człowiek zaobserwował rzecz dziwną i okrutną zarazem: uśmiech przestał mu towarzyszyć w jego codziennych wędrówkach, zbladł, poszarzał i oddalił się

od niego. W normalnych warunkach, jeszcze przed tą lotniczą katastrofą, która w tak niezwykły sposób wtargnęła w jego życie, zrezygnowałby natychmiast i poddałby się nowej przypadłości bez oporu, tak jak to miał dotychczas w zwyczaju. Ale teraz nie uczynił tego, postąpił inaczej. Zaczął walczyć; walczył o ponowne pojawienie się uśmiechu, o powtórna fascynację jego zagadkowym wpływem. Po wielu dniach rozpaczliwych starań walkę tę uwieńczyło powodzenie; coś, czego doświadczał przedtem tak rzadko i co było mu prawie nie znane. Rzeczywistość idealna pokonała świat materialny; uśmiech pojawił się na nowo, doskonalszy i jeszcze bardziej niezrozumiały niż ten sprzed miesiąca.

Mężczyzna uświadomił sobie wtedy, że to zwycięstwo zapowiada być może nowe sukcesy. Trudniej mu jednak było wyobrazić je sobie; w ostatnich dniach osiągnął przecież tyle, że domaganie się czegoś więcej wydawało mu się niepodobieństwem, postępkiem nieetycznym nawet.

Pewnej upalnej nocy myśli jego pobiegły następującym torem: skoro mocą swej niezłomnej woli sprawiłem, że uśmiech kobiety z fotografii znów dał o sobie znać, to niewykluczone, że uda mi się to samo z innymi jej cielesnymi atrybutami: piersiami, udami i biodrami...

Pomyślał to i przeraził się śmiałości projektu. Wyśnić całego człowieka; wyśnić go w drobiazgowej pełni i narzucić rzeczywistości; to zadanie godne bardziej maga czy demiurga niżli podstarzałego tłumacza barbarzyńskiej literatury. Przeraził się, lecz prędko przerażenie owo zastąpiła nadzieja. Wierzył — narzucał sobie to przekonanie o każdej porze dnia i nocy — iż jego wielki zamiar powiedzie mu się. Powtarzał sobie po wielokroć, że nie ma takiego zadania, któremu nie sprostałby człowiek o zmęczonej twarzy i nieciekawej przeszłości. Umacniał się w wierze, że jego czyn nie wywoła gniewu bóstw rządzących ludzką wyobraźnią i imaginacją. Szeptem powtarzał słowa pewnej cudzoziemskiej księgi, głoszące, że którejs

bezksiężycowej nocy duch dobra zwycięży demony zła. Z góry rozgrzeszał się z nikczemności projektowanego postępu.

Nie dysponował żadnym precyzyjnym planem, mającym doprowadzić go do celu, lecz nie był tym zakłopotany. Żaden plan nie jest mi potrzebny (rozumował, może błędnie). Twórczość nie znosi ograniczeń i opiera się im stanowczo; moje niezwykle zamierzenie jest bez wątpienia aktem twórczym, aktem kreowania nawet; powody do niepokoju więc nie istnieją.

Najpierw postanowił wyśnić i wyobrazić sobie głowę. Formował ją podczas przedpołudniowych spacerów nad brzegiem leniwie płynącej rzeczki i w trakcie wieczornych przechadzek dokoła miejsca swego zamieszkania; pracował nad nią bardzo długo, ale nie był zadowolony z efektów swego trudu: raz głowa wychodziła mu nazbyt wydłużona, innym razem zbyt spłaszczona; jeszcze kiedy indziej jej kształt zbyt przypominał kulę.

W końcu zaryzykował; zaprzestał dalszych poprawek i niezwłocznie ujrzał swe dzieło w całej okazałości. Było piękne, wspaniałe; nie miał mu nic do zarzucenia. Postanowił, że po głowie powinna przyjść kolej na włosy. Te sprawiły mu znacznie więcej kłopotów aniżeli poprzednie zadanie; przez długi czas śnił je pojedynczo, włos po włosie, aż zirytowany brakiem widocznych postępów zdecydował się na wyśnienie ich w całości. Znowu mu się powiodło, ponownie narzucił rzeczywistości (płaskiej i banalnej) swoją natchnioną wizję.

Od owej chwili jął się spieszyć. Rozumował (odmienne niż przed miesiącem), że zwycięstwa ułamkowe nie muszą wcale oznaczać zwycięstwa całkowitego; rozumował (także fałszywie), że pewnego niespokojnego dnia jego cudowna moc może go opuścić. Przerażony tą ewentualnością, przytłoczony jej nieludzkim wydzźwiękiem, zaniedbał dokładnego cyzelowania zarysu nóg, ud i bioder, pocieszając się myślą, że ona, jego wyśnione dziecko, przypuszczalnie przebaczy mu jego niedbalstwo i jego

pośpiech. (Przekonanie to zakłócała niekiedy świadomość, że kobieta łatwiej zniesie niedostatki swego umysłu niż niedoskonałości swego ciała.)

W ostatnich tygodniach swej pracy, gdy już jego wizja konkretyzowała się i nabierała coraz bardziej obiecujących kształtów, mag zaniechał prawie zupełnie spacerów i przyjmowania pokarmu, cały swój czas poświęcając planowanemu przedsięwzięciu. Schudł, zmierzniał, rysy jego zmęczonej twarzy wyostrzyły się. Domyślał się, iż niebawem umrze. Godził się z tym, ale chciał uprzednio zobaczyć swoje dzieło żywe i rzeczywiste. Wierzył niezłomnie, że uda mu się tchnąć ducha w wytwór swej wyobraźni.

Któregoś popołudnia wyszedł z domu i powędrował na północne krańce Annapolis. Zatrzymał się w miejscu, gdzie przed wiekami rozegrała się najkrwawsza bitwa w długiej historii miasta, bitwa, w której barbarzyńska konnica Hodomitów, służąca pod rozkazami prefekta Miasta, Boderyka, znalazła śmierć w starciu z powstańczymi oddziałami Magnusa Hoverbrencka i Juliusa ver Borna (późniejszego prezydenta republiki), i rozejrzał się naokoło. Po stoczonej przed siedmiuset laty bitwie nie było ani śladu; wysoki las szklanych wieżowców przesłonił obraz ostatniej szarży Hodomitów i wymazał go z pamięci annopolitańczyków. Żaden obelisk nie wieńczył miejsca, od którego rozpoczęła się era największego rozkwitu miasta, era jego niekwestionowanej potęgi, nie mającej sobie równych na całym Terytorium. Żadna tablica nie upamiętniała nazwisk bohaterów ani imion ich dowódców. Nic w tym miejscu, pustym i przeładowanym wspomnieniami jednocześnie, nie przypominało świetlanej postaci Mateusa Calvatiego, wielkiego wielbiciela Biblioteki i niestrudzonego propagatora jej wzniosłych idei (Calvati zginął w tym starciu, zasłaniając własnym ciałem swego wodza, Magnusa Hoverbrencka). Mężczyzna pomyślał, że Biblioteka przegrała; że przegrywa zawsze, od narodzin wszechświata. Doszedł do wniosku, że Biblio-

teka, twór tak wspaniałały, przegrywa nawet wówczas, gdy wszystko zapowiada jej ostateczny triumf. Skonstatował, że ofiara Mateusa Calvatiego była daremna i niemalże absurdalna. Zrozpaczony, dopuścił na moment mglistą możliwość, że i on przegra. Potem oddalił od siebie tę myśl. Postanowił odejść z tego miejsca, zawrócić.

Ponownie przestępując próg swego mieszkania pomyślał, że obojętność jego współziomków wobec najdonioślejszego wydarzenia w dziejach Terytorium da się wy tłumaczyć ich przygnębiającą przyziemnością oraz ich prawie zwierzęcym wstrętem do Biblioteki. Pomyślał to nie bez bólu i wszedł do środka.

Jej wizerunek od razu rzucił mu się w oczy. Była jakby wtopiona w ścianę, tworzyła z nią niepokojącą jedność i uśmiechała się do niego uśmiechem niemal przyjaznym.

Zbyt był znużony, aby podzielać jej radość. Podeszedł do łóżka, zwałił się na nie jak kłoda i zasnął. We śnie, który go zwyczajowo nawiedził, nie było nic szczególnego. Budząc się, poczuł ogromne osłabienie. Z trudem zwałił się z wyrka i ruszył do kuchni, żeby się posilić. Zjadł dwa kawałki suchego chleba i zapadł w stan ni to snu, ni to jawy. Zdawało mu się, że krąży wśród długich szeregów książek, przypominających do złudzenia ustawione do boju wrogie armie, i że nie potrafi zdecydować się na otworzenie żadnej z nich. Wreszcie, powodowany niewytłumaczalnym impulsem, wziął do ręki jeden z atlasów i zaczął go wertować. Na tej czynności zastało go miarowe tykanie zegara. Mijała godzina dziesiąta wieczór.

Wyszedł z kuchni myśląc, że to musi stać się właśnie teraz; że nie dożyje już chyba następnego poranka. Przy stanął na środku pokoju i przymknął powieki. W obrazach, które zaatakowały go z drapieżną gwałtownością, nie dostrzegął niczego znajomego i rzeczywistego: wciśkały mu się pod czaszkę myśli oderwane i bluźniercze, radosne i ponure, docierały do niego dźwięki nieharmoonijne i łagodne, symetryczne i asymetryczne; oglądał oczy-

ma wyobraźni kaźń nieznanego człowieka i start statku powietrznego o tajemniczej konstrukcji. Wszystko to kotłowało się w jego świadomości, łączyło się ze sobą i rozpadało, znikało i pojawiało na przemian, pulsowało, dygotało i rozsadzało mu mózg od wewnątrz. Krzyknął; był to jednak okrzyk słaby i nieprzekonywający, krzyk mężczyzny umierającego.

W odpowiedzi na ten okrzyk, czy raczej charkot, coś się nagle poruszyło, zafalowało. Zjawa, kobieca zjawa spłynęła ze ściany i zbliżała się doń ruchem nieskończenie powolnym i łagodnym. Zrobił krok do przodu. Tamto zatrzymało się jakby. Zrobił drugi krok. Nic. Znowu przesunął się minimalnie do przodu. Ponownie nic. Najmniejszego poruszenia, odgłosu. I zaraz potem zobaczył ją w całej krasie. Była piękna, taka, jaką sobie wyśnił i wymarzył. Przewrócił ją na dywan i posiadł. Po pewnym czasie odsunął się od niej i przyjrzał się jej uważniej, tracąc resztki wątpliwości.

Kobieta, z którą się kochał, była martwa, zdecydowanie nieżywa. W niespodziewanym błysku olśnienia pojął dwie rzeczy, obydwie jednakowo przerażające; spółkował z trupem; udało mu się narzucić rzeczywistości swe sny i marzenia, ale nie mógł tchnąć w nie życia. Zrozumiał też, iż była to kolejna porażka Biblioteki i że granice jej możliwości są ściśle i jasno określone; określone raz na zawsze.

Pomyślał, że jego zwycięstwo było zwycięstwem jedynie połowicznym, cząstkowym. Okazał się niedoskonałym demiurgiem; przegrał. Banalna i ohydna rzeczywistość pokonała go.

Następnym jej triumfem była wolna agonia maga, człowieka, który zapragnął dorównać bogom i przez długie tygodnie sądził, że mu się to powiedzie. Mag umierał,

umierał ten, który jako pierwszy z obywateli metropolii przełożył na język annopolitański dzieło pewnego barbarzyńskiego poety, umierał ten, którego przodkowie walczyli w słynnej bitwie przed siedmiu wiekami pod rozkazami Magnusa Hoverbrencka i Juliusa ver Borna. Ostatnią myślą konającego było spostrzeżenie, że — być może — popełnił jakiś błąd w swych rachubach i że ktoś inny lepiej spisałby się na jego miejscu, może nawet zwyciężając w tym odwiecznym i mrocznym pojedynku. Pomyślał to, podniósł na moment głowę i przeniósł się w nieistnienie, w niebyt.

maj 1980

HEREZJARCHA

Sława tego herezjarchy dotarła do mnie za pośrednictwem Anny de Bucherieles, kobiety, którą niegdyś bez wzajemności kochałem i która uchodziła — nie wiem, czy słusznie — za najgorszą pisarkę w mieście. Pani de Bucherieles była niewiastą o wyjątkowej urodzie i wątpliwej inteligencji; zawsze bardzo pobożna, z czasem popadła w mistycyzm i w jej wytwornym salonie zamiast ludzi ze świata kultury i sztuki można było teraz spotkać licznych duchownych, którymi się chętnie otaczała. Ta niebywała zmiana sprawiła, że odwiedzałem ją coraz rzadziej; wreszcie zaprzestałem tego w ogóle. Pewnego dnia otrzymałem od niej list, w którym Anna zapraszała mnie do siebie na siódmą wieczór. List kończył się dopiskiem o tajemniczej treści: „Będzie również S. Przyjdź koniecznie”.

Pomny dawniej nas łączących związków, potulnie usłuchałem wezwania. Przed wejściem do willi zatrzymał mnie lokaj. Głośno wypowiedziałem swoje nazwisko i służący pochylił się w niskim ukłonie. Wyminąłem go i wszedłem w szeroko otwarte drzwi, w głębi których przebłyskiwały niejasnym światłem dziesiątki świec.

Zgodnie z moimi wcześniejszymi obawami, wieczór był zdecydowanie nieudany. Rozmawiałem z ludźmi o pochmurnych twarzach i o mętnym sposobie wyrażania się; znosiłem towarzystwo dam o przebrzmiałej urodzie i zagadkowych spojrzeniach; cierpliwie przysłuchiwałem się dysputom o istocie bóstwa i o pojęciu nieskończoności (czyż ograniczoność naszego Universum nie jest niezbitym dowodem na istnienie Boga? czyż pojęcie nieskończoności nie jest jedynie wymysłem gnostyków?); piłem wino, spacerowałem po ogrodzie, trochę jadłem. W pewnym momencie Anna podeszła do mnie i powiedziała:

— Poznajcie się panowie. Pan Grave, pan Sulpicjusz...

— i po chwili dodała: — Zostawiam was samych. Być może miała w tym jakiś ukryty zamiar, ale nie było to zbyt szczęśliwe posunięcie. Milczeliśmy; żaden z nas nie wiedział, jak rozpocząć rozmowę. Z tej nieprzyjemnej sytuacji wybawił mnie (i jego, sądzą, również) dźwięk tłuczonego szkła; ktoś upuścił szklanke na podłogę i zaraz wszyscy rzucili się w tym kierunku (pożałowania godne obyczaje panowały w owym domu), pociągając mnie energicznie za sobą. Gdy wyzwoliłem się z tłoku, co łatwo mi nie przyszło, mój towarzysz już zniknął.

— Wiesz, kto to był? — zapytała Anna po pewnym czasie.

Zaprzeczyłem.

— Najsłynniejszy z naszych proroków. Rufus Sulpicjusz.

— Nigdy o nim nie słyszałem — rzekłem po długim namyśle.

— To niemożliwe! — zawołała. — W takim razie koniecznie ci muszę o nim opowiedzieć.

Zrezygnowany, rozsiadłem się wygodnie na fotelu. Gospodyni usiadła obok mnie i natychmiast zaczęła mówić; pośpiech, którego nie warto naśladować.

Słuchałem jej z roztargnieniem połączonym z obawą. Nie wszystko zrozumiałem, lecz to, co dotarło do mojej świadomości, było wystarczająco absurdalne, aby mnie zadziwić.

Rufus Sulpicjusz, człowiek o twardym jak stal spojrzeniu i płomiennym sposobie przemawiania do zgromadzonej gawiedzi, był prorokiem, herezjarchą i mistykiem. Nikt nie wiedział, kiedy i w jakich okolicznościach Rufus zawitał do Annopolis; nikt nie umiałby powiedzieć, kto był jego pierwszym uczniem, ale wszystkim było wiadome, że zaszczyca go swoją przyjaźnią sam Magnus Sjoerssen, najpoważniejszy z przemysłowców, i że wśród jego słuchaczy są ministrowie i poeci. Poglądy Rufusa były co najmniej zaskakujące. Pierwotnie głosił potrzebę dochowania wierności fokiańskiemu wyznaniu wiary; po-

tem odstąpił od tego i orzekł autorytatywnie, że Fokion nie miał racji. W dwa dni później zadziwił miasto złożeniem ślubów ubóstwa; chciał wstąpić do jednego z klasztorów, lecz Kościół wyparł się go. (W odwet Rufus potępił metropolitę.) Nie upłynął tydzień, a już Sulpicjusz zadeklarował się jako zwolennik kultu obrazów. Czyn ten ściągnął na jego głowę złowrogą anatemę, ale herezjarcha nie zraził się tym; nauczał dalej, zmieniając poglądy z oszałamiającą szybkością i porywając za sobą wciąż nowych wyznawców — tak w każdym razie twierdziła Anna. Nie potrafiłem zrozumieć, jak mogłem przeoczyć istnienie w mieście tak zabawnej osobistości. Wyraziłem tę myśl głośno.

— Bo ty jesteś odludek — prychnęła. — Siedzisz w domu, nigdzie nie wychodzisz, gazet nie czytasz, skąd więc możesz wiedzieć o istnieniu Sulpicjusza?

Postanowiłem naprawić ten błąd, sprostować owo niedopatrzenie. Trochę z tej przyczyny, a trochę z chęci uwolnienia się od podniecającego towarzystwa Anny, obiecałem jej, że wysłucham jednej z nauk herezjarchy. Sulpicjusz nauczał w różnych miejscach i o rozmaitych porach dnia; niekiedy prowadził za sobą wiernych także w nocy. Noc służy do spania; obiecałem sobie solennie, że nie pójdę na żadne spotkanie, które zacznie się po godzinie ósmej.

Któregoś popołudnia pani de Bucherieles powiadomiła mnie, że Rufus przemawia do tłumów w pobliżu szacownego zabytku, Term. Miejsce owo jest niezbyt oddalone od mojego mieszkania; doszedłem do wniosku, że zdążę wrócić przed zapadnięciem zmierzchu, prędko ubrałem się i wyszedłem.

Termy były otoczone kordonem policji. Dla bezpieczeństwa zgromadzonych, jak wyjaśnił mi wysoki stróż prawa. Przecisnąłem się w głąb tłumy i wtedy go ujrzałem. Stał na zaimprovizowanej trybunie i nauczał. Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, często nie kończył rozpoczętej myśli. Zdumiewała mnie gotowość słuchaczy do

ofiar; śledzenie pokrętnego toku rozumowania Sulpicjusza było dla mnie prawdziwą męką. Raziło mnie u niego wszystko; z czasem jednak poddałem się jego zagadkowemu urokowi i uważniej wsłuchałem się w wibrujący timbr jego głosu.

Pogląd, który właśnie wygłaszał, był doprawdy zadziwiający. Rufus twierdził (z niejaką nonszalancją), że pierwszym niedowiarkiem w średniowiecznym Annapolis był Carterius z Sikionu; Carterius, jak wiadomo, ułożył szereg dowodów na istnienie Boga. Średniowiecze nie znało pojęcia ateizmu; w Stwórcę wierzyli wszyscy. Aby odczuć potrzebę udowodnienia istnienia Boga, trzeba najpierw w niego zwątpić, choćby przez jedną bezsenłą noc. A Kościół uznał Carteriusa za równego Mutancjuśzowi i obdarzył go świętością. Cóż to oznacza, pytał Sulpicjusz prawie krzycząc. To, że aby dostąpić zbawienia, należy pójść śladem Carteriusa i również zwątpić. Nikt, kto nie wątpi, nie wejdzie do Królestwa Niebieskiego...

Ta karkołomna koncepcja wzbudziła szalony aplauz tłumu. Ludzie klaskali w dłonie, śpiewali religijne pieśni, uderzali się w piersi. W najwyższym stopniu zdziwiony, z uwagą słuchałem dalej.

— Wątpcie, a dostąpicie Odkupienia... Wyszyszycie Pana, a on wam przebaczy... Bóg jest miłością; żąda od was tylko, byście Go kochali... Więc bijcie się w piersi i wątpcie!

Zwątpienie jako objaw miłości; tego rodzaju pogląd mógł pociągać wyłącznie intelektualistów i neurotyków. Rozejrzałem się naokoło w nadziei znalezienia jakiejś znajomej twarzy, ale otaczali mnie sami nieznajomi. Rufus Sulpicjusz kontynuował:

— Człowiek, którego wiara jest niezachwiana, niewielkie ma szanse na osiągnięcie Królestwa Niebieskiego. Taki człowiek może liczyć jedynie na niezmierną poślizliwość Boga... A on jest — gniewem!

Bóg jako miłość i gniew jednocześnie... Doktryna Sulpicjusza Rufusa nie była zagadkowa: była niespójna, alo-

giczna, wykrętna. Jej podstawą była oszalamiająca zmienność poglądów granicząca z absurdem. Nieważne, co się głosi; istotne tylko, by zaprzeczyć sobie możliwie najszybciej. I tym właśnie herezjarcha podbijał serca słuchaczy.

Następnego dnia udałem się do miejsca, którego dawno nie odwiedzałem. Przywitał mnie tam mężczyzna w czarnym kapturze i w białej, opadającej mu do stóp szacie. Podzieliłem się z nim swoimi wątpliwościami; wysłuchał mnie w bezruchu, stojąc. Potem moja rola stała się rolą pilnego ucznia; wychodząc stamtąd czułem się oczyszczony i na nowo przywrócony rzeczywistości. Moja rozterka skończyła się. Znowu byłem silny jak dawniej.

Po powrocie do domu natychmiast zapomniałem o Sulpicjuszu i o jego obmierzłej teorii, kto wie, czy zasługującej w ogóle na miano doktryny. W krótkim odstępie czasu napisałem kilkanaście wierszy. Powtarzała się w nich pewna metafora. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że jest to odległy wpływ kazań Rufusa Sulpicjusza.

Wiersze zostały odrzucone i wyśmiane. Ponownie powędrowałem do mieszkania mego duchowego przewodnika. Tym razem przyjął mnie z twarzą odkrytą i w sportowym ubraniu. Nie byłem zaskoczony tą nagłą metamorfozą.

Oznajmiłem mu, że niepokój, jaki posiał w moim sercu herezjarcha, nie ustąpił. Powiedziałem, że jego oddziaływanie na mnie jest o wiele silniejsze, niż mógłbym sobie tego życzyć, czy się tego domyślać. Rzekłem, że szaleńczy wpływ perfidnych nauk Sulpicjusza zabija mój poetycki talent.

Odpowiedź była zgodna z moimi oczekiwaniami. Przyjąłem ją bez wzruszenia; spokojnie wyszedłem na skapaną w słońcu ulicę.

Przez kolejne dni postępowałem podług udzielonych mi wskazówek. Piłem tylko wodę i mleko, niewiele jadłem, wieczorami długo spacerowałem. Podczas spacerów oddawałem się przemyśleniom o treści nie bez znacze-

nia. Rozwazałem na przykład przepastną tajemnicę bytu oraz związki łączące ze sobą ludzi różnych ras i narodowości, nieodmiennie dochodząc do przekonania, że opierają się one bardziej na nienawiści i strachu aniżeli na ciekawości i wzajemnej tolerancji. Wniosek ten nasunął mi na myśl inny: chaotyczna wizja Rufusa Sulpicjusza jest produktem naszej epoki, pełnej ogólnego niezrozumienia i teorii ginących pod ciężarem empirii, przytłaczających ją, lub wręcz niesprawdzalnych. Pomyślałem również, że nie wolno mi ulec bez walki.

Postanowiłem ją stoczyć; miał to być bój ostateczny, bez furtki odwrotu. Wyśledziłem, korzystając z nieświadomej pomocy Anny de Bucherieles, miejsce pobytu herezjarchy i udałem się tam późnym wieczorem, będąc pewnym, że żaden z jego uczniów czy wyznawców nie będzie mu w tym czasie towarzyszył.

Sulpicjusz był prorokiem absurdu; pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli pokonam go jego własną bronią. Dwie wizyty u mego duchowego przewodnika, które wcześniej odbyłem, miały mi w tym wydatnie dopomóc.

Na mój widok nie okazał zdziwienia. „Przypominam sobie pana” rzekł. „Pan chce ze mną porozmawiać?”

Odparłem, że tak. Wskazał mi ręką krzesło; usiadłem i zapaliłem papierosa.

Moje wspomnienia z następnych minut są bardzo niewyraźne. Pamiętam, że przysłuchiwałem się jego słowom z jakąś uwagą, starając się zarazem myśleć o czymś wręcz odmiennym, aby nie poddać się bez reszty zniewalającemu urokowi Sulpicjusza. Słuchając go odnosiłem wrażenie, że herezjarcha jest człowiekiem o wielu twarzach; jakby przemawiało do mnie równocześnie kilku ludzi, z których każdy mówił co innego. Owa różnorodność oszałamiała mnie i tłamsiła; wiedziałem, że nie jest tak łatwo wyzwolić się spod niezwykłego wpływu Rufusa Sulpicjusza.

W jakiejś niesprecyzowanej chwili postanowiłem zaatakować. Powiedziałem, nadając mojemu głosowi brzmie

nie jak najbardziej obojętne (być może jednak było to wyłącznie złudzenie):

— Czy uważa się pan za proroka równego Jerechmiaszowi? Czy sądzi pan, że przemawia przez niego Bóg?

Spodziewałem się, że te pytania przynajmniej nim poruszą, jeżeli nie wstrząsną, lecz nie stało się ani jedno, ani drugie. Odpowiedział bez wahania, że tak. Natychmiast zadałem mu kolejne pytanie:

— Dlaczego zmienia pan z taką niesłychaną szybkością swoje poglądy, popadając wciąż w nową herezję? Czyżby nie był pan pewny swoich racji?

Nie odpowiedział mi od razu. Milczał przez długi czas, nie odzywając się ani słowem. Gdy wreszcie przerwał ciszę, zadrzałem.

— Muszę w końcu zrzucić z siebie ten ciężar... Muszę wyznać panu całą prawdę, nie zważając na jej okrutne następstwa... Zmieniałem nieustannie poglądy, bowiem bałem się dotknąć prawdy, którą przez cały czas niejasno przeczuwałem. Gdy zobaczyłem pana wchodzącego do tego pokoju, przeczucie zamieniło się w pewność, a moja rozterka przemieniła się w głęboki niepokój, może nawet strach: strach nieskończony, przesywający do głębi... A oto ostateczna konkluzja moich rozważań. Bóg jest bezgranicznie miłosierny i bezgranicznie oddany ludziom, Jego niegodnym tworom. Każdy człowiek dostąpi zbawienia, niezależnie od ilości haniebnych uczynków, jakie za życia popełni. W obliczu Stwórcy wszyscy są równi: złodziej i morderca, altruista i zboczeniec, wyzyskiwany i wyzyskiwacz, biedny i bogaty. Nikczemnicy mają taką samą drogę do Królestwa Niebieskiego, co ich niewinne ofiary. Razem spotkają się w niebie i wspólnie będą chwalić Pana... Nie sądzi pan, że jest to przerażająca konkluzja? Nie buntuje się pan przeciwko niej?

Rzekłem niedbale, nie zaskoczony ani przez chwilę, że tak, że odczuwam wobec niej pewien sprzeciw. Powiedział, iż dziwi go niezmiernie moja obojętność i że on sam czuje się zmęczony i stary. Cichym głosem

poprosił mnie o zapalenie światła.

Ujrzałem wtedy jego twarz; po raz wtóry owego wieczoru ujrzałem jego twarz. Niezliczone bruzdy przecinały ją we wszystkich kierunkach, setki zmarszczek nadawały jej wygląd groźnej maski. Rufus Sulpicjusz postarzał się w przeciągu paru zaledwie minut o dziesiątki lat.

Niespiesznie opuściłem jego mieszkanie, nie odwracając się ani nie rozglądając na boki. Przypuszczam (chyba trafnie), że umarł jeszcze tego samego wieczoru, przygnieciony nieznośnym ciężarem swego odkrycia. Przypuszczam, że Bóg nie chciał, żeby rozpowszechniła się przerażająca prawda o jego rzeczywistych zamiarach. Lękam się, że i mnie może spotkać ten los.

kwiecień — czerwiec 1980

PROKURATOR YERDI

Dzień, w którym wszystkie gazety poranne Annopolis — mego ukochanego rodzinnego miasta — przyniosły wieść o niespodziewanej śmierci Carla Alberta Verdiego, był jednym z najdłuższych w moim życiu. Verdi zginął tragicznie we własnym mieszkaniu, przeszyty trzema kulami rewolwerowymi, z których jedna ugodziła go w skroń, a dwie pozostałe w okolice serca. Wszystkie trzy trafienia były śmiertelne.

Przypomnę, być może niepotrzebnie, że zamordowany cieszył się w mieście opinią wręcz nieskazitelną. Uważano go — i nie bez racji — za jednego z najznakomitszych obywateli Annopolis. Verdi sprawował wielokrotnie różne godności publiczne; był między innymi dwukrotnie konsulem i raz tetrarchą, od dziewięciu lat nieprzerwanie uczestniczył w posiedzeniach Rady Miejskiej, której obradom kiedyś nawet przewodniczył; ponadto przez cztery ostatnie lata wybierano go regularnie na urząd miejskiego wiceprokuratora. Zabity był również (o tym jednak wiedzieli tylko nieliczni) fatalistą, wolnomyślicielem i członkiem nielegalnej w Annopolis, a rządzącej na całym Południowym Terytorium sekty Czcieli Ognia Świętego. Carlo Alberto Yerdiego był wreszcie najwierniejszym z moich przyjaciół.

Zbrodnia wyszła na jaw dzięki połączeniu niedbalstwa i próżności. Służąca, której nieistotne zadanie polegało na utrzymywaniu w czystości domu wiceprokuratora, pewnego dnia nie przyszła wcale do pracy, poświęcając go na wizyty u przyjaciółek, którym zamierzała po prostu pokazać się w świeżo nabytej sukni. Pokojówka zeznała w śledztwie, iż była to jedyna przyczyna jej absencji w owo niedzielne popołudnie. Do pracy stawiała się dopiero następnego dnia.

Morderstwo, w świetle lekarskich opinii, zostało po-

pełnione w niedzielę wieczorem. Chciał przypadek, że ofiara planowała właśnie wyjazd do swej posiadłości na północy kraju, tak iż gdyby nie ów karygodny postępek służącej — zbrodnia zapewne przez długi czas pozostawałaby niewykryta. Dlatego też to niedbalstwo panny służącej wypada uznać za okoliczność dla śledztwa pomyślną.

Chorobliwa wyobraźnia dziennikarzy ubarwiła ów epizod o liczne nieprawdopodobne szczegóły. „Monitor Post” sugerował, że prokurator nigdzie nigdy wyjeżdżać nie zamierzał, a pragnął jedynie, pod nieobecność chorej małżonki, spędzić kilka przyjemnych chwil ze swą przystojną pokojówką. Potwarz tę, w imieniu rodziny i przyjaciół zmarłego, odrzuciła z oburzeniem popołudniówka „Libertador”. Inny żurnalista, skrywający się pod inicjałami k.m., wysunął przypuszczenie, że Verdi padł ofiarą spisku homoseksualistów, którym niegdyś, jeszcze przed zniesieniem kar za pederastię, dał się poznać jako srogi ich prześladowca. Mieli oni jakoby przekupić pokojówkę i korzystając z jej pomocy zgładzić swego starego wroga. Prowadzący śledztwo w tej sprawie komisarz Serterius, zdaje się, zwycięsko odparł to przypuszczenie. Najsłynniejszy z publicystów Miasta Jorg Valens wyraził pogląd, że Verdi zginął omyłkowo albo padł ofiarą jakiegoś szaleńca. Do tej ostatniej wersji skłaniają się najprawdopodobniej także przedstawiciele miejscowych organów porządku publicznego. W każdym razie śledztwo trwa nadal i nic nie wskazuje na jego rychłe zakończenie.

Co do mnie, to wszystkie te plotki obeszły mnie niewiele. Podaję ich ogólny kształt wyłącznie z kronikarskiego obowiązku. Mam własny pogląd na tę sprawę i muszę wyznać, iż różni się on nieco od innych. Co więcej, okoliczności i przyczyny śmierci wiceprokuratora są dla mnie mało istotne. Nie mówię tego z przekory. Zbyt boleśnie zostałem dotknięty owym zgonem, aby coś poza samym faktem śmierci Carla Alberta Verdiego mogło

mnie zainteresować. Teraz, nie obawiając się już posądzenia o słabość, potrafię wyznać całą prawdę: prokurator był moim jedynym przyjacielem.

Moje pierwsze wspomnienie ze spotkania z Verdim jest bardzo wyraźne. Pamiętam go nisko pochylonego, jakby zmęczonego natrętnymi myślami, niespiesznie podążającego opadającą w dół ulicą. Pogoda nie sprzyjała samotnym spacerom: było zimno, momentami zrywały się nawet ostre porywy wichru. Pamiętam, że Yerdi niósł pod pachą jakąś teczkę, z której wyzierały grzbiety zeszytów. Gdy mijał mnie, niedbale opartego o żywopłot, wiatr wytrącił mu teczkę z rąk. Jej zawartość rozsypała się po całej szerokości jezdni. W pewnej chwili Verdi, zbierając rozrzucone papiery, zbliżył się do mnie o krok. Odruchowo podniosłem z ziemi jeden ze skoroszytów i podałem go właścicielowi. Ten podziękował mi nieznacznym skinieniem głowy i odszedł, być może nawet nie spostrzegając mojej obecności.

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z przyszłym dobroczyńcą. Nie zamieniliśmy wówczas ani jednego słowa. Przebieg następnego spotkania był już zupełnie inny.

W swoim czasie głośna była w naszym mieście sprawa niejakiego Grafa Lindbergera, oskarżonego o matkobójstwo. Ów ohydny postępek poruszył umysły. Większość mieszkańców opowiadała się za natychmiastowym skazaniem podejrzanego; zdaje się, iż ci ludzie byli wzburzeni już samym postawieniem Lindbergera przed sądem przysięgłych.

W dniu rozprawy gmach trybunału był wypełniony po brzegi. Setki tych, których służba porządkowa nie wpuszczała na salę sądową, niepokoiły korytarze zakłócając panującą tam normalnie ciszę głośnymi uwagami. Znajdowałem się również w tej ciżbie, ale cel mojego przyjscia do budynku sądu był zgoła odmienny. Sam byłem wtedy oskarżony: co prawda za ledwie o włóczęgostwo. Wykroczenie moje nie było więc zbyt poważne; zważywszy okoliczności, trochę się tego wstydzilem.

Verdiego ujrzałem nieoczekiwanie, w chwili gdy opuszczał salę. Natychmiast otoczyli go najbliżej znajdujący się; tłum porwał mnie ze sobą; przystanąłem nie opodal prokuratora.

— My się chyba znamy — powiedział nagle.

Kilka badawczych spojrzeń przylgnęło do mojej twarzy. Zaskoczony, bezradnie rozłożyłem ręce.

— Ależ tak. Spotkaliśmy się już kiedyś.

Coś niespodziewanie poruszyło się w mojej pamięci i oczyma wyobraźni ujrzałem długą, łagodnie opadającą w dół ulicę i siebie, opartego o żywopłot, zatopionego w myślach, śledzącego beznamiętnym spojrzeniem nieruchomą ścianę muru. Zaobserwowałem też siebie, nachylającego się i podnoszącego z ziemi jakiś przedmiot.

— Na pewno się spotkaliśmy.

— Niewykluczone — odparłem.

— Pamiętam pana. Pomógł mi pan wówczas pozbierać z chodnika rozsypane papiery. Wdzięczny jestem panu za okazaną mi wtedy uprzejmość. Pozwoli pan... — schwytał mnie za łokieć, tak jakoś delikatnie, i podprowadził kilka kroków do przodu. Tam zatrzymaliśmy się. — Teraz nie dysponuję wolnym czasem — kontynuował — bowiem występuję jako oskarżyciel publiczny w pewnej interesującej sprawie, lecz chciałbym się jeszcze kiedyś spotkać z panem ponownie... Czy będzie to możliwe?

Patrzył na mnie w jakiś szczególny sposób: jakby od mojej zgody zależało jego ocalenie. Poczułem się nieswojo. Spytałem:

— Chyba tak, ale dlaczego panu na tym zależy? Nie rozumiem tego.

Któryś ze stojących w pobliżu mężczyzn roześmiał się cicho. Verdi niezwłocznie obrócił się w jego kierunku. Tamten ucichł, jakby rażony niespodziewanym uderzeniem.

— Dobrze. Zgadza się — powiedziałem szybko.

Na twarzy prokuratora pojawił się wyraz niejakiej ulgi: jakbym rzeczywiście oddał mu niecodzienną przysłu-

gę. Rzekł:

— Za dwa dni przed gmachem trybunału. Odpowiada to panu?

— Odpowiadałoby, ale nie jestem panem swych losów.

— Cóż to oznacza? — zapytał ostro.

— Niebawem stanę przed sądem. Trudno mi przewidzieć, jaki zapadnie wyrok.

— Przed sądem? — powtórzył niezdecydowanie. — A o co jest pan oskarżony, można wiedzieć?

— Oczywiście. O włóczęgostwo.

Roześmiał się z ulgą. Śmiał się długo, zarażając tym śmiechem otaczającą nas gromadkę. Potem powiedział:

— Drobiazg. Jeżeli nie jest pan recydywistą, wyrok będzie na pewno łagodny, może nawet uniewinniający. — Zwrócił się do pozostałych. — Proszę o pytania, panowie. Tylko pięć pytań.

Tak zawarłem znajomość z wiceprokuratorem Carlo Alberto Verdim, człowiekiem o nieposzlakowanej opinii i wielkiej dobroci serca. Nie bez zażenowania wyznaję, że to drugie cenilem sobie bardziej. Wspaniałomyślność Verdiego była doprawdy przerażająca; potrafił przebaczyć mi każdą podłość, jakiej się w stosunku do niego dopuściłem. Carlo Alberto Verdi był wspaniałym człowiekiem, potwierdzam to z całą stanowczością. Imię jego nieznanego zabójcy niech będzie przeklęte na wieki.

Nigdy później, a nawet również teraz nie mogłem dociec, dlaczego wiceprokurator zainteresował się wówczas właśnie mną, zwyczajnym włóczęgą, kimś, kto tak niewiele znaczył w hierarchii społecznej miasta. Może sprawiła to moja staroświecka uczynność? Może Verdi zamierzał w pierwszym odruchu posłużyć się mną w jakichś rozgrywkach politycznych, w których przecież musiał uczestniczyć, a dopiero z czasem, w miarę rozwoju naszej przyjaźni (nie waham posłużyć się tym wielkim słowem) zamiar ów porzucił? Może chciał wtedy po prostu popisać się swoją wielkodusznością, swymi demokratycz-

nymi poglądami przed gronem annopolitańskich publicystów? Może była jakaś inna przyczyna, bardziej osobliwa?

Nigdy mi się już niestety nie uda znaleźć odpowiedzi na te pytania. Moja udręka nigdy nie znajdzie swego kresu; to jedno wiem ponad wszelką wątpliwość.

Przypadek spowodował, iż spotkałem się z Verdim akurat w chwili, gdy znajdowałem się jak gdyby poza nawiasem społeczeństwa. Z zawodu i z zamiłowania jestem optykiem. Po ojcu, także optyku, odziedziczyłem niewielki sklepik, który zapewniał mi prowadzenie znośnej, nie pozbawionej nawet pewnych radości, egzystencji. Tak przeżyłem trzydzieści dwa lata: w ciszy, bez rozgłosu i trochę na uboczu.

Któregoś jesiennego wieczoru poznałem tę kobietę: Marię Asnaldo Cruz... Pokochałem ją szaleńczą miłością starzejącego się mężczyzny. Była jasnowłosa, szczupła, wzrostu więcej niż średniego. Była też dosyć wrażliwa na pokusy tego świata. Nie umiałem zaspokoić jej wygórowanych ambicji. Gdy zrywaliśmy ze sobą ostatecznie, byłem już doszczętnie zrujnowany i pozbawiony nawet tych nielicznych przyjaciół, których poprzednio posiadałem.

Odtąd żyłem w odosobnieniu, nie widując prawie nikogo. Straciłem swój sklepik, pracowałem tu i ówdzie, w różnych miejscach, często zmieniając pracodawców (nie zawsze z własnej woli), byłem między innymi bufetowym, uczniem fryzjerskim, pomocnikiem agenta pogrzebowego, aż w końcu zacząłem korzystać z zasiłków dla bezrobotnych. Pobierałem je tak długo, aż zostały decyzją Rady Miejskiej zniesione.

Nie muszę chyba wyjaśniać, jak dotkliwy był to dla mnie cios. Lata samotności wyrobiły we mnie nawyk nie liczenia się z cudzymi sądami oraz nieprzychylnie nastawiły do całego ludzkiego rodzaju. Nie potrafiłem więc sobie wyobrazić siebie przebywającego z powrotem pomiędzy ludźmi, ściskającego ich spotniałe dłonie, odpowiadającego

jącego nagłym rozjaśnieniem twarzy na ich nieszczerą uśmiechy. Postanowiłem nie starać się o żadną nową pracę i żyć wyłącznie dniem dzisiejszym, oddychać wyłącznie terażniejszością.

Przez parę miesięcy udawało mi się to nie najgorzej. Wprawdzie niejednokrotnie zmuszony byłem uciekać się do metod i środków, których rzetelność pozostawiała co nieco do życzenia, ale nie budziło to mego niepokoju. Metody te odznaczały się wszak pewną cechą: nie zawodziły, co je w moich oczach, oczach wykolejeńca, skutecznie nobilitowało.

W konflikt z prawem popadłem dość niespodziewanie. Po pełnej trudów nocy odpoczywałem, przygotowując się do krótkiej drzemki, pod filarami mostu Południowego, i na tej właśnie czynności, skądinąd najzupełniej niewinnej, zaskoczył mnie policyjny patrol. Na szczęście Stróża prawa nie odkryli mojego łupu, porzuconego niedbale wśród rozkwitających bujnie nie opodał krzewów, tak że skończyło się jedynie na osadzeniu mnie w areszcie pod błahym zarzutem włóczęgostwa.

I w ten sposób znalazłem się przed obliczem sprawiedliwości miejskiej. Dzięki wstawiennictwu Verdiego sprawiedliwość owa okazała się dla mnie nad wyraz łaskawa. Następnego dnia byłem już człowiekiem wolnym.

Carlo Alberto Verdi! Dźwięk tych słów jeszcze teraz wprawia mnie w nastrój graniczący z ukojeniem. Jemu, tylko i wyłącznie jemu zawdzięczam swoje ocalenie. Jeżeli nawet, wyciągając do mnie pomocną dłoń, miał w tym jakiś skryty interes, to i tak winien mu jestem dozgonną wdzięczność. Carlo Alberto Verdi był moim dobroczyńcą. Imię jego mordercy niechaj będzie przeklęte raz na zawsze, przeklęte nieskończenie.

Spotkaliśmy się znowu w umówionym miejscu i w naznaczonym dniu. Prokurator zaproponował mi wspólną kolację w jego rodzinnym domu. Na próżno się broniłem; Verdi był nieugięty; poszedłem tam, kapitulując po krótkiej walce.

Prokurator przedstawiał mnie kolejno członkom swej rodziny. Poznałem żonę Verdiego: kobietę szczupłą, wrażliwą i bardzo inteligentną. Przedstawiono mnie jego córkom: zrobiły na mnie równie korzystne wrażenie co ich matka.

Wieczór był niezwykle udany. Verdi w roli gospodarza wypadł wyśmienicie. Nieustannie błyszczał erudycją i epatował wdziękiem. W rozmowie nie stroniłszy też od poruszania tematów politycznych, niezmiernie drażliwych. Jego żona natomiast z dużą swobodą wypytywała mnie o przeróżne fakty z mojego życiorysu. Początkowo odpowia dałem jedynie monosylabami, później jednak, już ośmielony, mówiłem znacznie chętniej, tak jakby jej swoboda udzieliła się i mnie także. Myślę nawet, że Zachowywałem się momentami zbyt swobodnie, ponieważ na twarzach kobiet pojawiał się niekiedy wyraz niejakiego zmieszania. Wszelako wszyscy w takich wypadkach taktownie milczeli.

Wieczór upłynął w tak miłej atmosferze, że ani się obejrzelśmy, a już wybijała północ. Zmieszany, uniosłem się wolno z fotela i zacząłem żegnać się z gościnnymi gospodarzami.

— Proszę odwiedzać nas jak najczęściej — powiedziała pani domu. — Będzie tu pan zawsze serdecznie witany.

Podziękowałem z pewną rezerwą i niezwłocznie opuściłem willę. Upojne dźwięki nocy odurzyły mnie. Lekki iradosny szedłem niespiesznie trotuarem, z prawdziwą wdzięcznością myśląc o ludziach, w których towarzystwie poczułem się jak nowo narodzony. Nie mogłem dość nadziwić się ich serdeczności. Zastanawiałem się, czy ona rzeczywiście jest bezinteresowna i odpowiadałem sobie kilkakrotnie, że tak. Nie znaczyłem nic; nawet najlichszemu z mieszkańców Annopolis nie mogło zależeć na mojej przyjaźni. Byłem bezdomnym włóczęgą, nie posiadającym nikogo i niczego.

Ową pamiętną noc spędziłem na bezcelowej wędrówce ulicami miasta. Nikt mi w tym nie przeszkadzał; nie spot-

kałem na swej drodze żadnego policyjnego patrolu. Mogłem w całkowitym spokoju rozkoszować się swoim świeżo odnalezionym szczęściem.

We wczesnych godzinach rannych ustawiłem się w kolejce przed drzwiami biura pośrednictwa pracy. Wychoząc stamtąd, przestałem się już zaliczać do grona najnikczemniejszych obywateli Annopolis. Związany umową o pracę — która zapewniała mi dwupokojowe mieszkanie — z otrzymanymi tytułem zaliczki trzystu guldenami w kieszeni, pełen roztaczających się przede mną wspólniających perspektyw, stałem się jak gdyby innym człowiekiem, znacznie przychylniej nastawionym do swoich współziomków. Wiedziałem, komu zawdzięczać tę nagłą odmianę losu.

Zresztą Carlo Alberto Verdi nie zapomniał o mnie. Przekonałem się o tym bardzo szybko. W kilkanaście dni później dostałem od niego list, list pisany jego ręką... Wiceprokurator zapraszał mnie do siebie ponownie. Nie od razu skorzystałem z zaproszenia, przyznając. Obawiałem się tkwiącej w tym jakiejś ukrytej drwiny. W końcu jednak przemogłem te opory, poszedłem.

Verdi był jeszcze bardziej przyjacielski (o ile jest to w ogóle możliwe) niż poprzednio. Przyjął mnie w stroju niedbałym, w domowych pantoflach, przepraszając wytrwale za swój niestosowny, jak twierdził, wygląd. Wspominałem swoje znoszone, nadzarte zębem czasu ubranie i zawstydziłem się, chyba niepotrzebnie. Gospodarz udał, iż niczego nie zauważył. Jego poczucie taktu było istotnie zdumiewające. Gdy już usiedliśmy do stołu, zapytałem, co się dzieje z innymi domownikami, których nieobecność wyraźnie rzucała się w oczy. Verdi odpowiedział, że żona i córki pojechały do ich wiejskiej posiadłości. Dodał również, iż to doprawdy uroczy zakątek i że nic nie stoi na przeszkodzie, abym kiedyś tam się z nim wybrał.

— Dominica się na pewno ucieszy pańskim widokiem — rzekł nalewając wina do szklanek (te szklanki trochę mnie zdziwiły). — Córki także. Spodobał się pan im.

Tej nocy rozmawialiśmy nieskończenie długo, aż do nadejścia brzasku. Wiceprokurator, praktycznie bez żadnej zachęty z mojej strony, opowiadał o swojej karierze politycznej, z rozrzewnieniem wspominając lata, w których przewodniczył obradom Rady Miejskiej przeprowadzając wiele pożytecznych uchwał; zwłaszcza silnie podkreślał swój niewątpliwy wkład w rozbudowę systemu opieki społecznej (w kilka lat po jego ustąpieniu system ten został zniesiony) oraz w ulepszanie miejskiego systemu penitencjarnego. Mówił też sporo o swoich sympatiach i antypatiach, zwolennikach i wrogach, prawie każdego charakteryzując jednym zdaniem, uderzająco trafnym i celnym; wprowadził mnie również, jakby od niechcienia, w najtajniejsze zamierzenia aktualnych władz, aż wywołało to moje ogromne zdziwienie, połączone z pewnymi obawami. Na koniec, przy bladym brzasku nadciągającego poranka, zaczął się rozwodzić o korzyściach płynących z kawalerskiego stanu i o zgubnej ciekawości mężczyzn, wiodącej ich przed ołtarze... Wyznam od razu, że wzbudziło to moje podejrzenia. Wspomniałem ów niepokojący zapał, z jakim Verdi prześladował niegdyś homoseksualistów. Wspomniałem ten nagły i prawie zatrważający wyjazd całej rodziny prokuratora do owej wiejskiej posiadłości. Uzmysłowiłem sobie, że prawdopodobnie nie znalazł on nigdy szczęścia w ramionach swej inteligentnej, wrażliwej, ale również brzydkiej małżonki. W innym świetle zobaczyłem jego dotychczasowe zainteresowanie moją skromną osobą. Po chwili niejasnych rozważań dopuściłem pewną odległą możliwość i nie zdecydowałem się jej odrzucić.

Uważnie przyjrzałem się prokuratorowi. Siedział nieruchomo w obciągniętym aksamitem foteliku, z jedną ręką spoczywającą na jego krawędzi i z nieobecnym wyrazem twarzy. Wyglądał jak ktoś, kto sięga właśnie pamięcią do lat dziecińczych i młodzieńczych i przypomina sobie pierwsze porywy serca, pierwsze miłości, pierwsze krzyki rozpacz...

Zawstydzilem się swego niedawnego przypuszczenia. Uznałem je za nikczemne i bezpodstawne. Pomyślałem, że chyba nie ma w tym nic odrażającego ani hańbiącego. Pomyślałem, że mój opiekun jest po prostu bardzo zmęczonym człowiekiem. Zauważyłem w duchu, że moja nieistotna obecność nadaje pewien sens jego samotności... W jakiś zadziwiający sposób byłem potrzebny Alberto Verdiemu. Ja, Daniel Boun, włóczęga, byłem potrzebny jemu — wiceprokuratorowi Carlo Alberto Verdiemu, jednemu z najbardziej liczących się w mieście ludzi... Zdumiony swym odkryciem, wstrząśnięty jego doniosłością wstałem z krzesła, zbliżyłem się do okna i rzekłem, otwierając okiennice:

— Już świta, panie prokuratorze. Jest już dzień...

Wolno uniósł głowę do góry. Przez moment wpatrywał się we mnie zdumionym spojrzeniem, jak ktoś, kogo znieknacka wyrwano z objęć snu, a potem powiedział, podając mi na pożegnanie dłoń:

— Rzeczywiście dzień... Przepraszam, że tak długo pana zatrzymałem. Bardzo przepraszam. Wierzę, że mnie pan kiedyś jeszcze odwiedzi... Proszę to uczynić jak najprędzej.

Carlo Albarto Verdi... Nigdy nie zapomnę jego nieskończonej dobroci i jego zniewalającego uśmiechu. W miarę upływu czasu prokurator znaczył dla mnie coraz więcej. Jego przyjaźń, przyjaźń absolutnie bezinteresowna pozwalała mi znosić we względnym spokoju i bez absurdałnych wybuchów rozpaczyny moją uciążliwą egzystencję człowieka samotnego. Odwiedzałem go bardzo często, niekiedy kilka razy w miesiącu. Pożyczałem od niego książki — których nigdy potem nie oddawałem — płyty gramofonowe, tygodniki ilustrowane, atlasy historyczne i geograficzne oraz podręczniki prawnicze. Toczyliśmy długie dysputy, zdarzało się, że i wielogodzinne; rozmawialiśmy o wyścigach konnych, kobietach, psach, najnowszych pokazach mody oraz o przeróżnych festiwalach teatralnych i filmowych, ciesząc się

w mieście raczej niezasłużonym zainteresowaniem; czasami grywaliśmy również w szachy. Wiceprokurator był zawsze wzorem gościnnego gospodarza. Podejmował mnie zazwyczaj winem, obiadem lub, w zależności od pory dnia, kolacją. Wspólnie spędzane godziny uprzyjemniała nam grająca na fortepianie młodsza córka Verdiego. Po wizytach w niezmiennie gościnnym domu wracałem do siebie spokojniejszy, nawet jakby trochę zadowolony ze swego losu.

Pewnego wieczoru wiceprokurator wyjawiał mi nieoczekiwane, iż musi niebawem opuścić miasto. Wpatrzony w szachownicę zrazu w ogóle nie zareagowałem. Dopiero po ponownym powtórzeniu tej wiadomości uświadomiłem sobie jej znaczenie... Zapytałem, starając się nadać memu głosowi brzmienie jak najbardziej obojętne:

— A kiedy wracasz?

Odpowiedział:

— Nie prędzej niż za dwa, trzy miesiące.

Wykonałem jakieś bezsensowne posunięcie. Wiceprokurator zaproponował mi cofnięcie tego ruchu. Nie zgodziłem się. Białe szybko skorzystały z nadarżającej się szansy: po krótkim oporze poddałem partię.

— Zagramy jeszcze raz?

— Nie — zaprzeczyłem. — Czuję się dzisiaj nie najlepiej. Chciałbym już iść do domu.

— Może jednak dasz się namówić?

— Na pewno nie.

Verdi nie nalegał dłużej. Wróciłem do swego mieszkania pieszo, nie autobusem. Wbrew oczekiwaniom spacer nie uspokoił mnie wcale. Przewracałem się z boku na bok, powtarzając sobie, że to nie ten wyjazd mego przyjaciela wytrącił mnie z równowagi, lecz nie przynosiło to większych efektów. Zasnąłem dopiero nad ranem, po parogodzinnych męczarniach.

Prokurator opuścił Annapolis następnego dnia o trzeciej po południu. Nie znalazłem się wśród licznej grupy żegnających wyjeżdżającego. Spędziłem cały dzień w oko-

licach Bulwaru Zachodzącego Słońca, trwoniąc wszystkie posiadane oszczędności.

Tygodnie, które upłynęły do chwili powrotu Verdiego, należały do najposepniejszych w moim życiu. Nocami snułem się bezcelowo po wyludnionych ulicach miasta, w ciągu dnia starannie unikałem ludzi, nie szukając niczyjego towarzystwa, systematycznie spóźniałem się do pracy, co w ostatecznym rozrachunku zakończyło się jej utratą. Nie potrafiłem nawet smucić się z tego powodu. Kilkakrotnie nachodziła mnie pokusa, ażeby udać się do mieszkania wiceprokuratora i przynajmniej porozmawiać z jego żoną, ale nie starczało mi na to odwagi. Tak przeżyłem prawie trzy miesiące w całkowitym odosobnieniu.

Pod koniec października dowiedziałem się przypadkowo, że Verdi jest już w mieście. W pierwszym odruchu pragnąłem biec do niego natychmiast, lecz po głębszym namyśle uznałem, iż właściwiej będzie poczekać na jego zaproszenie. Gdy wreszcie nadeszło, odetchnąłem.

Wiceprokurator, takie odniosłem wrażenie, jakby się trochę zmienił po powrocie. Zeszczupłał, przybyło mu zmarszczek na twarzy, częściej też popadał w jakąś nieuzasadnioną zadumę. Jego poczynań nie cechowała już taka młodzieńcza energia, jak dawniej. Verdi, który zawsze słynął z uprzejmości, pozwalał sobie teraz niejednokrotnie na lekceważące gesty wobec swej żony i córek, postępując tak nawet w mojej obecności i co gorsza w ogóle nie kryjąc się ze swoją niechęcią w stosunku do rodziny. Spostrzegłem także, iż zaczął się powoli zmieniać również jego stosunek do mnie. Wprawdzie nie przybrało to szczególnie niepokojących rozmiarów, ale zawsze była to pewna odmiana. Nie mogę powiedzieć, aby prokurator posunął się pod moim adresem aż do kaśliwych uwag czy innego rodzaju złośliwości, lecz bezspornie nie było to już to, co dawniej. Nie umiałem dociec przyczyn tej nagłej zmiany. Pewnego razu postanowiłem zagadnąć go o to wprost. Najpierw nie odpowiedział nic, a potem wszystkie-

mu zaprzeczył. Więcej go o to nie pytałem.

I ja się zmieniłem. Przede wszystkim zacząłem się starzeć. Podobnie jak mojemu dobroczyńcy przybawało mi zmarszczek na twarzy, utylem i sposepniałem. W nocy dręczyły mnie koszmary. Krwistoczerwone tygrysy ściagały mnie, przerażonego do granic wytrzymałości, ulicami asymetrycznego miasta, miasta w niczym nie przypominającego mego ukochanego Annapolis, w snach odwiedzały mnie często postacie Marii Asnaldo Cruz i jakiegoś podążającego za nią mężczyzny o niewyraźnym spojrzeniu, jakby rozmytym przez upływ czasu, często w sennych majakach obserwowałem siebie przechodzącego przez jakiś żywopłot, przecinającego jakiś zaniedbany trawnik i wchodzącego do wnętrza opuszczonej willi.

Ponadto coraz silniej dawała mi się we znaki moja samotność. Nie wiedziałem, w jaki sposób wypełnić bezliźnie wolno płynące godziny. To snułem się bezcelowo ulicami mego rodzinnego grodu, to przesiadywałem nieprzerwanie w miejskiej bibliotece, to, na odwrót, prawie wcale nie wychodziłem ze swego mieszkania. Verdiego odwiedzałem dalej, ale te wizyty nie przynosiły mi już takiej satysfakcji co niegdyś. I nie cieszyły mnie nawet oznaki jego wzrastającej życzliwości (prokurator bowiem po pewnym czasie znowu się do mnie zbliżył). Prawie nic nie było w stanie wytrącić mnie z marazmu, w jaki popadłem. Moja samotność była już teraz samotnością człowieka zrozpaczonego.

Pewnej niespokojnej nocy z krzykiem wyrwałem się z objęć snu. Długo leżałem nieruchomo na łóżku, wreszcie podniosłem się i wyszedłem z domu, starając się nie budzić współlokatorów. Miasto przywitało mnie niepewnym blaskiem nadchodzącego dnia. Światło; tylko moje kroki przecinały ciszę, z nieznośnym łoskotem docierając do moich uszu. Szedłem ciągle przed siebie. Wydaje mi się, że niekiedy skręcałem w najbliższą przecznicę. Wydaje mi się również, iż czasami zatrzymywałem się i nasłuchiwałem. Nikt jednak się do mnie nie przybliżał;

potworna cisza panowała nadal niepodzielnie. W końcu moja męcząca wędrówka dobiegła kresu. Przystanąłem przed murem okalającym jakąś willę. Jak w dręczących mnie snach przeszedłem przez ten mur, niezbyt wysoki, i powoli obszedłem willę. Łatwo znalazłem to, czego szukałem, czego dopominało się moje nagle ożywione ciało. Jednym uderzeniem pięści otworzyłem okiennice i wszedłem do środka. Gdy przechodziłem przez hall, odniosłem wrażenie, że jest to miejsce skądś mi znajome. Ale nie zatrzymałem się. Powędrowałem schodami na górę, pchnąłem drzwi do sypialni. Moje zdecydowane postanowienie utwierdziło się w sposób nieubłagany. Wyciągnąłem pistolet z kieszeni, zważyłem go w dłoni. Leżący na łóżku mężczyzna jęknął przez sen. Pomyślałem, że i jego dręczą koszmary; pomyślałem, że sprawiedliwiej będzie go z nich wybawić.

Cofnąłem się o krok. Potem, celując bardzo uważnie, trzykrotnie dałem ognia. Każde z tych trafień było śmiertelne.

Carlo Alberto Verdi zmarł czternastego sierpnia roku ubiegłego, ugodzony trzema pistoletowymi kulami, z których jedna trafiła go w skroń, a dwie pozostałe w okolicę serca.

Powiem wam, dlaczego go zabiłem.

Zamierzałem w ten absurdalny i odrażający sposób usprawiedliwić swoją niezasłużoną samotność. Temu złudne mu celowi poświęciłem wszystko: swoje wspomnienia, swoje życie i swego jedyne przyjaciela, najszlachetniejszego z ludzi.

Opowiedziałem wam tę historię bez zbędnych upiększeń i niepotrzebnych wahań. Nie pomiąłem żadnego istotnego szczegółu, nawet najohydniejszego. Starąłem się być w zgodzie z prawdą: jedynym sensem ludzkiego istnienia. A teraz, gdy moja nikczemność jest już doskonale widoczna, możecie mną gardzić; gardzić nieskończenie.

1979

OBSERWACJA

Panu A.L.

To, o czym zaraz opowiem, nie będzie całą prawdą o pewnym człowieku, lecz tylko jej cząstką, może najbardziej znamioną, a może wprost przeciwnie, najmniej ważną. Opowiedzenie o kimś całej prawdy, pokazanie jego charakteru jak na dłoni, nie jest, wbrew temu co twierdzą niektórzy, rzeczą niemożliwą, chociaż, jak sądzę, trudną. Trudność ta nie musi wcale wynikać z niemożności przeniknięcia na wskroś charakteru drugiego człowieka, co jest czystą blagą, nikczemnym wybiegiem stosowanym przez tych, którym dobry Bóg poskąpił bystrości umysłu, ale może brać się z niechęci do dojścia prawdy, z poczucia zbędności jej ustalenia żywionej przez osobników, którzy na własną rękę lub z czyjogoś rozkazu tej prawdy o kimś dochodzą. Na poszukiwacza prawdy czyhają bowiem różne raty i pułapki. Jedną z nich jest obawa przed przypadkowym dojściem prawdy o sobie samym, co jest zawsze zabiegiem niemiłym i zgubnym, gdyż każdy — lub prawie każdy — człowiek ma się za lepszego, niż jest w rzeczywistości. Inne pułapki są nie mniej głębokie, a płynące z nich konsekwencje nie mniej przerażające. Z tej przyczyny mało kto lubi stawiać kropkę nad „i” i ludzie zadowolają się na ogół namiastką prawdy, a nie jej syntetycznym odzwierciedleniem. Obserwując Kaliksta, badając jego przyzwyczajenia i obyczaje, analizując jego poglądy, nie byłem chyba od tych podświadomych obaw wolny i dlatego zatrzymałem się w połowie drogi, zamiast zagłębić się bez reszty w powikłanych ścieżkach jego osobowości. Ponieważ się w nich nie zagłębiłem — czego momentami żałuję — może po części również z prozaicznego lenistwa, doszedłem tylko fragmentu prawdy o nim i najgorsze jest to, że nie

wiem, jaka jest realna wartość owego fragmentu i czy czasami w jakiś przewrotny sposób nie oddaje on całej prawdy o Kalikście. Wydaje mi się, że gdybym mógł (a nie mogę niestety) podjąć się tego zadania ponownie, to jednak postąpiłbym inaczej: nie zatrzymałbym się w połowie drogi, doprowadziłbym je do końca.

Kalikst bowiem zafrapował mnie; przyznaję to nie bez żalu, ponieważ uważam tego typu fascynację, zważywszy na to, jakiego formatu intelektualnego był to człowiek, za zgubną i nie wzbogacającą mnie w najmniejszym stopniu. Niczego rozsądnego od niego nauczyć się nie mogłem; był on na to za głupi i zbyt trywialny w swych planach i marzeniach. Groziło mi natomiast poddanie się jego zagadkowemu — acz nie całkiem niezrozumiałemu — urokowi i wyjałowienie przez to mej własnej osobowości, którą staram się nieustannie rozwijać.

O tym rozwijaniu się wspominam nie bez istotnego powodu. Uginający się pod ciężarem wielkich ambicji, zwłaszcza ambicji politycznych, a skutkiem splotu niesprzyjających okoliczności, z których najważniejsze jest moje niskie urodzenie, pozbawiony prawie zupełnie możliwości realnego działania i wpływania na cokolwiek, stałem się z konieczności obserwatorem ludzkich dusz i charakterów. A dobry obserwator, chcący czegoś w tym fachu dokonać, winien być gotowy na każdą ofiarę, żeby tylko choć trochę wzbogacić i urozmaicić swój warsztat badawczy. Nade wszystko zaś musi dbać o to, by przewyższać intelektualnie podmioty swej obserwacji, co jest chyba jasne dla każdego. Głupiec nigdy nie będzie wartościowym obserwatorem.

W zasadzie powinienem zakończyć swoją pracę już po pierwszym roku naszej znajomości. Wiedziałem o nim dość, aby móc zawyrokować w sposób ostateczny. Znałem jego przyzwyczajenia i poglądy, posiadałem gruntowną znajomość jego wierszy, w których się ciągle obnażał ukazując swą umysłową nicość, znakomicie opanowałem

trudną sztukę prowadzenia z nim rozmowy (Kalikst dyskutując zachowywał się jak dziecko lub furia: krzyczał, wymachiwał rękami, kaprysił, niekiedy nawet popłakiwał; wszystko to trzeba było znieść w milczeniu i nie pozwolić się wyprowadzić z równowagi, a dopiero później, gdy już się nieco opamiętał, zadać mu decydujący cios); nauczyłem się także odgadywać jego myśli i przytakiwać mu we właściwym momencie.

Z moich obserwacji (popartych też opiniami osób postronnych) wynikało, że jest to człowiek próżny i ograniczony, ambitny i uparty, egzaltowany i megalomański, egocentryczny i niemądry. Tej długiej listy wad nie mogły zrównoważyć nieliczne zalety: łatwość wzruszania się, przyrodzona dobroć, często jednak tłumiona przez równie wrodzoną złośliwość, pewien znikomy talent poetycki, w którym więcej było wszelako szlachetnych intencji niż rzeczywistych umiejętności. Reasumując — był to człowiek słaby i wymagający stałej opieki.

Najgorsze, iż owa niechlubna kombinacja cech, którą u niego wykryłem, nie była żadną miarą konstelacją oryginalną, co częściowo mogłoby mój trud usprawiedliwiać. Tego rodzaju osobników jest u nas pełno i łatwo mógłbym narazić się na zarzut, że zamiast analizować osobowość jakiegoś konkretnego człowieka, zajmuję się nużącym i jałowym wyliczaniem przywar statystycznego annopolitańskiego obywatela. (Już widzę oczyma wyobraźni niektórych z moich nieprzyjaciół, jak oblizują wargi z sarkastyczną przyjemnością i wspomniany zarzut mi stawiają; ale rozwieję ich nadzieje, nie usatysfakcjonuję ich; teorię swą umocnię przykładami, wierzę, że nie do podważenia, i tak oto wyjdę zwycięsko z owej iluzorycznej próby sił.)

Charakter Kaliksta najłatwiej poznać przy analizie jego poglądów na literaturę, na jej istotę i sens uprawiania, ponieważ tymi sprawami pasjonował się najsilniej i w dysputach na te tematy był najbardziej szczerzy — co nie oznacza, że kiedy indziej potrafił ukryć swe

niezliczone wady.

Otóż Kalikst uważał, że literatura to coś wielkiego, wiecznego i nieprzemijającego. Nietrudno zauważyć, iż jest to pogląd megalomański i staroświecki. Zgodzić się można co najwyżej z dwoma ostatnimi określeniami, lecz wbrew pozorom wynika z tego niewiele, jeśli nie nic zgoła. Rzeczy wielkich i nieprzemijających jest na świecie całe mnóstwo; są nawet wśród nich zjawiska godne nie tyle słów pochwały, co najwyższego potępienia, tak więc nie mogę się zgodzić na przyznanie tym przymiotnikom jakiejś rzeczywistej i niesfałszowanej wartości. Z faktu, że coś upiera się nie przeminać i dotrwać aż do końca istnienia rodu ludzkiego, doprawdy nie zaw sze można (i należy) się cieszyć.

Osobnego rozważenia wymaga natomiast pierwsze określenie. Wielkość już sama w sobie jest czymś pożyte cznym. Wielki łajdak czy szarlatan powinien być miły ludziom, ponieważ swymi niecnymi postępkami urozma ica ich nieciekawą egzystencję i pozwala na przeżycie przypadającej na nich porcji strachu, co dla higieny psychicznej gatunku ma niebagatelne znaczenie.

Skoro zatem literatura jest naprawdę wielka, to bezwzględnie trzeba padać przed nią na kolana, nienależnie od tego, jaka by ona nie była.

Jakie argumenty mogą przemawiać za wielkością literatury? Kalikst nie podawał ich, bowiem sądził, że jest to coś tak oczywistego i bezspornego, że po prostu nie ma nad czym się rozwodzić. Gdy żądałem od niego tych argumentów, niezmiennie obrażał się i długo, nieskończenie długo wpatrywał się we mnie wzrokiem, w którym zdziwienie walczyło z pogardą, a niezrozumienie z irytacją. Spojrzenie owo drażniło mnie tak, że z reguły nazywałem go wtedy osłem, co skłaniało go do już niepo hamowanego wybuchu gniewu kończącego się niekiedy atakiem nerwowym — zapomniałem dodać, że Kalikst był również neurotykiem i hipochondrykiem, ale wierzę, że zostanie mi to wybaczone.

Ponieważ Kalikst nigdy nie wspierał dowodami swej zadziwiającej tezy, postaram się, może nie całkiem bezstronnie, uczynić to za niego.

Sporo argumentów może przemawiać za wielkością literatury, najsilniej zaś bodaj ten, że posiada ona moc wskrzeszania zmarłych i stwarzania nowych światów, czyli że jest ona swego rodzaju demiurgiem. Jednakże ożywienie zmarłych może nastąpić tylko w pisarskiej czy czytelniczej imaginacji, a stwarzane tą drogą nowe światy będą jedynie światami nierzeczywistymi, sztucznymi. Taka kreacja dla większości ludzi jest pozbawiona wartości; wielkość literatury mogą więc uznać wyłącznie nieliczni osobnicy, najbardziej wrażliwi na piękno słowa.

Ponadto powyższe nie oznacza jeszcze, że literatura w całości wykorzystuje swe niemałe możliwości. Czynią to tylko najlepsi pisarze i największe dzieła; reszta jest robotą rzemieślniczą lub odtwórczą, godną nawet pogardy. Jako całość literatura to coś zwyczajnego, niespecjalnie zasługującego na uwagę. Zbrodnią zatem byłoby uznać już z założenia wszystkie dzieła za wielkie.

Zrozumiałe jest, czemu Kalikst głosił tak nonsensowny pogląd. Był marnym pisarzem — o ile był nim w ogóle, w co ośmielał się powątpiewać — i wiedział o tym lub przynajmniej przeczuwał to. Podnosząc preto rangę literatury, dowaloryzował jednocześnie siebie. Wierzył, że jest wielkim człowiekiem i starał się usilnie narzucić innym owo przekonanie. Usiłowań tych prawie nigdy nie wieńczył sukces, co regularnie wpędzało go we frustrację graniczącą z tendencjami do samozagłady. Dość często powtarzał mi o swych samobójczych ciagotach; sądzę, że był wówczas szczery i wierzył w to, co mówił. Ja jednak, znając go nieźle, zdania byłem odmiennego. Nie wierzyłem, że zdobędzie się on na jakiś nieodwracalny krok. Bardziej skłonny byłem przypuszczać, że pożąda on wyłącznie duchowego pokrzepienia i krzepiłem go, jak umiałem najlepiej, przeważnie z powodzeniem. Podniesiony na duchu, przywrócony rzeczy

wistości, wpadał zwykle z jednej skrajności w drugą i odnosił się do mnie ze śmieszną wyższością, jak gdyby to, że nie okazałem się dostatecznie twardy i nie wyszydziłem jego głupich zamierzeń, uprawniało go do tego.

A może istotnie uprawniało? Litowałem się wszakże nad nim, co nie należy już do obowiązków obserwatora. Winienem śmiać się z niego w takich sytuacjach i ze spokojem oczekiwać na jego reakcję.

W każdym razie, jakbym nie postępował, wielkodusznie czy bezstronnie, nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Kalikst jest człowiekiem niezrównoważonym i egzaltowanym, megalomańskim i próżnym. To ostatnie było u niego chyba najbardziej widoczne — jego ubiór, jego sposób zachowania, jego dowcipy, wszystko to świadczyło, że pożąda on bezustannie pochwał i obojętne mu jest, z czyich ust one padną. (Kalikst zadowalał się nawet pochwałami sprzątaczek, które zanudzał lekturą swych miernych wierszy, chociaż, jako wywodzący się z gminu, gardził w rzeczywistości ludźmi z klas niższych.)

W zestawieniu z jego zdolnościami ambicje Kaliksta były przerażające. Chciał on, nie mniej, nie więcej, zostać sławnym literatem i — co gorzej — czuł w sobie (na jakiej podstawie?) siły potrzebne do napisania arcydzieła. Na próżno powtarzałem mu, że pojęcie arcydzieła jest fikcją, nieodpowiedzialnym mirażem, bezskutecznie argumentowałem, że rzeczy wybitne nie biorą się z powietrza, że wymagają one najpierw sprawnie opanowanego warsztatu (Kalikst nie miał warsztatu, nie posiadał właściwie żadnej z licznych literackich umiejętności), nie mówiąc już o talencie i o pewnym bagażu intelektualnych przemyśleń, który trzeba jednak posiadać, nadaremnie wzywałem go do opamiętania wskazując na przykłady twórców, którzy powodowani chorobliwą ambicją spalili się wewnątrz i nie wytrzymali ciśnienia okrutnej i bezwzględnej rzeczywistości.

Wszystko to było wyłącznie wodą na jego młyn. Odpowiadał mi, że zazdroszczę mu jego wiary w siebie, że

sam dobrze wiem, że na nic mnie nie stać i że z tego powodu staram się uformować go na własną modłę, spruwając jego egzystencję do podobnej mojej, bezsensownej i groteskowej.

Milkłem wtedy zazwyczaj, głęboko wstrząśnięty tępy uporem Kaliksta, a niekiedy nazywałem go po prostu głupcem. Cieszył się wówczas, bo i w tym widział przejaw mojej zawiści. Doprawdy, niezwykle trudno było się z nim porozumieć.

Największe obrzydzenie budził Kalikst we mnie w tych dniach, kiedy rozwodził się na temat misji, którą ma literatura jakoby do spełnienia. (Dostrzegałem w tym tylko przejaw pozerstwa i nic więcej; dziś nie jestem już pewien, czy mój osąd był słuszny). Potrafił mówić o tym z żarem i z tak silnym przekonaniem o prawdziwości swych słów, że aż zazdrościłem mu jego nieustraszonej wiary. Argumenty, jakimi się posługiwał, były nieskończenie błahe i wątpliwe; nie będę ich relacjonował ani się z nimi spierał, bowiem na pewno na to nie zasługują. Nie ulegał wszelako dla mnie wątpliwości fakt, że poglądy te były sformułowane raz na zawsze i że Kalikst nigdy, za nic w świecie by od nich nie odstąpił. Rozwój własnej osobowości, jakaś ewolucja przekonań, były dla niego jedynie słowami bez treści, pojęciami pustymi. Przypominał on skorupiaka, który nigdy nie pozbywa się swego pancerza.

Świat jego myśli i doznań był światem niezmiernie ubogim. Ludzie według niego dzielili się na dobrych i złych; dobrzy byli ci, którzy uznawali w nim poetycką indywidualność, źli ci, którzy tego nie czynili. (Najgorszy byłem ja, ponieważ przekonywałem go werbalnie, że nie jest poetą.)

Jego życiowa filozofia była filozofią niezwykle egoistyczną. Wszystko mierzył miarą własnego interesu; nic poza tym dla niego nie istniało, chociaż uparczywie odżegnywał się od egoizmu i potępiał surowo innych za ich myślenie wyłącznie o sobie. Swą nieumiejętność szkodzenia

drugim uważał za cnotę i domagał się, by uznać go z tego tytułu za człowieka wrażliwego, czyli — w domyśle — za poetę. Terminy: wrażliwość i poetyczność — były dlań tożsame.

Swym prywatnym fobiom i niepokojom dawał bezustannie wyraz, wyszukując do tego formę najgorszą i najdoskonalszą z możliwych, formę wiersza. Wszystkie jego utwory obracały się wokół spraw życia codziennego lub wokół pojęć dobra i zła, przeciwstawianych sobie z uporem godnym napiętnowania. Co trzeci z tekstów Kaliksta kończył się pytaniem, czy możliwy jest świat złożony z samych dobrych ludzi. Nigdy nie zastanawiał się jednak, w jaki sposób taki świat funkcjonowałby i czy rzeczywiście byłaby to planeta ludzi szczęśliwych.

O tym, że jest pisarzem, potrafił głośno krzyknąć na ulicy, aż przechodnie oglądali się za nimi, co zawsze mnie bulwersowało. Wstydzilem się wtedy za niego, wstydzilem się, że nie umie okazać odrobiny powściągliwości i że wykazuje taką niezdrową chęć do dzielenia się z osobami postronnymi swymi lękami i nie spełnionymi marzeniami.

Z tego, co dotąd rzekłem, wynika niedwuznacznie, że Kalikst nie powinien raczej, z racji swej normalności i przeciętności — o ile głupotę i egzaltację można uznać za dominujące w naszym społeczeństwie — budzić na dłużej niczyjej uwagi, a już najmniej zainteresowania takiego chłodnego badacza ludzkich charakterów jak ja — od lat niestrudzony obserwator obyczajów i zwyczajów annopolitańczyków, moich niegodnych pobratymców. Dlaczego więc stało się inaczej? Bowiem Kalikst — o czym wspomniałem już wcześniej — zafrapował mnie i może nawet częściowo urzekł. Zaintrygowała mnie i przyciągnęła doń jego skłonność do widzenia świata nie takiego, jakim on w istocie jest, ale takiego, jaki powinien być zdaniem osobnika o średniej inteligencji i małomiasteczkowej mentalności.

Wiem, że tego rodzaju wyznanie, które czynię nie bez

wahania, poniża mnie jako myśliciela i deprecjonuje moją wartość jako obserwatora, lecz nic nie poradzę na to, że kilkakrotnie zdarzało już mi się ulegać wątpliwemu urokowi sądów wygłaszanych z niezachwianą pewnością i ujmujących obraz świata w jednoznacznych, czarnobiałych kategoriach. Nie potrafię powiedzieć, skąd się u mnie to bierze; nieraz się nad tym zastanawiałem, ale zawsze bez rezultatów. Największą jednak zasługę należy przypisać zmęczeniu, które ogarnia mnie tak często i z taką złowieszczą regularnością. Abstrakcyjne rozważania i dociekania nużą mnie coraz bardziej i jest to niezawodny znak, że starzeję się z minuty na minutę, z godziny na godzinę. I jest to również dowód na ciągłość czasu czyli na coś, co dotychczas z taką lubieżną przyjemnością negowałem i z czym nigdy zgodzić się bez reszty nie chciałem.

Ponadto przyciągało mnie do Kaliksta to, że miał on cel w życiu, do którego zmierzał. Celem tym była naturalnie jego przyszła literacka chwała, chwała niezmiernie iluzoryczna, jeśli już mam mówić bez ogródek. Kalikst w ogóle wierzył w wiele rzeczy, jak na przykład w zwycięstwo dobra nad złem i w swoje własne nad rzeczywistością, co już musiało na mnie, człowieka bez przyszłości i przeszłości, uległego wielbiciela teraźniejszości — uległość w tym przypadku nie oznacza bezmyślnej akceptacji — silnie oddziaływać.

Krzepiłem Kaliksta, podnosiłem go na duchu, lecz i on mnie krzepił i podnosił na duchu, chociaż robił to absolutnie bezwiednie, bez udziału woli. Jego nieustająca wiara w siebie sprawiała, że i ja nabierałem — ale tylko na krótko — ochoty do życia i nawet do działania. Słowem „nawet” nie posłużyłem się jedynie z retorycznego przyzwyczajenia. Na ogół uważam bowiem, w ślad za wieloma naszymi najwspanialszymi filozofami i myślicielami, że działanie w obojętnej postaci jest pozbawione najmniejszego sensu, że jednostka nie ma wpływu na nic, że o wszystkim decydują okoliczności i uwarunkowania,

których częstokroć w ogóle nie jesteśmy świadomi. Intencje universum są nieodgadnione; rozszyfrować ich nie możemy; niemożliwa jest też ich moralna czy intelektualna klasyfikacja; pomóc im możemy — wyłącznie myśląc trzeźwo i postępując etycznie, do czego sprowadza się sens naszej jałowej egzystencji: oto pogląd, który nie bez pewnych wahań zwyciężył w moim umyśle i który jest zasadniczą przyczyną mojej nie kończącej się rozterki.

Tak więc w jakiś przewrotny sposób zależało mi na Kalikście. Dlatego nasze obopólne zerwanie przyjąłem nieobojętnie, wręcz z przykrością. Oczywiście nie rozpaczałem z tego powodu, ale obeszło mnie to trochę. Zerwanie owo było jednak, jak sędzę, nieuniknione. Kalikst nie mógł bowiem znieść dłużej mojej umysłowej wyższości, a ja z kolei z coraz większym trudem znosiłem jego głupotę.

Wszelako nie umiem rozstrzygnąć dylematu (ciągle nie potrafię tego uczynić), czy posiadm całą prawdę o nim, czy też musiałem zadowolić się tylko jej częścią. Trapi mnie to i gnębi, ponieważ, jak rzekłem na początku, nie wiem także, jaka jest realna wartość zebranych przeze mnie przez ten czas danych i — co najsmutniejsze — jest coś, co przeczy (może jednakowoż nie całkowicie) moim dotychczasowym ustaleniom, które do tej pory podawałem jako niepodważalne pewniki.

Przedstawiłem wyżej Kaliksta jako człowieka próżnego i zarozumiałego, egzaltowanego i megalomańskiego, powiedziałem, że był marnym poetą. A jednak ten pełen wad osobnik był w stanie zdobyć się na czyn, na jaki nie zdobyłaby się większość annopolitańczyków i który właśnie naraża na szwank moją dobrą opinię jako badacza ludzkiej psychiki.

Oto zwięzły zapis owego wydarzenia. Pewnego listopadowego dnia z mostu Południowego, przerzuconego nad dwoma brzegami przecinającej miasto rzeki skacze wysoki mężczyzna, buchalter z zawodu. Kalikst wraz z żoną i dziećmi (miał ich troje) spaceruje akurat wtedy

nadrzecznym bulwarem. Samobójca ku ogólnemu poruszeniu nie tonie natychmiast, wypływa na powierzchnię i rozpaczliwie walczy o życie. Poeta widzi to i decyduje się na skok w mroźne fale rzeki. Topielec oddalony jest od brzegu o niespełna dwadzieścia metrów. Słabo pływający Kalikst (koniecznie trzeba to zapamiętać) pokonuje ten dystans z niemałym wysiłkiem. Tamten jednak nie tonie nadal; utrzymuje się szczęśliwie na powierzchni wody i głośno domaga się ratunku. Kalikst dopływa do niego i holuje go do brzegu. W odległości paru wyrzutów ramion od zbawczej drabinki ratujący słabnie i idzie na dno. Niedoszły samobójca dopływa do brzegu o własnych siłach. Tragedię tę obserwuje w milczeniu kilkudziesięciu ludzi i cała rodzina poety.

Powiedziałbym, że Kalikst zginął niepotrzebnie; jego śmierć nie była warta życia uratowanego buchaltera, człowieka słabego i niezdecydowanego. Jest to jednak mniej ważne od tego, że Kalikst dochował wiary swym przekonaniom. Głosił bowiem uparczywie, że poeta powinien żyć tak, jak pisze; że istotniejsza od talentu jest zgodność między własnymi poglądami i przekonaniami a ich praktyczną realizacją.

Poza tym incydentem zdarzył się jeszcze inny, może omniejszej doniosłości. Miesięcznik „RES” opublikował na swych łamach dwa wiersze Kaliksta; nie ma w Annapolis pisarza, który nie doceniłby znaczenia tego rodzaju publikacji.

Wydarzenia te, tak nieoczekiwane, wstrząsnęły mną i zburzyły mój spokój. Ostatnia przystań, w której przed nie istniejącym wrogiem się schroniłem, została zniszczona niby drzewo przy uderzeniu pioruna. Okazałem się miernym obserwatorem; fatalne wyciągnąłem wnioski; nic już nie mogło przywrócić mi skromnych resztek mojej wiary w siebie i w sens swej egzystencji. Przegrałem.

Gdy przeczytacie te słowa, będę już martwy; mam nadzieję, że owo niespodziewane zakończenie tej opowieści zaskoczy was, a jeżeli nie, to trudno: nawet pośmiertne

zwycięstwo nie stanie się wówczas moim udziałem. Rodzaj śmierci, jaką sobie wybrałem, jest przez swą pospolitą godny jedynie pogardy; dlatego przemilczę go, żeby chociaż w ten sposób ukryć przed wami swoją hańbę i rozpacz.

maj 1980

TWÓRCA

Pamiętam go... Przypominam go sobie przecinającego wzdłuż miejski rynek, wchodzącego na pierwszy stopień gmachu Biblioteki; pamiętam go wychodzącego stamtąd w pośpiechu, uginającego się pod ciężarem wypożyczonych książek i oprawionych w sztywne płótno roczników czasopism. Pamiętam wyraźnie jego twarz: szczupłą, zaciętą, bladą, z zamarłym na niej wyrazem bólu i goryczy. Pamiętam go: krępa, niska sylwetka. Przypominam sobie (wydaje mi się) jego niespokojny, wysoki śmiech. Pamiętam doskonale jego głos: rozbrzmiewających w nim nutek wyższości i pogardy wobec słuchacza nie sposób zapomnieć.

Ta zadziwiająca historia zaczęła się w okolicznościach raczej banalnych, by nie powiedzieć — trywialnych. W salach Pałacu Sprawiedliwości odbywało się właśnie posiedzenie sekcji literatury Annopolitańskiej Akademii Sztuk Wyzwolonych. Uczestniczyłem w tym posiedzeniu jedynie z obowiązku. Obrady, których celem było wyłonienie zwycięscy pewnego poetyckiego konkursu, ciągnęły się od wczesnych godzin porannych i nic nie wskazywało niestety na ich szybkie zakończenie. Bezgranicznie znudzony, postanowiłem zrezygnować z dalszego forsowania kandydatury swego ulubieńca, poety młodego i bardzo źle rokującego, i opuściłem zebranych, kłamliwie zapewniając ich, że niebawem wrócę, by wziąć udział w rozstrzygającym głosowaniu. Skręcając w boczny korytarzyk omal nie zderzyłem się z człowiekiem podążającym w przeciwnym kierunku. Wybąkałem parę grzecznościowych słów i zamierzałem go wyminąć, gdy wtem tamten odezwał się do mnie:

— Pan Lloyd, pan Jefferson Lloyd, czy tak?

— Nie pomylił się pan — odpowiedziałem z lekkim zdziwieniem.

— Chciałbym z panem pogadać.

— Znakomicie — powiedziałem. — Ale o czym?

Uśmiechnął się nieznacznie.

— O czymś, co pana zapewne zainteresuje.

Wyminął nas jakiś nieznajomy. Poczekalem, aż tamten zniknie za zakrętem i zapytałem:

— Czyli o literaturze?

Przytaknął. Coś drgnęło w mojej pamięci i już wiedziałem, z kim rozmawiam. Natręt nazywał się Grali, Robert Grali (choć może nie było to jego prawdziwe nazwisko), i był znany w mieście z wielu dziwactw. Między innymi z tego, że codziennie przesiadywał w miejskiej bibliotece i że żył w osamotnieniu, nikogo nie zaszczycając swoją przyjaźnią. Informacji tych udzieliła mi kuzynka Marta, z którą spacerowałem pewnego wieczoru nadrzecznym bulwarem, zachwycając się jego subtelnym pięknem. Marta powiedziała mi, że Grali często zakłóca porządek publiczny, że regularnie w dwumiesięcznych odstępach upija się do nieprzytomności i że stawał już niejednokrotnie przed sądem. Powiedziała, iż nikt nie wie, w jaki sposób Grali znalazł się w Annopolis ani skąd do nas przybył. Powiedziała, że chyba, sądząc po jego obyczajach, z jakiejś barbarzyńskiej krainy, może z południowych zakątków Terytorium. Oznajmiła mi, że jest on niewątpliwie szaleńcem, ponieważ, zamiast wziąć się do porządnej pracy jak inni, pisze nieprzerwanie jakieś poematy, całkowicie ignorujące zasady poetyckiej wypowiedzi ustalone raz na zawsze przez wielkiego Omara Thubinga, którego wprost uwielbia i którym się dzień w dzień zaczytuje. Grali, kontynuowała, napisał już podobno kilkadziesiąt poematów — nie licząc kilku powieści i opowiadań — ale nikt mu jeszcze niczego nie wydrukował, czemu nie należy się dziwić, zważywszy na ich poziom literacki i na przewijające się w nich erotyczne wątki o wyraźnie skandalizującym posmaku. Na zakończenie dodała, odprowadzając go wzrokiem, iż niektórzy posądzają nawet Gralla o związki godzące w obycza-

jowość i narażające na szwank dobre imię Miasta, ale ona w to nie wierzy. — To tylko plotki i nic więcej — rzekła.

— Czy pan się zgadza?

Nieoczekiwanie dla siebie samego powiedziałem, że tak, nie mając jednak zamiaru dotrzymać obietnicy. Potem oddaliłem się.

*

W niecały miesiąc po tej rozmowie przypadkowo znalazłem się pod domem, w którym mieszkał Grali. Pewne mgliste skojarzenie przypomniało mi o poczynionej niegdyś obietnicy. Postanowiłem, nie namyślając się wiele, dotrzymać jej teraz i odwiedzić Roberta Gralla w jego siedzibie.

Stróż otworzył mi bramę; wsunąłem mu do kieszeni monetę o niskiej wartości i wszedłem na schody. Na trzecim piętrze zatrzymałem się i trzykrotnie zastukałem w najbliższe drzwi. Po chwili pokazał się w nich Grali. Skłoniłem się i rzekłem:

— Skorzystałem z pańskiego zaproszenia, przyszedłem.

— Proszę wejść — usłyszałem. — Spodziewałem się dzisiaj pańskich odwiedzin.

Mieszkanie Roberta Gralla składało się z wąskiej kuchenki i niewielkiego pokoiku. Wnętrze jego kojarzyło się ze składem rzeczy znalezionych; tak bardzo było zagraczone, tyle tam było różnych przedmiotów. Usiadłem na jakiejś skrzyni, podejrzenie wysokiej. Grali zniknął na moment w sąsiednim pomieszczeniu. Rozejrzałem się naokoło — czyni tak wielu ludzi, którzy po raz pierwszy znajdują się w nowym otoczeniu — lecz poza rupieciami nie dostrzegłem niczego godnego uwagi. Gospodarz wszedł do pokoju z tacą w dłoniach.

— Przyjmę pana, jak przystało na annopolitańczyka — powiedział. — Możliwie jak najgościnniej.

— To znaczy tylko szklanką herbaty?

— Tak — odrzekł. — Niestety nie stać mnie na nic innego. Piję wyłącznie najpodlejszą herbatę, jem bardzo mało i dość nieregularnie.

— A z czego pan się utrzymuje?

— Ciekawi to pana? Przecież przyszedł pan na dyskusję o literaturze.

Nie chce powiedzieć, pomyślałem. Pewnie uważa, że praca, jaką dorywczo podejmuje, żeby przetrwać do następnego dnia czy tygodnia, upokarza go jako pisarza.

— Strasznie ma pan zagracone mieszkanie, panie Grali.

— To nie moja wina, lecz tych, którzy wynajmowali je przede mną.

— Nie mógł pan pozbyć się przynajmniej niektórych z tych sprzętów?

— W zasadzie mógłbym, ale to by trochę kosztowało.

— A co na to właściciel lokalu?

— Jego to nic nie obchodzi. On interesuje się tylko tym, czy płacę w terminie komorne.

— A płaci pan?

— Nigdy.

— I jeszcze pan tu mieszka?

— Gdzieś muszę.

— Z tego właśnie powodu pana nie wyrzucają?

— Proszę pić herbatę. Słodzona!

Uniosłem szklankę do ust. Napój nie smakował mi. Był rzeczywiście w nie najlepszym gatunku.

— Nic na to nie poradzę — powiedział obserwując wyraz mojej twarzy. — Wierzę, że ta herbata jest fatalna, lecz lepszej nie mam.

Przelknąłem drugi łyk.

— Zapraszając mnie tutaj — rzekłem po chwili — powiedział pan, że chce ze mną rozmawiać o literaturze. Z przyjemnością przyjąłem pańskie zaproszenie. Nie oznacza to jednak, że gotów jestem rozprawić na ten temat w nieskończoność. Rozumie pan; mój czas jest cenny. Nie stać mnie na trwonienie go na jałowe dysputy.

Grali, słysząc te słowa, poruszył się niespokojnie na

krześle. Gdy skończyłem i rozpocząłem przygotowania do nabicia fajki, popatrzył na mnie ironicznie i zapytał, czy naprawdę takie jest moje zdanie w tej kwestii, bo on w to osobiście nie wierzy, o czym mnie szczerze informuje. Wtedy po raz pierwszy spostrzegłem, że Robert Grali mną gardzi, że bynajmniej nie czuje przede mną respektu. Pomyślałem, iż Grali gardzi zapewne wszystkimi. Sprzyjają temu jego samotność i jego barbarzyńskie pochodzenie, utrudniające mu wtopienie się w społeczną tkaninę miasta i wrośnięcie w nią na stałe. Pomyślałem również, że jako barbarzyńca — czy raczej: półbarbarzyńca i mieszaniec — jako człowiek, którego świadomość jest opanowana przez fakty i zjawiska pochodzące z różnych kręgów kulturowych, nie może czuć się dobrze w naszym mieście, tradycyjnie mieszańcom i barbarzyńcom niechętnym, by nie rzec — wrogim; tym bardziej, iż na pewno zdaje on sobie sprawę z rozmiarów owej niechęci i z jej nieustającego oddziaływania na przeszłość i terażniejszość Annapolis. (Przeszłość bowiem i przyszłość wiążą się ze sobą w sposób nierozzerwalny; pomiędzy nimi biegnie cienka, nieomal niezauważalna nić, odznaczająca się jednak ogromną siłą i trwałością; relacje między zjawiskami dziejącymi się w przeszłości i współcześnie nie są wprawdzie oczywiste i jednorodne, ale istnieją niewątpliwie; informacje, jakie czerpiemy z historii, wpływają na nasze życie, na stan naszej świadomości, na nasze wyobrażenie o terażniejszości.) Grali jako potomek tych, którzy nigdyś władali Miastem, świetnie to wszystko rozumie — nie należy zapominać, że jest on przynajmniej w części intelektualista, i to intelektualistą zbuntowanym, mieszańcem — i nie potrafi pogodzić się z tym, że obecnie to my właśnie jesteśmy górą; że to naszych poleceń musi słuchać, przez nas uformowanym prawom się poddawać. Przeszłość ciąży mu i kładzie się nieznośnym ciężarem na jego świadomości; chciałby się jej pozbyć, lecz jest to niewykonalne. Więc Grali cierpi. I nienawidzi. Nienawidzi nas, mieszkańców Miasta, za nasz końcowy triumf.

Nienawidzi cywilizacji, która zwyciężyła jego przodków i pobratymców, równocześnie jednak jej pożądam — chodzi przecież pilnie do bibliotek, chłonąc nagromadzoną w nich wiedzę. Gardzi nami, niby słabszymi duchem i ciałem, ale i zarazem nas potrzebuje. Wie, że nigdzie poza Annopolis żyć nie może. Domyśla się, że jest na nie skazany. Lecz jednocześnie pragnie się wyzwolić spod jego wpływu. Liczy, iż mu się to powiedzie. Można powiedzieć, że jest on pełen ufności we własne siły; nie rozumie jeszcze, nieopierzony młokos, że życie człowieka jest nieustającym pasmem porażek.

Nie wiem, czego spodziewa się Grali po rozmowie ze mną. W każdym razie rozpoczął już swoją grę. Zapraszając mnie do siebie ustalił jej zasady. Chwilowo posiada nade mną przewagę. Nie orientuję się bowiem, do czego on zmierza. Ale dowiem się tego, w to nie wątpię.

Zapaliłem fajkę i jałem wypuszczać dym w jego stronę. Skrzywił się z dezaprobatą, ale nie wyrzekł ani słowa. Milczeliśmy. Cisza, która zapanowała po ostatnim pytaniu Gralla, przeciągała się nieznośnie. Właściwie to nie tyle było pytanie, co stwierdzenie, i dlatego nie odpowiadałem na nie. Grali zaś, jako osobnik chorobliwie ambitny, też nie chciał wznowić rozmowy, pragnąc zrzucić na mnie ciężar jej podjęcia. Wreszcie uległem, zniecierpliwiony. Powiedziałem:

— Skoro więc mi pan nie wierzy, to dlaczego zaprosił mnie pan do siebie? Nie wyciągamy przecież ręki do tych, którzy nie cieszą się naszym zaufaniem...

— Nie zrozumieliśmy się. Nie powiedziałem, że nie ufam panu w ogóle. Powiedziałem, że nie wierzę tylko, aby pański czas był aż tak cenny, żeby istotnie trudno panu było znaleźć lukę w szczelnie wypełnionym dniu.

— Założmy, że jest tak naprawdę. Po co jednak miałbym kłamać?

— Z pychy — wycedził. — Z nadmiernie rozwiniętego poczucia własnej wartości.

Odpowiedź to była nader Znamienna dla tego, co wydarzyło się później. Oskarżaliśmy się nawzajem, werbalnie i niewerbalnie, o różne nieprzyjemne sprawy i cechy charakteru nie pozostając sobie dłużni ani przez chwilę, aż wreszcie znudzony i poirytowany wstałem ze sprzętu imitującego krzesło i zbliżyłem się do drzwi.

— Mam prośbę do pana — powiedział wyciągając w moją stronę dłoń z jakimś pakunkiem. — Mógłby pan to przeczytać?

Paczka nie wyglądała na specjalnie ciężką; odruchowo podrzuciłem ją do góry i zapytałem:

— W jakim terminie?

— To obojętne — odparł.

— Więc do zobaczenia za miesiąc.

— Do zobaczenia, panie Lloyd — powiedział.

*

Dostarczone mi przez Roberta Gralla maszynopisy nie były, wbrew temu co pierwotnie sądziłem, rękopisem okazałych rozmiarów powieści, lecz zbiorem tekstów dość niejednorodnych, wśród których ujrzałem kilka średniej wielkości opowiadań, kilka esejów czy szkiców, parę miniaturek o przypuszczalnie frywolnej treści oraz jeden manifest programowy napisany na maszynie o drobnej czcionce, co sprawiało, że jego rzeczywista objętość była większa, niż się to na pierwszy rzut oka wydawało. W tekście tym Grali wyłuszczał swoje poglądy na literaturę, na jej sens i istotę. Z racji swych literackich zainteresowań lekturę rękopisów zacząłem właśnie od tego ostatniego materiału, dziwiąc się trochę, że w przekazanej mi przez Gralla paczce zabrakło wierszy czy poematów, które ten przecież również pisał, o ile Marta mnie nie okłamała.

Grali z właściwą swemu wiekowi zapalczywością twierdził, że jedynym, co może w ostatecznym rozrachunku usprawiedliwić istnienie literatury, jest jej atrak-

cyjność, którą rozumiał dwojako: jako atrakcyjność „czytelniczą”, co chyba nie wymaga komentarza, oraz jako atrakcyjność myślową, intelektualną — to drugie oznaczało, że konstrukcje logiczne wznoszone w obojętnej noweli czy powieści zawsze — lub prawie zawsze — powinny dostarczać materiału do intelektualnych przemyśleń. Grali pisał: „...pomysł ograny do cna, zużyty i wytarty wart jest mniej niż nic: mniej, ponieważ nie tylko nie pobudza do myślenia, lecz odwrotnie, zniechęca do niego, usypia i drażni. Powielanie przez literaturę, a zwłaszcza przez powieść psychologiczną, ciągle tych samych motywów i wątków jest zbrodnią, na którą nie ma kary. Żaden dyktator, żaden zbrodniarz nie wyrządzili tyle zła ludzkości, co kręcąca się w kółko jak pies dokoła własnego ogona powieść zwana eufemistycznie psychologiczną”. Cytat ten pochodzi ze środkowej partii manifestu, najgęściej zaludnionej zarzutami pod adresem współczesnej prozy.

Od przedstawionej reguły Grali dopuszczał jednakże pewne wyjątki; na stronicy dwudziestej czwartej zanotował: „Nonsensem i niewybaczalną głupotą byłoby wszelako trzymać się powiedzianego za wszelką cenę i za nic w świecie od sformułowanych raz zasad nie odstępować. Takie postępowanie cechuje jedynie umysły słabe i bojaźliwe; tak postępują tylko ci, którym niebiosy poskąpiły swoich łask. Jeśli rzekliśmy (ta liczba mnoga! — przyp. mój, J.L.), kierując się jak najszczerszym przekonaniem, że literatura powinna z jednej strony być dostarczycielką duchowych przyjemności, a z drugiej — winna inspirować i pobudzać do myślenia, to nie oznacza to wcale, że nie potrafimy sobie wyobrazić sytuacji, w której ów postulat byłby nie do zrealizowania. Można sobie coś takiego wyobrazić. Nie zawsze wielkie konstrukcje filozoficzne i intelektualne dadzą się przyoblec w atrakcyjną, jakby zmysłową fabularną tkanę i nie z każdej fabuły można wykrzesać coś, co pobudzałoby odbiorcę do myślenia. W tego typu sytuacji trzeba jednak

upierać się przynajmniej przy jednym z tych postulatów: obojętnie, przy którym. Pisanie bowiem powieści o niemrawo toczącej się akcji i zarazem nie wnoszących niczego nowego do skarbca ogólnoludzkich prze-myśleń jest zajęciem tyleż niewdzięcznym co nonsensownym i żadna literacka poprawność, żadne walory formalne czy poznawcze niczego tu zmienić nie mogą!”.

Powieść psychologiczna nie była jedyną, do której Grali odnosił się z niechęcią. Nie wzbudzała w nim także entuzjazmu proza obyczajowa (acz cenił wysoko dzieła Remana Kwintyriusza, ale nie z tych powodów, dla których przywykliśmy je czytywać), a już najmniej podobala mu się literatura spod znaku małego realizmu, którą wręcz odsadzał od czci i wiary zarzucając jej nieznośne nudziarstwo i rozpaczliwe babranie się w tkance codzienności.

W ogóle Grali przejawiał, jak się zdaje, pewną obsesję na punkcie nudy. Wszystkim gatunkom literackim zarzucał, że zanudzają czytelnika, miast go rozbawić. Powieść sensacyjna według niego była też nic niewarta; albowiem „...liczba możliwych kombinacji w prozie detektywistycznej nie jest nieskończona. Przeciwnie, jest ona nader skromna. Zawsze jest jakaś ofiara, jakiś zbrodniarz, zawsze na jej kartach spotykamy przenikliwego detektywa, który w końcu, nawet błędząc po omacku, mordercę wytropi. Pomysłowość autorów ogranicza się tylko do uniemożliwienia lub utrudnienia odbiorcy domyslenia się pointy wcześniej, aniżeli dany pisarz sobie tego życzy. Cóż jednak ma uczynić ten, kogo nie interesuje osoba sprawcy, a chciałby się przy lekturze zabawić choć odrobinę? Nic nie może uczynić; co najwyżej powiesić się z rozpaczy.”

Trochę lepsze miał Grali mniemanie o literaturze fantastycznej, aczkolwiek bynajmniej nie pałał do niej miłością gorącą i nie znającą granic. Spośród licznej rzeszy renomowanych autorów piszących o sprawach odbiegających od naszego potocznego wyobrażenia o świę-

cie, w którym żyjemy, upodobał sobie tylko dwa nazwiska: Allena Douda i Maxa Plancka. Innych, a więc także Luciusa, Bothę, Simova i Allarda, czyli pisarzy hojnie obdarowanych rozmaitymi nagrodami i niezmiernie popularnych wśród annopolitańskich czytelników, nie považał wcale, uważając, że są to najwyżej zręczni beletryści, a nie wysokiej rangi twórcy.

Grali pisał o Doudzie bardzo ciepło, wychwalając jego zasługi ponad rozsądną miarę, lecz najwięcej entuzjazzmu wzbudziła w nim twórczość Maxa Plancka, bibliotekarza z zawodu (od razu dodajmy, że Planck, podobnie jak Grali, był mieszkańcem — wyjaśnienie owo uważam za nieodzowne; w niektórych kręgach mawia się nawet o istnieniu groźnego sprzysiężenia mieszkańców, pragnących jakoby zguby Miasta i wyjąłowania jego wspaniałej kultury; nie wiem, doprawdy trudno mi rzec, na ile można wierzyć tym posądzeniom).

Zmarły przed szesnastoma laty Planck wydał na krótko przed śmiercią dwutomową *Historię powszechną*. Był to najbardziej przewrotny utwór, jaki kiedykolwiek czytałem (powtarzam owo określenie za Robertem Grallem). Nie miało to nic wspólnego z dziejami powszechnymi ani z jakimikolwiek innymi. Nie była to w ogóle historia; przynajmniej nie historia naszej planety.

„Oto staje nam przed oczyma — pisał Grali — obraz wyśnionego świata, świata prawie doskonałego w swej kompozycji i obfitującego w liczne prawdopodobne szczegóły. To, czego dokonał Planck, może budzić tylko najwyższe uznanie. Wymyślić sobie całą planetę, cały świat, z jego lądami, kontynentami i morzami, z zaludniającymi go mieszkańcami rozmaitych ras i narodowości, z jego florą i fauną to rzecz wprost niepojęta. Lecz najbardziej zaskakuje to, że Planck na tym nie poprzestał. Że wyobraził sobie również związki zachodzące pomiędzy tymi ludźmi, że opisał ich takimi, jakimi są, jakimi mogliby być, gdyby nie istnieli wyłącznie w umyśle Maxa Plancka i na kartach jego pięknie wydanej *Hi-*

stori.

Dzieło Plancka nie zdobyło uznania w oczach annopolitańskiej krytyki, zajętej jałowymi sporami o sens i rangę literatury we współczesnym świecie. Odbiorcy również nie wybuchnęli entuzjazmem z powodu ukazania się tej pozycji. Sprawiała to bezmyślność księgarzy, którzy zaklasyfikowali ją jako książkę historyczną, co natychmiast zmniejszyło jej szanse na rynku czytelnictwa. Jako książka fantastyczna sprzedawałaby się znacznie lepiej, konkludował Grali, i w tym przypadku przyznałem mu słusność.

Manifest Roberta Gralla kończył się następującym stwierdzeniem: „Najważniejszą dla literatury sprawą jest przywrócenie w niej właściwego znaczenia takim wartościom, jak treść dzieła i jego literackie ucieleśnienie — fabuła. Bez nich bowiem proza jest martwa. Literatura nie istnieje bez czytelnika (prędzej już może egzystować bez krytyka i teoretyka); ażeby go zdobyć na nowo, trzeba koniecznie pisać książki ciekawe i atrakcyjne, nie zaś zanudzające od pierwszych stron, co może się obyć nawet kosztem misji, którą ma jakoby do spełnienia, i kosztem jej wartości poznawczych, które są często jedynie przykrywką dla pisarskiej nieudolności. Tak czy owak powieść marnie ostatnio wypada w roli badacza i historyka naszej epoki...”

Odłożyłem tekst na bok i zacząłem czytać opowiadania Gralla. Przyznaję, że prawie od razu doznałem uczucia dużego rozczarowania. Grali nie potrafił praktycznie zrealizować swych postulatów. Lektura jego utworów przychodziła mi z trudem; mozolnie przebijałem się przez kolejne rozdziały. W pierwszej noweli wojska maszerowały przez długi wąwóz, u którego kresu spodziewały się zaista gotowego do walki przeciwnika. Nie wiadomo było, co to za armia, kto nią dowodzi ani z czyjzego rozkazu podąża owym wąwozem. Nic nie wspominało się o wrogu poza krótką wzmianką, że jest krwiożerczy i bitny. Z rozmów żołnierzy można było nadto wywnioskować,

że uprawia on z zapałem kanibalizm. Grali prowadził swe niezwyciężone oddziały (była to jedna z nielicznych konkretnych informacji, jakiej się doszukałem; reszta ociekała dwuznacznością i niezdecydowaniem) przez bite trzydzieści stronic utworu, noszącego oszukańczy tytuł *Lot nad orlim gniazdem*. Prowadził je i prowadził, i poza tym nie działo się nic godnego uwagi. Nie mogłem się doczekać końca opowiadania. Finał był zaskakujący. Wojska wyszły wreszcie z owego wąwozu i pomaszerowały zaraz w następny. Ostatnie zdanie *Lotu* brzmiało: „I stało się wtedy to, co przepowiedziała wyrocznia; lunął deszcz i nakrył swym zimnym płaszczem wrażą armię.”

Zdanie owo było tak samo niejednoznaczne, jak i pozostałe. Wrogą armię? Dlaczego wrogą? O jaką armię tu właściwie chodzi? Grali nie odpowiadał na to pytanie. Był on w ogóle niechętnie ustosunkowany wobec perspektywy udzielania jakichkolwiek wyjaśnień. Nowela nie była całkowicie wolna od grzechu symbolizmu. Ale nic więcej o niej wolałbym nie mówić.

Inne opowiadania też były symboliczne, jedno bardziej od drugiej *Pokława* i *Nur-Al-din* tym tylko różniły się od poprzedniego, że liczyły sobie znacznie mniej stronic, bo w sumie szesnaście. Ich treść była w zasadzie identyczna. Wojska szły i szły, wspinając się na coraz to wyższe partie gór, świeciło słońce, od czasu do czasu popadywało i to było wszystko. Wróg był niewidoczny, lecz realnie istniejący. Żołnierze wyczuwali jego obecność, brakowało im jednak na nią choćby najskromniejszych dowodów. Ale nie szukali ich. Parli wciąż naprzód, pragnąc za wszelką cenę spotkać się z nieuchwytnym przeciwnikiem. Gdy ostatecznie do tego dochodziło, następowało nowe rozczarowanie i bohaterowie z powrotem podejmowali swą nużącą wspinaczkę.

Na tym zakończyłem szczegółową lekturę tekstów Gralla. Eseje i szkice przejrzałem nader pobieżnie, nie znajdując w nich nadmiaru odkrywczych sformułowań, miniaturkami wzgardziłem. Następnie zgarnąłem to wszy-

stko w jeden stos i postanowiłem odesłać mu jak najszybciej, dołączając do przesyłki krótki list, w którym chciałem wytknąć mu jego megalomanię i myślowe ubóstwo i na tym poprzestać. Potem jednak, już układając się do snu, zamiar zmieniłem. Pomyślałem, że stać mnie przecież na odbycie z nim kolejnej rozmowy. Ufałem, że uda mi się pokazać mu zgubne skutki jego arogancji i wytłumaczyć, że zapalczywość i niezbite przekonanie o własnej wartości do pewnego stopnia pomagają w uprawianiu pisarskiej sztuki, ale na dłuższą metę nie popłacają. (Gdybym już wówczas znał rozmiary megalomanii Gralla, nigdy bym na taki pomysł nie wpadł.) I z tym postanowieniem zasnąłem, śniąc całkiem przyjemny sen, wolny od wszelkich debutantów i wszelkiej literatury.

*

— Więc przyszedł pan znowu? Zapoznał się pan już z moimi rzeczami?

Gwałtowność tych pytań uzmysłowiła mi, że przecież rozmawiam z mieszkańcem, i zaraz poczułem do Gralla silną niechęć. Jako człowiek Miasta nie znoszę mieszkańców; być może już o tym mówiłem.

— Tak — powiedziałem.

— I co pan o nich sądzi?

Rozejrzałem się naokoło. Staliśmy w kuchni. Grali nie wpuszczał mnie do środka, tarasując drzwi.

— Pozwoli mi pan usiąść? To nie temat na krótką rozmowę.

— Ależ naturalnie. Dlaczego pan nie wchodzi dalej? Proszę! — i zwolnił przejście, cofając się do pokoju. Lekko zirytowany (irracjonalne zachowanie Gralla zaczynało niekorzystnie oddziaływać na mój system nerwowy, i bez tego poważnie nadszarpnięty) przekroczyłem próg.

Nic się w tym mieszkaniu nie zmieniło. Jego standard był tak samo niski jak poprzednio. Może tylko przyby-

ło parę sprzętów, co nie oznacza, że pokój Gralla coś na tym zyskał. Przeciwnie, poruszanie się w nim było jeszcze bardziej utrudnione. Potykając się o różne przedmioty o nieznanym przeznaczeniu przewędrowałem odległość między wejściem a ścianą i znowu usiadłem na tej samej niewygodnej skrzyni, która podczas pierwszego spotkania tutaj tak mocno dała mi się we znaki. Grali poszedł do kuchni parzyć herbatę. Sprowokowało to mnie do wysunięcia nieśmiałego przypuszczenia, że w historii nic się nie zmienia; że każda epoka jest podobna do drugiej lub wręcz z nią tożsama; że proces historyczny nie istnieje; że w obojętnym temporalnym przedziale Robert Grali zawsze maszeruje do kuchni parzyć dla mnie herbatę. Najgorsze, pomyślałem, że to na pewno będzie herbata o podłej jakości. Jeżeli to się sprawdzi, to już nic i nikt nie odwiedzi mnie od przekonania o powtarzalności dziejów.

Herbata była podła. W finansach Gralla niewiele uległo zmianie. Postanowiłem wystarać się mu o jakieś stypendium; może wtedy będzie częstował mnie lepszymi trunkami.

— No i co pan myśli o moim pisaniu?

— Nic — odpowiedziałem obojętnie, pociągając solidny łyk. Zasepił się.

— To przecież niemożliwe. Coś o tym pan sądzić musi.

— Tak pan uważa? A skąd pewność, że to przeczytałem?

— Tak przypuszczam.

— Przypuszczenie nie jest jeszcze pewnością. A jest ona konieczna, aby móc w ogóle wydawać jakieś sądy.

Milczał przez chwilę.

— Myli się pan. To wcale nie jest niezbędne do wyrokowania. Można to uczynić i bez tego.

— Zgadza się z panem. Znam wielu takich, którzy wydają swoje opinie, nie mając ku temu żadnych podstaw.

—Ja też spotykam się z takimi ludźmi.

—No widzi pan. Nareszcie doszliśmy do porozumienia. Chyba po raz pierwszy.

— Czy oznacza to — zapytał — że to, co napisałem w manifeście, pana nie przekonuje?

—Nie do końca.

—Ale częściowo się pan ze mną zgadza?

—Tak.

—To jest już coś — powiedział. — Obawiałem się, że pan odrzuci moje poglądy w całości.

—Nie ośmieliłbym się tego zrobić z niczymi poglądami.

—Zatem uważa pan, że każde zdanie jest w jakiś sposób prawdziwe?

—Wniosek ten wydaje mi się logiczny.

— Czyli że przyznał mi pan ułamkową rację bardziej z zasady aniżeli z przekonania?

— Nie. Niektóre argumenty pana przekonały mnie naprawdę.

—Jakie argumenty?

—Może nie tyle argumenty, co pańska ogólna prognoza co do stanu faktycznego literatury.

— A droga, jaką pokazałem, nie sądzi pan, że jest ona słuszna?

— Myślę, że jest to jedna z możliwych. Dopuszczałbym jednak również inne.

Ponownie umilkliśmy. Zacząłem się zastanawiać, czy mój zamiar odbycia z Robertem Grallem długiej i szczerzej rozmowy jest zamierzeniem należycie umotywowanym, racjonalnym. Zwątpiłem w możliwość porozumienia się ludzi między sobą; pomyślałem, że być może, jest to niemożliwe, nierealne.

— Zasadniczą cechą literatury — odezwał się nagle Grali — tym, co odróżnia powieść od dzieła naukowego, jest, jak mi nie mam, jej walor jako dzieła sztuki, jako wytworu artystycznego, i — jest to drugi wyróżnik powieści — jej „nośność”, czyli coś, co sprawia, że powieść

jest przyjemniejsza w odbiorze od książki naukowej. Wprawdzie mówi się, że uczoney, który nie potrafi wytłumaczyć swej teorii siedmiolatkowi, to nie naukowiec, a szarlatan, ale nie jest to prawdą przestrzeganą konsekwentnie ani przestrzeganą w ogóle; zatem powieść od dzieła naukowego odróżnia jej atrakcyjność, którą niezależnie od posiadanego bagażu intelektualnych przemyśleń powinna się ona wykazywać. Gdy powieść jest nieciekawa, traci na wartości, to chyba jest oczywiste...

— Naturalnie! — potwierdziłem, myśląc, że jego pycha jest nie do przewyciężenia. W jaki sposób miałem mu wykazać, że go to w końcu zgubi? Naprawdę nie wiedziałem, jak to zrobić.

— Jej wartość jest też mierna, gdy nie można dojrzeć choćby najskromniejszych śladów literackiego pomysłu. Ale co uczynić w sytuacji, gdy pomysł jest, gdy bagaż przemyśleń jest tak wielki, że przytłacza on swoim ciężarem resztę, rozwalając w puch wewnętrzną spójność utworu? Pamiętajmy wszakże, iż dzieło literackie jest swego rodzaju organizacją, co pociąga za sobą określone zobowiązania. Jednym słowem, czy to będzie jeszcze powieść, czy coś innego? Jakie są granice pojemności informacyjnej dzieła? Jakies być muszą, nie sądzi pan? Tkanina fabularna nie jest przecież nieskończenie rozciągliwa. Ile można w nią treści zmieścić?

— Proszę mówić dalej. („Dużo. Więcej, niż on myśli”.)

— Sposobem na uniknięcie odpowiedzi na to pytanie jest zarzucenie fabuły. Metoda inwersyjna opowiadania ma jednak swoje wady. Da się w niej pomieścić bardzo wiele, więcej niż w tradycyjnym sposobie prowadzenia narracji, lecz skutek jest taki, że czytelnik traci kontakt z dziełem, bo nuży go i zniechęca do zawartych w nim koncepcji. Ponadto na jakże wysokim stopniu uogólnienia i abstrakcji muszą być te przemyślenia prowadzone, aby przyjęcie metody inwersyjnej było w ogóle zasadne! Najgorzej zaś, gdy książka nie jest ani ciekawa, ani po-

uczająca. Czy jest to częste? Bezwzględnie tak. Powstają wciąż nowe powieści, lecz ich autorzy piszą ciągle o tym samym: o człowieku, o miłości, samotności, lub zajmują się rozmaitymi dewiacjami psychicznymi, co jest przynajmniej choćby w części interesujące.

— Istota człowieczeństwa się nie zmienia; literatura zawsze zajmowała się jednostką, towarzyszyła człowiekowi w jego powodzeniach i niepowodzeniach, sukcesach i klęskach.

— Nie usprawiedliwia to jednak bezustannego odkrywania prawd powszechnie wiadomych.

— Tym się zajmuje sztuka; dochodzeniem do sedna rzeczy i zjawisk — uczeniem, jak żyć, wskazywaniem na najcenniejsze dla człowieka wartości.

— Pan, obracając się nieprzerwanie w kręgu przebrzmiałych pojęć, dąży jawnie do sakralizacji literatury i sztuki. Znaczy, jest pan obrońcą swego poglądu, głęboko zakorzonego w umysłach intelektualnych elit. Intelektualista czy poeta z reguły w Boga nie wierzy, bo sam jest dla siebie demiurgiem; jest to klasyczny przykład połączenia egzaltacji z megalomanią. Wielu ludzi uważa się za równych bóstwu; pogląd ten jest pochodną — a nade wszystko naśladownictwem — wieków ubiegłych, przepojonych optymizmem i wiarą w nieograniczone możliwości naszego gatunku. Teraz wychodzi na jaw, że przekonanie owo było fałszywe. W nauce panuje zamęt i nieład, fizycy zastrzegają się przed uznaniem ich teorii za skończone i niepodważalne, ludzkość zatraciła już swój dziecięcy optymizm. Tylko poeci i im podobni trwają na dawnych pozycjach. Sakralizują to, co robią, żeby podnieść swoje znaczenie. Ludzkie to, ale niepoważne. Powołanie, natchnienie, misja literatury, jej obowiązki względem narodów i społeczeństw — to wszystko służy temu, by podnieść literaturę do rangi religii. Zeświecczyliśmy już życie publiczne — obecnie kolej na państwo literatury. Najgorsze i najzabawniejsze, że o powołaniu krzyczą najgłośniej ci najmniej utalentowani.

Jasne, jak sił umysłowych nie staje, to trzeba radzić sobie jakoś inaczej. Czy Max Planck, pisarz, który był zdolny do wyobrażenia sobie całej planety z jej historią, kontynentami i morzami, był megalomanem? A przecież stworzył on drugie Terytorium, łudząco przypominające świat, w którym żyjemy...

—Max Planck był megalomanem. Pamięta pan chyba, że wśród uczonych szczególnie zasłużonych dla rozwoju nauk ścisłych na tamtej planecie, którą można w jakiś sposób uznać za dopełnienie naszej, obok takich różnorodnych i niezdecydowanych nazwisk jak Einstein, Infeld, Dirac, wymienił swoje własne: Max Planck, twórca teorii kwantów.

— I jest to według pana dowód na jego megalomanię?

— Tak.

— A co pan uczyni, gdy przedstawię argumenty zbijające pańską tezę?

— Nie ma takich argumentów; ani tutaj, ani na tym świecie wymyślonym przez Plancka.

Robert Grali umilkł na chwilę; jakby zbierał siły potrzebne mu do przeprowadzenia nowego natarcia. Gdy odezwał się znowu, zaniepokoiłem się.

— Proszę zastanowić się nad taką hipotezą — powiedział, mocno akcentując sylaby. — Istnieją dwa światy równoległe do siebie i w normalnych okolicznościach nie stykające się ze sobą. W jednym z nich mieszkamy my, w drugim ludzie do nas podobni, ale nie identyczni z nami. Światy owe zajmują tę samą przestrzeń terytorialną, lecz nie przeszkadzają sobie wzajemnie, funkcjonują jeden obok drugiego. Dzieli je bariera utkana z jakiejś delikatnej materii, na przykład ze snów. I nagle w pewnym momencie bariera pęka; błąd w sztuce, niedopatrzenie Strażnika Universum? Każde z tych wyjaśnień jest możliwe. Przez powstałą lukę przypadkowo przenika jeden osobnik: Max Planck. Wdziera się na tamto Terytorium, spostrzega swą pomyłkę, pragnie zawrócić — nie udaje mu się to. Przerwa już się zabiżniła albo nie

potrafił jej odszukać. Musi więc tam zostać. Zrzuca skórę bibliotekarza, staje się genialnym fizykiem. Po jakimś czasie wraca z powrotem — sprowadzony przez Demiurga? Wraca i pisze swoją *Historię*. Książka ta to dzieje tamtego świata, świata istniejącego naprawdę, nie w umyśle Plancka. Wie pan, jak doszedłem do tego wniosku?

— Nie — powiedziałem.

— Max Planck zrobił to za dobrze. Opisał tamtą planetę nazbyt dokładnie, żeby złożyć to tylko na karb jego niespokojnej wyobraźni. Gdy przeczytałem tę książkę, od razu pomyślałem, że jej doskonałość ma w sobie coś nieludzkiego, boskiego. To była dla mnie autentyczna uczta duchowa, ale uczta przerażająca. Aż dziw bierze, że krytycy literaccy nie zauważyli *Historii przeszłości...*

Milczałem.

— Planck, nie chcąc, aby zbyt łatwo domyślono się prawdy, połączył ze sobą elementy z historii obu tych światów, naszego i równoległego, i w ten sposób powstało dzieło niecodzienne, według powszechnie przyjętych norm klasyfikacyjnych historyczno-fantastyczne. Natchnęło to mnie myślą, czy aby w tym kierunku nie powinien pójść dalszy rozwój prozy; właśnie drogą takich krzyżówek. Bowiem kryzys przeżywają wszystkie gatunki; z tym chyba się pan zgodzi. Nieco urozmaicenia wprowadzają jedynie eksperymenty językowe, lecz to za mało. Gdyby jednak pójść tą drogą i pisać prozę intergatunkową, to w przyszłości coś mogłoby się z tego wykluć. Byłoby to zresztą zgodne z ogólnymi trendami rozwojowymi, ponieważ na przykład w nauce badania z pogranicza różnych dyscyplin żadną już nowością nie są i dają niekiedy niezłe rezultaty, a musimy pamiętać, że procesy zachodzące w literaturze nie są czymś autonomicznym i wyjątkowym, ale odbiciem — a przynajmniej powinny nim być — procesów zachodzących w społeczeństwie. To zaś bezspornie ewoluuje coraz szybciej i gwałtowniej — możemy bodaj nawet mówić o jakichś paroksyzmach roz-

wojowych — a literatura nie potrafi tych zmian rozpoznać i zarejestrować ich w powieściowy sposób. Proza nie jest obecnie w stanie opisać rzeczywistości, robi to co najwyżej marginalnie i po kawałku, miast pokusić się o coś więcej...

— Powiedział pan, że obowiązkiem literatury jest zrelacjonowanie rzeczywistości. A przecież w swym manifestie negował pan poznawcze funkcje prozy. Czyli że przeczy pan sobie...

- Nic tyle zanegowałem, co rzekłem, iż jeżeli już to ma być nudne, to lepiej niech tego nie będzie w ogóle. Epoka obecna jest epoką dynamiczną i trzeba, pisząc powieści czy opowiadania, pamiętać o tym. W zeszytych stuleciach czas płynął wolniej, więc i w literaturze działo się niewiele. Można tu skorzystać ze zdobyczy powieści sensacyjnej, której istotą jest akcja wartka i pełna urozmaiceń; oczywiście nie zawsze tak jest, tylko wtedy, jeżeli mamy do czynienia z czołowymi utworami tego gatunku...

Zrozumiałem w tym momencie, jakie cele przyświecają mieszkańcom. Mówi się, że pragną oni podstępem zawładnąć naszą kulturą i wyjąłować ją ze wszelkich autentycznych wartości. Twierdzenia owe nie są niestety bezpodstawne. Grali, snując swe rozważania, dostarczał mi na to wciąż nowych dowodów. Pojąłem też, że zaaranżował spotkanie ze mną nie po to, ażebym mógł ocenić jego pisanie, lecz dlatego, aby mnie przeciągnąć na swoją stronę. Jak na dłoni ujrzałem teraz całą perfidię Roberta Gralla. Tu nie szło wcale o mnie, o moje nieistotne zdanie, byłem tylko jednym z elementów mozaiki, jednym z licznych jej elementów. Podobne rozmowy pewnie prowadzi obecnie wielu moich kolegów. Wszyscy są przekonani o konieczności dokonania radykalnej reformy literatury. Przeraziłem się perspektyw rozciągających się przed nami po ewentualnym sukcesie mieszkańców. Do głosu doszliby wtedy czytelnicy i oni zaczęliby rządzić literaturą, a to oznaczałoby jej koniec, tak przynajmniej

myśle — jako smakosz i krytyk z licznymi zasługami.

— Widzę, że jest pan zmęczony — powiedział.

Ocknąłem się z zamyślenia.

— Rzeczywiście — przytaknąłem.

Wstał z krzesła.

— Odprowadzę pana. Zdaje się, że idziemy w tym samym kierunku.

Wyszliśmy z mieszkania wynajmowanego przez Gral-la. Zastanowiłem się, czy czasami nie płacą za nie jego duchowi przewodnicy, których polecenia wykonuje, i wcale nie uznałem tej możliwości za nieprawdopodobną.

Niebo było zachmurzone, nabrzmiąte, ale nie spadała z góry ani jedna kropla. Powietrze było ciężkie, parne; zdecydowanie zanosilo się na burzę. Szliśmy długą ulicą, wzdłuż szarej linii starych kamienic. Ciągłe nie padało — może dlatego, że żaden z nas nie zabrał parasola.

— Skreca pan tutaj? — zapytał nagle Grali.

Popatrzyłem przed siebie.

— Nie — powiedziałem. — Idę z panem.

— A skąd pan wie, dokąd zmierzam?

— Intuicja mi to podpowiada.

Umilkł na moment.

— Dobrze — rzekł. — Pójdźmy tam razem.

Zauważyłem, że coś się zmieniło. Czynszowe kamienice zniknęły już nam z oczu; zamiast nich pojawiły się jeszcze bardziej nadzarte zębem czasu rudery, o których, gdyby nie unoszący się nad nimi dym, można by bez ryzyka omyłki powiedzieć, że nikt w nich nie mieszka. Szliśmy bardzo długo, nieskończenie długo, lecz droga nie wydawała mi się nużąca, co zawdzięczam bardziej krajobrazowi niż swoim myślom. Tak doszliśmy do celu naszej wędrówki.

Pierwszy zatrzymał się Grali.

— Spodziewał się pan, że go tutaj przyprowadzę? — zapytał.

Skłamałem; oznajmiłem, że tak. Nie odezwał się natychmiast, dopiero po chwili usłyszałem jego dziwnie

wibrujący głos:

—Tak, wierzę panu. Nie dokończyliśmy wówczas naszej rozmowy i musimy to zrobić obecnie... — przerwał, a potem zaczął znowu z wzrastającą pewnością: — Wiem, że podejrzewa pan mnie i ludzi mi bliskich o działanie na szkodę miasta, na szkodę jego wspaniałej kultury, ale obawy te są bezpodstawne. Nie chcemy szkodzić miastu, lecz je uratować. Podejrzewacie nas o zamiar zniweczenia wielusetletniego dorobku cywilizacyjnego Annapolis i nie rozumiecie, że wy sami go niszcycie. Przez swą nieudolność, przez wasze wzajemne kłótnie, przez zagubienie gdzieś celów nadrzędnych i służących dobru powszechnemu. Zdegenerowaliście się już; taka jest właśnie prawda. Annapolis potrzebuje gwałtownie dopływu świeżej krwi i tylko my możemy to zagwarantować. Bez pomocy waszych odwiecznych wrogów, młodych ludów Terytorium, żginiecie, a wraz z wami obumrze naturalną śmiercią cywilizacja, którą stworzyliście. Naszym celem jest niedopuszczenie do tego. Nie wolno nam do tego dopuścić..

Szum wodospadu, obok którego staliśmy, zagłuszył ostatnie słowa Roberta Gralla, mieszkańca i półbarbarzyńcy. Wpatrywałem się w niego ze zdwojoną uwagą. Miał na sobie podobny do mojego płaszcz, częściowo rozpięty, i podobną do mojej kamizelkę. Różnica była tylko w kolorze, a nie w sposobie kroju — jego kamizelka była czerwona, moja zaś niebieska (szczegół ten jest tak istotny do pełnego zrozumienia tej opowieści, że wprost nie można go pominąć).

Grall skończył i odwrócił się do mnie plecami, jakby pragnął odejść. Szum spływającej w dół wody spotęgał moją nienawiść. Rzuciłem się na niego i straciłem go w rozhuczane koryto rzeki, żeby znalazł w niej śmierć ten, kto tak gorąco pragnął naszej zguby. Obserwowałem go spadającego, walącego się w dół i roztrzaskującego o wystające z wody głazy. Był jedynie czerwoną plamą (on, ten barbarzyńca), która stopniowo zaczęła

błękitnieć, niebieszczec i taka już została. Leżał na brzegu potoku, martwy, w rozpiętym płaszczu i niebieskiej (niebieskiej!) kamizelce. Był nieżywy, ten, który tak zaciekłe bronił się przed naszymi planami uratowania kultury miasta od zagłady.

Odszedłem stamtąd wolnym krokiem. Ja, Robert Grali, ja, Jefferson Lloyd, odszedłem z tego miejsca, ażeby nie powrócić w nie już nigdy. Wróciłem do swego mieszkania i zacząłem spisywać tę historię, o być może dającym się przewidzieć finale. Praca ukoїła mój ból, lecz nie pozwoliła mi o nim zapomnieć. O nim — przecinającym wzdłuż miejski rynek, pośpiesznie wchodzącym na schody Biblioteki, nieraz głodnym, nieraz zrozpaczonym, ale zawsze pełnym wiary we własne siły i w sens swej misji. Zazdroszczę mu tej wiary. Ja swoją utraciłem już dawno.

1980

Spis treści

W stronę Annopolis	5
Sprzysiężenie	13
Tajemnica	22
Przesłuchanie	32
Pułapka	55
Dwadzieścia lat później	62
Plac Zamkowy	70
Śmierć kolekcjonera	77
Fotografia	95
Herezjarcha.....	102
Prokurator Verdi	109
Obserwacja.....	122
Twórca	133

Jerzy Grundkowski urodził się w 1953 r. w Bydgoszczy, studiował historię na UMK w Toruniu. Debiutował w Polskim Radio w 1977 r., pierwsze opowiadania publikował w „Twórczości”, „Literaturze”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Nowym Wyrazie”, „Nurcie” i „Faktach”. Książka *Annopolis, miasto moich snów* jest zbiorem 13 opowiadań z gatunku prozy historyczno-fantastycznej o motywach zaczerpniętych z historii powszechnej i antycznej. Z kroniki fikcyjnej monarchii, spisanej przez narratora, wyłania się historia podboju starożytnego państwa i jego stolicy Annopolis przez barbarzyńców, którzy przejmują starą kulturę Terytorium: polityczną, obyczajową i literacką. Umiejętne żonglowanie prawami fikcji, które autor odsłania przed czytelnikiem w procesie kreowania rzeczywistości literackiej — jest cechą wyróżniającą pisarstwo Grundkowskiego.

Cena zł 50.—

ISBN 83-08-01105-5